

ISSN 0023-5148

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 12/459

1985



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

- K. A. JELEŃSKI: **PRL-OWSKIE REGUŁY**
"GRY O GOMBROWICZA"
- J. LITYŃSKI: **ROZWAŻANIA O FREKWENCJI**
I BOJKOCIE
- M. POLESKI: **MONOLOG**
- ST. KISIELEWSKI: **GDY ZNÓW NADCHODZI LISTOPAD**

SPIS RZECZY

Redaktor:	<i>Oświadczenie</i>	2
Konstanty A. Jeleński:	<i>PRL-owskie reguły „Gry o Gombrowicza</i>	3
Jan Lityński:	<i>Rozważania o frekwencji i bojkocie</i> ..	11
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	37
N.N. z Warszawy:	<i>Z refleksji o nacjonalizmie</i>	45
Maciej Poleski:	<i>Monolog</i>	51
Stefan Kisielewski:	<i>Gdy znów nadchodzi listopad</i>	61

ARCHIWUM POLITYCZNE

Krzysztof Gawlikowski:	<i>Revolucja ekonomiczna w Chinach</i> ..	68
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	86
Jan ORU:	<i>Afryka jest głodna: co robić?</i>	89

K R A J

Czesław Bielecki:	<i>Oskarżenie gen. Kiszczaka</i>	95
Czesław Bielecki:	<i>Ogłoszenie głodówki</i>	98
—	<i>Ankieta PRON-u</i>	99

SPRAWY I TROSKI

Krystyna Graeff:	<i>Transport do Polski</i>	102
D.T.:	<i>List z Iraku</i>	104

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	108
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	113

KRONIKA KULTURALNA

Regina Wasiak:	<i>Kongres Kultury Polskiej na Obczyźnie</i>	119
Józef Czapski:	<i>Zacmiony sławą</i>	124
Ryszard Krygier:	<i>75-ciolecie Jana Dunin-Karwickiego</i> ..	125

KSIĄŻKI

Renata Gorczyńska:	<i>W sojusznicznym gułagu</i>	127
Stanisław Barańczak:	<i>Kwit z „Przechowalni ciemności”</i>	132
Józef Lichten:	<i>Szaja Ajzensztok i jego los</i>	135
Janina Katz Hewetson:	<i>Igraszki formy z tragedią</i>	139
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	145



—	<i>Wydarzenia miesiąca oraz kroniki: amerykańska, francuska, kanadyjska, norweska i szwedzka</i>	149
---	--	-----



J. Krakowski, W. Kraśniewska, K. Sokołowski, ks.:	<i>Listy do Redakcji</i>	158
---	--------------------------------	-----



—	<i>Indeks Autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1985</i>	161
---	--	-----



Jan Lityński:	<i>Nota biograficzna</i>	176
---------------	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Grudzień - Décembre 1985

INSTYTUT



LITERACKI

SPIS RZECZY

**REDAKCJA « KULTURY » SKŁADA SWOIM
PRENUMERATOROM I CZYTELNIKOM
NAJLEPSZE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE I NOWOROCZNE**

O ŚWIADCZENIE

Od dłuższego czasu obserwuję natężenie plotek i tzw. „informacji z pewnego źródła” na temat „Kultury” i mojej osoby. Są dwa źródła tej akcji: Pierwszym jest PRL, która zwalczając naszą działalność wszelkimi sposobami szerzy dezinformację; drugim plotki kursujące dość masowo na emigracji — zwłaszcza wśród jej nowej fali — głównie w Paryżu. Nie miałbym zamiaru na to reagować, gdyby nie fakt, że plotki te docierają do naszych Czytelników i Przyjaciół, powodując pewne zamieszanie. Dlatego też chciałbym wyjaśnić, że:

- Cieszę się najlepszym zdrowiem;
- Mając rzeczywiście bardzo dużo pracy nie jestem do tego stopnia przemęczony, żeby myśleć o „emeryturze”;
- Nie szukałem i nie szukam następcy i zastępcy i wymieniane różne nazwiska i kombinacje są wytworem czyjejs wyobraźni;
- Nie mam zamiaru zastanawiać się nad powodami tego nagłego zainteresowania. Przypuszczam, że pobudki nie są zbyt ciekawe i na pewno nie są spowodowane życzliwością.
- Mimo niewątpliwie zaanwanowanego wieku nie wybieram się umierać, ponieważ wierzę, że mam jeszcze dużo do zrobienia.
- O przyszłości Instytutu Literackiego i *Kultury*, które sam stworzyłem i prowadzę od 40 lat — tylko ja sam będę decydował.

Jerzy GIEDROYC

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Członkowie Towarzystwa Przyjaciół Kultury Polskiej w Glasgow przekazują swoje oszczędności, pozostałe po rozwiązaniu TPKP na Walnym Zebraniu z 18 marca 1984 roku, aby w ten symboliczny sposób przyczynić się do szerzenia wolnego słowa, tłumionego coraz powszechniej — £ 196.15 ..	F.2.226,00
Dla uczczenia pamięci Józefa Forkasiewicza (z Melbourne, Australia) — \$ A. 170,61	F. 938,00
Ignacy Fonberg, Jonesborough, TE (USA), po raz 5-ty — \$ 48,00	F. 376,80
Halina Grodzicka, Buenos Aires, po raz 8-my — \$ 40,00	F. 314,00
Bolesław T. Łaszewski, New York, po raz 19-ty — \$ 20,00 ..	F. 157,00

(Dalszy ciąg Wpłata na str. 174)

KONSTANTY A. JELCZYŃSKI

Tutaj pytam Macieja Chrzanowskiego — Kimś powołał
odpowiedź: podobnie jak w Polsce trudno było
na temat tej książki wyrazić się w sposób
Kamionki. Co tak było w rzeczywistości
W odpowiedzi przytoczył kilka przykładów
z wola doc. Kurza.

— Jedną jest o tym słowo, że tylko w „Dzienniku” mo-
żemy znaleźć kilka zapowiedzi o innych
zrobionych w Polsce nieodpowiednio do czasu. To nie jest
zobowiązuje kłopotliwie i nie
zobowiązuje — trzeba pamiętać o
dla naukowej — tymczasem w
Pozostawiam więc jak sam
niech dajcie sobie

**PRL-owskie reguły
"Gry o Gombrowicza"**

JW PANU GOMBDOWICZOWI ŚWIECZKA
I J.O WŁADZOM OGAREK, CZYLI DZIEŁO BEZ CENZURY
CUDEM OKROJONE, UMOWA DOCHOWANA
I POGWAŁCONA, TEKST INTEGRALNY, A PRZECIEŻ
CZĄSTKOWY

Krakowskie Wydawnictwo Literackie zapowiedziało w październiku 1985 roku rychłe wydanie dzieł zebranych Witolda Gombrowicza. Wydarzeniu temu poświęcono w warszawskiej *Kulturze* wywiad z dyrektorem tego wydawnictwa, docentem Andrzejem Kurzem, przeprowadzony przez Macieja Chrzanowskiego, pt. „Gra o Gombrowicza”*. Oto jego kluczowe ustępy, dotyczące sedna sprawy:

„Od dawna, bo od roku 1973, czyniliśmy starania o przygotowanie podobnej edycji. Jednak rozmowy z wdową po pisarzu, Kanadyjką Ritą Gombrowiczową, trwały długo i nie były łatwe. Jakby brakowało w nich zaufania. I dopiero w listopadzie 1981 roku pani Rita Gombrowiczowa podpisała umowę z Wydawnictwem Literackim (...). Jesteśmy wydawnictwem działającym zgodnie z prawem i nie publikujemy dzieł pisarzy z jakimkolwiek naruszeniem praw autora lub jego spadkobierców. A właśnie zgody pani Gombrowiczowej nie mieliśmy (...). Pani Gombrowiczowa chciała wydania bez pominięcia jakichkolwiek tytułów i ich fragmentów i w praktyce ogłoszenia całości dzieł. I wydawnictwo od początku się na to zgadzało. Jednak spadkobierczyni nie miała zaufania do naszych zapewnień. Teraz okaże się że jej nieufność była bezpodstawna...”

* Tygodnik *Kultura*, Warszawa Nr 20, z 16 października 1985.

Tutaj pytanie Macieja Chrzanowskiego: — Znów powtórzę obiegową opinię: podobno jedyna w Polsce trudność udostępnienia pełnej edycji sprowadziła się do problemów z „Dziennikiem” Gombrowicza. Czy tak było w rzeczywistości?

W odpowiedzi przysłowiowe, zakłamanie, wstydlive szydełko z worka doc. Kurza:

— Sąd ten jest o tyle słuszny, że tylko w „Dzienniku” możemy znaleźć kilka zapalczywych zwrotów, których ustawodawstwo w Polsce nie dopuszcza do druku. Te miejsca, w sumie zaledwie kilkanaście linijek, zaznaczmy — jak w porządnym wydaniu naukowym — trzema kropkami w kwadratowym nawiasie. Postępujemy więc, jak zawsze, z całym szacunkiem dla integralności dzieła pisarza i wierzę, że czytelnicy to docenią.

Jak brzmi umowa, o której wspomina doc. Kurz, spisana po francusku na firmowym papierze Wydawnictwa Literackiego?

KONTRAKT

między niżej podpisanymi:

Wydawnictwem Literackim, ul. Długa 1, 31-147 Kraków, Polska (określonym niżej jako „Wydawca”) z jednej strony

oraz

Institut Littéraire, 91, Avenue du Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte, Francja (określonym poniżej jako „Właściciel” z drugiej strony).

Postanowiono co następuje:

§ 1

Właściciel odstępuje Wydawcy wyłączne prawo wydania Dzieł Zebranych („Euvres Complètes”) Witolda Gombrowicza.

(Tu następuje wyliczenie dzieł, z tym że na pierwszym miejscu figurują trzy tomy „Dziennika”).

§ 2

Dotyczy wysokości praw autorskich od arkusza prozy i wiersza poezji lub prozy poetyckiej „za jedyny nakład 20.000 egzemplarzy”.

§ 3

Dotyczy terminów wpłaty owych honorariów na konto p. Rity Gombrowiczowej w ZAiKS-ie w złotych polskich bez prawa przekazania ich za granicę (chodzi o sumę globalną 702.752 zł).

§ 4

Wydawca zobowiązuje się do wprowadzenia w obieg księgarski („mise en vente”) „Dzieł zebranych” przed upływem 24 miesięcy od podpisania niniejszego kontraktu. Trzy tomy „Dziennika” muszą się ukazać przed innymi tytułami.

§ 5

Wydawca przekaże bezpłatnie Właścicielowi 25 egzemplarzy „Dzieł zebranych”.

§ 6

Wydawca zobowiązuje się do wydania tekstu integralnego dzieł. Wydawca gwarantuje właścicielowi wgląd do korekt i podpisanie ostatecznej korekty („assure au Propriétaire la possibilité des corrections et la signature des épreuves définitives”). W razie gdyby — z jakichkolwiek przyczyn — nie można było wydać „Dzieł zebranych” w tekście integralnym (a dotyczy to wszystkich dzieł), kontrakt zostanie automatycznie unieważniony i wszystkie prawa przywrócone Autorowi.

§ 7

Wydawca zobowiązuje się do zamieszczenia — w każdym tomie dzieł — następującej notatki dotyczącej copyrightu:

© Copyright by Institut Littéraire, Paris.

§ 8

Wydawca nie ma prawa odstąpić żadnemu innemu wydawnictwu praw i zobowiązań wynikających z tego kontraktu.

§ 9

Wszystkie klauzule przewidziane w tym kontrakcie będą podlegały, w razie sporu między obiema stronami, arbitrażowi trybunału w siedzibie strony oskarżonej o ich pogwałcenie, to jest w Krakowie lub w Paryżu.

§ 10

W razie gdyby drugie wydanie „Dzieł zebranych” nie ukazało się w przeciągu roku po wydaniu pierwszego nakładu, wszystkie prawa ich wydania w języku polskim zostaną przywrócone Institut Littéraire w Paryżu.

§ 11

Obecny kontrakt został sporządzony w czterech egzemplarzach, z których dwa dla Właściciela i dwa dla Wydawcy.

Podpisano 12 listopada 1981 roku.

<i>Właściciel</i>	<i>Wydawca</i>
(podpis) Rita Gombrowicz Institut Littéraire (pieczętka)	Wydawnictwo Literackie (pieczętka)
(podpis) Jerzy Giedroyc	(podpis) Andrzej Kurz

(Zanotujmy zabawny fakt, że doc. Kurz dogodnie *zapomniał* o podpisaniu umowy nie tylko z wdową po pisarzu, lecz również z jego paryskim wydawcą).

Jak wynika jasno z powyższego, Wydawnictwo Literackie już się przyznało do pogwałcenia paragrafu szóstego, co automatycznie unieważnia kontrakt i wszystkie prawa przywraca Autorowi. Pogwałcony został również paragraf czwarty, zobowiązujący Wydawcę do wprowadzenia „Dzieł” w obieg księgarski przed 21 listopada 1983 roku.

Pod nieobecność Rity Gombrowiczowej, która wyjechała nie pozostawiając adresu, a do Paryża ma powrócić dopiero pod koniec listopada, Jerzy Giedroyc prosił mnie o zareagowanie w *Kulturze* na to hipokryzyczne, a niemniej oczywiste pogwałcenie umowy zawartej przez nich z Wydawnictwem Literackim.

Udostępnienie dzieł zebranych Gombrowicza szerokim rzeszom czytelników w Polsce uważam za pozytywne wydarzenie wielkiej wagi, choćby kosztem pogwałcenia umowy przez Wydawnictwo Literackie (z własnej inicjatywy czy też, co bardziej prawdopodobne, pod presją „miarodajnych czynników”) i wykropkowania — jak twierdzi doc. Kurz — zaledwie *kilkunastu* linijek tekstu „Dziennika”. Skoro tylko ukaże się w Polsce „Dziennik”, *Kultura* wyda oczywiście swoiste i smakowite uzupełnienie przywracające skreślone teksty z zaznaczeniem strony i wiersza oraz udostępni je czytelnikom w Polsce, którzy wkleją je do odpowiednich tomów z zadowoleniem bibliofila. Plotki i insynuacje rozprzestrzeniane w Polsce, jakoby Rita Gombrowiczowa i Instytut Literacki opierali się krajowemu wydaniu dzieł Gombrowicza z innych powodów niż elementarna wierność ostatniej woli pisarza, są zwykłą, złośliwą bzdurą. Równie kłamliwym jest twierdzenie doc. Kurza w innym wywiadzie — udzielonym Polskiemu Radiu — że nakład 20.000 „został wymuszony umową z wdową po Gombrowiczu”. Wydawnictwo Literackie chciało ograniczyć nakład do 10.000 i zgodziło się na podwojenie go wyłącznie na

żądanie Rity Gombrowiczowej i Jerzego Giedroycia. Przypomnijmy tu, że nawet z czasów stalinowskich *Kultura* była jedynym ośrodkiem emigracyjnym, który zaprotestował przeciw bokotowi emigracyjnych pisarzy wydających swe dzieła w Polsce. Docent Kurz nie mógł zapewne zachować się przyzwoicie i oświadczyć: „Kontrakt gwarantujący integralne wydanie 'Dziennika' upoważniono mnie podpisać w okresie 'Solidarności'. Od chwili ogłoszenia stanu wojennego, w niespełna miesiąc po podpisaniu umowy, jasne się stało, że istnieją w tej sprawie tylko dwie możliwości: odłożyć wydanie wszystkich dzieł 'do lepszych czasów', albo pogwałcić umowę i wydać 'Dziennik' w wersji cenzurowanej. W interesie kultury polskiej i krajowych czytelników wybrałem to drugie i biorę za to odpowiedzialność”. Nie pozwolono by mu tak jasno postawić sprawy — nawet gdyby chciał. Czy mógł nie powiedzieć nic? Wydać cenzurowany „Dziennik” bez tych wstydliwych komentarzy? Wydaje mi się to wątpliwe: szmatłowość, łągarstwo, insynuacja wpisane są w samą logikę systemu, któremu doc. Kurz służy, systemu, który regularnie gwałci prawa bezczelnie twierdząc, że je szanuje.

Stąd próba zamydlenia oczu polskiej opinii żonglując dowolnie pojęciami „testament” i „ostatnia wola”.

W swym wywiadzie doc. Kurz wije się jeszcze, co prawda, jak piskorz. „Sam pisarz — powiada — od 1969 roku, kiedy to popadł w konflikt nie tyle z krajem, co z częścią dziennikarzy, nie godził się na publikowanie w Polsce swoich książek”. (Podoba mi się ten eufemizm: „popadł w konflikt” oznacza tu oszczerczą kampanię całej prasy krajowej, którą Gombrowicz ciężko przechorował, już wówczas zapowiadając w „Dzienniku”: „Nie mnie to na dłuższy dystans skompromituje”). I dalej: „Być może kiedyś pisarz powiedział swoim najbliższemu, że jeśli nie zostanie wydany „Dziennik”, to on się nie zgadza na publikowanie w Polsce czegokolwiek”. (Dziękuję w imieniu „najbliższych” za to „być może” — jeszcze do tego powrócę).

Zastanowiło mnie natomiast oczywiście przygotowane pytanie Chrzanowskiego: — Nieraz słyszałem opowieść o jakimś tajemniczym testamencie Witolda Gombrowicza?

Na co Kurz: „Jest to główna część owego mitu (...). W rzeczywistym testamencie Witolda Gombrowicza jest powiedziane, iż jedynym spadkobiercą czyni swoją żonę Ritę Gombrowicz. I o niczym więcej nie ma tam ani słowa. Zatem wszystkie opowieści, na które pan się powołuje, są zwyczajną plotką”.

Cóż ma wspólnego testament formalny, który Gombrowicz sporządził dwa miesiące przed śmiercią, by ustanowić żonę swym uniwersalnym spadkobiercą z przekazaniem jej znacznie wcześniej zakazem druku swych dzieł w Polsce po jego śmierci zanim się tam ukaże nieokrojony „Dziennik”, zakazem, o którym poinform-

mował bezpośrednio przynajmniej następujące osoby: Jerzego Giedroycia, Marię i Bogdana Paczowskich oraz mnie? Kurz, mimo swego „być może”, nie ma na ten temat wątpliwości, o czym świadczy, w tymże wywiadzie, jeszcze jedna nieładna insynuacja: Gombrowicz „pod koniec życia, w wielkiej zresztą biedzie, stał się przedmiotem pewnej manipulacji tych, którzy mu pomogli finansowo”. Panie docencie! Czytał pan przecież nieokrojony „Dziennik”. Wie pan doskonale, że Gombrowicz żył dostatnio od chwili gdy opuścił Argentynę, że był pierwszym polskim pisarzem emigracyjnym, utrzymującym się ze swych praw wydawniczych i teatralnych, że w 1967 roku otrzymał w dodatku Międzynarodową Nagrodę Wydawców wynoszącą 20.000 dolarów. Nie mówiąc o tym (w to trudno będzie panu uwierzyć), że nie dał się „manipulować” nigdy i nikomu.

Zagadkę „mitu o testamencie” wyjaśniła mi *Polityka* (z 2 listopada 1985) podając do druku fotokopię i tłumaczenie testamentu z doprawdy zadziwiającym komentarzem: „Jak wiadomo, starania o wydanie dzieł wszystkich pisarza trwały od ponad dziesięciu lat. Będzie zapewne jeszcze okazja, żeby wyjaśnić niektóre fakty, które niepotrzebnie otaczane tajemnicą, wyparte zostały przez mity i zwykłe plotki. Na przykład — kwestia testamentu pisarza, który jakoby miał stwarzać przeszkody nie do ominięcia dla ewentualnego polskiego wydawcy. Żeby rzecz ostatecznie wyjaśnić, postanowiliśmy zapoznać czytelników z treścią ostatniej woli Witolda Gombrowicza”. A to mi hokus pokus! Ile trzeba było sobie zadać trudu (ukraść testament od notariusza w Vence przez ubeką przebranego za mleczarza? Wycygnąć jego kopię od zastraszonych członków rodziny w Polsce?) żeby tumanem pozbawionych jakiegokolwiek logiki słów przemienić formalny testament w szumną „ostatnią wolę” pisarza!

Wstyd mi doprawdy tego, co dotychczas napisałem. Kręctwo, zła wiara, złośliwa głupota przyłapanych na gorącym uczynku kłamstwa (ba! z własnej inicjatywy kłamiących w żywe oczy!) krajowych wydawców i dziennikarzy, zapędziły mnie w nudne meandry niezbędnego, niestety, pieniactwa.

„Uderz w inny ton!” szepcze mi Gombrowicz i podsuwa swego pana Cieciszowskiego z „Trans-Atlantyku”, który „przy całej grzeczności, układności swojej, jak Zając pod Miedzą słuchami strzyże, wiatr łapie, a nieraz łapu capu Krzyknie albo Kichnie”, mówiąc z Witoldem „palcami Młynka kręci” i tak odpowiada na jego pytania:

- Tak pan mniema?
- Nie jestem na tyle szalonym żebym w Dzisiejszych Czasach coś mniemał, albo i nie mniemał (...).
- Tak sądzi pan?
- Sądzę, albo i nie sądzę. Różne co sam uważasz (tu palca-

mi kręci), albo nie uważasz (i palcami kręci), bo już głowa twoja w tym (znów palcami kręci), żeby cię co Złego nie spotkało albo i spotkało (i znów kręci)”.

Prosto z „Trans-Atlantyku” zaiste to Dzieło bez cenzury cudem okrojone, Umowa dochowana i pogwałcona, Tekst integralny, a przecież cząstkowy.

Przypomnijmy wreszcie, że perspektywa *integralnego* wydania dzieł Gombrowicza, zgodnie z jego wolą, stała się możliwa dopiero po sierpniu 1980 i że wydała się Ricie Gombrowiczowej i Jerzemu Giedroyciowi wiarygodna właśnie i wyłącznie w kontekście Polski Solidarności. Któż by z Paryża powierzał krakowskiemu trybunałowi arbitraż w razie niespełnienia warunków umowy przez kontrahenta przed sierpniem 1980 czy po grudniu 1981 roku? Dzięki tej wyjątkowej okoliczności, dzieło Gombrowicza udostępnione będzie szerokim rzeszom czytelników w Polsce w chwili gdy jest tam najbardziej bodaj potrzebne. Podejrzewam, że tego rodzaju rozwiązanie przypadłoby Gombrowiczowi do gustu: dzięki upartej wierności żony i lojalności swego paryskiego wydawcy, całość jego dzieła ukazuje się w Polsce jednocześnie, rytualne skreślenia uwydatniają jeszcze dobitniej subwersywny charakter jego twórczości, a pogwałcenie umowy unicestwia liberalne alibi jakie zamierzał sobie tą drogą sporządzić komunistyczny reżim.

Konstanty A. JELEŃSKI

P.S. Wypowiedziany tu mój punkt widzenia w niczym oczywiście nie przesądza o konsekwencjach prawnych pogwałcenia umowy przez krakowskie Wydawnictwo Literackie. Skoro jednak doc. Kurz zapowiada już w swoim wywiadzie, że Wydawnictwo Literackie zamierza „natychmiast po wydaniu 'Dzieł' przystąpić do masowej edycji poszczególnych tytułów”, przypomnijmy, że paragraf dziesiąty umowy zezwala tylko na ponowne wydanie, w przeciągu roku, „Dzieł Zebranych”, w których skład wchodzi „Dziennik”, a nie na ponowne wydania poszczególnych utworów.

K.A.J.

GOMBROWICZ W RADIO WARSZAWA

Radio WARSZAWA I

(19. 10. 1985 — godz. 16.05)

(Z cyklu „O czym mówi kraj” po utyskiwaniach z Zielonej Góry na nadchodzącą zimę, pękające rury, szpary i dziury, przez które wieje chłodem następujące doniesienie:)

A teraz z Krakowa sensacja wydawnicza. Wojciech Pawian (?)

Dzień dobry państwu. Sensacja wydawnicza to rzeczywiście dobre słowo. Przypomnę, że tydzień temu w 2 tygodnikach, w *Kulturze* i *Polityce* ukazała się informacja o tym, że będziemy czytać Gombrowicza, a we wczorajszej *Kulturze* ukazał się duży wywiad ze doc. Andrzejem Kurzem, dyr. W. Literackiego pt. „Gra o Gombrowicza”, o wydanie wszystkich jego dzieł w Polsce po raz pierwszy po wojnie. To będzie pierwsze krytyczno-literackie wydanie w opracowaniu prof. Jana Błońskiego z Krakowa i spodziewamy się, że ukaże się w księgarniach na początku przyszłego roku, no w 1. kwartale przyszłego roku. Nakład 20.000 egzemplarzy wymuszony umową z wdową po Gombrowiczu. Ten nakład nikomu oczywiście nie wystarczy.

— W wydaniu dzieł Gombrowicza to zaczyna być nie tyle potrzeba ile konieczność, ponieważ jest to pisarz nieznany w tej chwili. Ja rozmawiałem z ludźmi młodymi, no każdemu wstyd się przyznać, że nie zna twórczości Gombrowicza, ale taka jest prawda, zatem po prostu, żebyśmy o nim nie zapomnieli.

— Zupełnie się z tym nie zgadzam, on naprawdę nie zaginie. Przecież Teatr Współczesny z Warszawy, Teatr Powszechny z Warszawy — to przypominam warszawskie ostatnie...

— Ja wiem, ... na cenę, ale warto byłoby mieć coś takiego na półce w domu.

— Kiedy Gombrowicz w Polsce ukazywał się, zdecydowana większość tego nakładu pójdzie do bibliotek, do instytucji naukowych i to jest bardzo istotne, tzn. zdecydowano się, że jeśli ma Gombrowicz zafunkcjonować w kulturze polskiej, to powinien właśnie znaleźć się w bibliotekach i tutaj cały ogromny problem. Proszę sobie wyobrazić krakowski dom książki, dotarłem tam, ale niestety nie przedarłem się przez gąszcz papierów, za którymi siedział dyr. Jan Migdalski, tylko rzucił mi kilka podań. Oto niektóre. Otóż Gombrowicza musi koniecznie mieć zakładowy dom kultury huty Mała Panew. Musi mieć seminarium duchowne. Także młodzieżowa świetlica dworcowa. Musi mieć prof. uniwersytetu, który pisze w PS: Wiem z ogłoszeń, że subskrypcja została zastrzeżona dla bibliotek i instytucji, buntują się przeciwko temu. I jeśli miałbym powodzenie tej oczekiwanej książki czy dzieł przyrównać, to wcale bym nie przyrównał np. do „Parasola” Stachewicza czy „Wachlarza” Chlebowskiego. Przyrównałbym do „Kuchni polskiej”. A kto naprawdę go będzie czytał — bo ja wiem.

— A niestety, nakład 20.000 sztuk i tego się nie zmieni.

— Nie zmieni się, dlatego że takie są po prostu wymogi wdowy pani Rity Gombrowicz.

(mg)

(Z nasmuchu radiowego)

Rozważania o frekwencji i bojkocie

O poczuciu smaku

Wielka próba sił zakończyła się wynikiem nierozstrzygniętym — ubiegłoroczne procenty pozostały niemal bez zmian. Prawdą jest, że siły były nierówne — z jednej strony tropieni i zamykani w więzieniach działacze „Solidarności”, z drugiej krocząca w majestacie ustaw wyjątkowych władza. Sprawiedliwość nakazuje jednak przyznać, że zadanie „Solidarności” było bez porównania łatwiejsze. Należało po prostu mówić prawdę. Ambicje rządzących sięgały znacznie dalej. Chcieli oni udowodnić nieudowodnialne — ukazać nowatorskie metody sprawowania władzy, wykazać mądrość swej polityki i geopolityki, przede wszystkim zaś przekonać, że zbliżająca się farsa będzie prawdziwymi wyborami. Zabiegi te okazały się skuteczne w jednym przypadku — uwierzyli delegaci do Sejmu PRL i każde swe wystąpienie zaczynali od nieśmiałego wyznania: „Jeżeli zostanę wybrany...”.

Rozpasanie propagandy narastało z tygodnia na tydzień osiągając swe apogeum tuż przed dniem głosowania. Wydarzeniem na miarę epoki okrzyknięto pobyt generała-premiera w Nowym Jorku, poprzedzającą wyjazd akcję konsultacyjno-telefoniczną dawano za przykład wsłuchiwanie się władzy w głos narodu. Towarzyszyły temu tradycyjne już szepty i krzyki Rakowskiego, syki Urbana oraz *novum* w postaci *strip-teas*’owych wręcz popisów Broniarka w towarzystwie wróżbitów i weterana PPR-owskich jeszcze bojków, Sokorskiego. Gwoli kronikarskiej ścisłości odnotować też trzeba udział tak znakomitych osobistości jak Adamski, Auderska, Zielińska, Konieczny, Szurmiej, Siemion, Nowogrodzki i Łazuka.

Śmieszność „nowatorskich poczynań” budziła raczej połączone z lekkim odruchem wymiotnym zażenowanie, niż oburzenie i chęć polemiki. Nieodparcie nasuwała się myśl, że adresaci wyborczych reklam zorientują się, jak bardzo władzy zależy właśnie na ich głosie i zrezygnują z oddania go w wyborczym lokalu. Stało się inaczej.

Na samoosmieszonych władców głosowało 60 % Polaków. Ponad połowę naszych rodaków zawiodło owo ulotne wrażenie, które najcelniej określił kiedyś w swym słynnym wierszu Zbigniew Herbert — poczucie smaku. Niewątpliwie świadczy to jak głębokie korzenie zapuścił w Polsce system realnego socjalizmu. Ludzie uciekają od nieodłącznie związanych z wolnością niebezpieczeństw. Tym samym uznają podstawową zasadę, na której wspiera się komunistyczny ład. W zamian za posłuszeństwo pragną utrzymać poczucie bezpieczeństwa. Milcząco zgadzają się, żeby państwo stało się rozdawcą wszelakich dóbr i przywilejów przydzielanych lojalnym obywatelom.

Wielu z głosujących z oburzeniem odrzuci taką interpretację swojego zachowania. Są wśród nich ludzie czujący się do dziś członkami „Solidarności”, ba, są nawet tacy, którzy pomagają podziemi. Minimalizując znaczenie przemarszu przez wyborcze lokale powołają się na racje pragmatyczne — paszporty, awanse, stypendia, zmylenie przeciwnika. Dodadzą, że wchodzili do kabin, skreślali, chowali wyborcze kartki. Lecz to właśnie obrazuje schizoidalną sytuację świata rozbitego na prywatne przekonania i publiczne zachowania. A w takim świecie żyje większość głosujących.

„Milcząca większość”

Głosowali zapracowani do granic możliwości robotnicy, których czas dzieli się na pracę, dojazdy, stanie w kolejkach i poszukiwanie niezbędnych do życia rzeczy. Symbolicznie reprezentować ich może Łódzka przódka czy radomski monter, gdy opowiadają przed kamerami telewizyjnymi jak dorabiają ponad połowę do swoich płac, pracując w nadgodzinach i podczas wolnych sobót. To oni boją się jakiegokolwiek zmiany, możliwość utraty, czy choćby tylko szukania nowej pracy przepędia ich niejasnym przerażeniem. Czują też rodzaj wdzięczności, że za nadprogramową mordęgę otrzymują zwiększone stawki. Wdzięczność o tyle uzasadnioną, że wydane na początku roku zarządzenie Rady Ministrów zezwala dyrekcji na dowolne manipulowanie czasem pracy robotników, bez wypłacania nadgodzin, zaś na przyszły rok władze szykują ustawodawczą innowację — nowelizację Kodeksu Pracy, ułatwiającą zwolnienie pracownika, utrudniającą zmianę

pracy i likwidującą wolne soboty a wraz z nimi dodatkowe zarobki.

Do zmęczonych ludzi nie dociera żadna propaganda. Czują się wiecznie zagrożeni, niepewni, pragną odpoczynku. Byli niegdyś w „Solidarności”. Lecz ów okres nadziei skończył się dla nich jeszcze przed grudniem 1981, gdy władza zdołała uczynić codzienne życie dostatecznie nieznośnym. Dziś wstępują do nowych związków licząc na zapomogi, pożyczki, sanatoria.

Trudno ocenić na ile są typowi dla środowisk robotniczych. Trwa tam ciągle opór. Większość broni się przed wstąpieniem do neo-związków, kilkanaście procent płaci solidarnościowe składki. We Wrocławiu, Nowej Hucie, Ursusie a nawet w Śląskim Jastrzębiu, gdzie „Solidarność” jest stale obecna, procent głosujących był stosunkowo mały. Działania na rzecz bojkotu znacznie wzmocniły środowiska solidarnościowe w fabrykach. Są miejsca, gdzie władza nie ma i nie będzie miała dostępu.

Poczucie rozwagi stawiało natomiast w niemal przymusowej sytuacji rolników i rzemieślników. Mieli oni zasadne podstawy do obaw, że ich nieobecność w lokalu wyborczym zostanie zauważona czy to przez zawodowego bojownika ze spekulacją, czy też przez aktywistę lub urzędnika, od których zależy domiar, przydział materiałów, przebieg kolejnej kontroli, często nawet istnienie warsztatu czy gospodarstwa. Te głosy w wyborczych urnach, będąc wyrazem bezsilności, były zarazem próbą ratunku jedynych gospodarczy enklaw racjonalności w socjalizmie. Paradoksem jest, że nadziei szuka się poprzez udział w irracjonalnych przedstawieniach.

Rzecz przy tym charakterystyczna — rolnicy głosowali i nie głosowali zbiorowo. Rozpiętości są uderzające, były wszędzie gdzie procent głosujących przekraczał 95, były i takie, gdzie nie dochodził do 20. To ostatnie obrazuje trwający jeszcze wśród chłopów opór. Przeważnie jednak rozbicie więzi na pozbawianej resztek samorządu wsi łączy się ze słabością rolniczej „Solidarności” i głębokimi podziałami wśród działaczy chłopskich.

W małych miejscowościach dominujący był strach. „Solidarność” praktycznie tu nie istnieje, niezależne działania rzadko wykraczają poza ściśle zakonspirowane grona, niecenzurowane gazety i książki docierają do nielicznych. Tam właśnie w ponurej atmosferze beznadziejności najłatwiej dość do przekonania, że „i tak to nic nie zmieni”.

Osobnej uwagi wymaga sytuacja na Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim. Tam głosowanie przebiegało najsprawniej, osiągając w niektórych miastach wyniki bliskie komunistycznego ideału. Na tym samym Śląsku oddziały ZOMO przed niespełna 4 laty strzelały do strajkujących górników. Tu najdłużej trwał pierwszy opór przeciwko wprowadzeniu stanu wojennego. Czy można uwierzyć,

że mieszkańcy Śląska zapomnieli już górników z „Wujka”, „Pias-ta”, „Ziemowita”? Każdy kto był na Śląsku w roku 1980 i widział tam zebrania „Solidarności” czuć musi zdumienie, jak szybko wczorajszy bunt zamienił się w dzisiejszą pokorę.

Śląskie powietrze rodzi skrajności. Ludzie żyją tu szybko i byle jak. Łatwo zrobić duże pieniądze, lecz też łatwo stracić życie, a zdrowie tracą wszyscy — w kopalniach są zawały i wybuchy gazu, domy pękają od szkód górniczych, zatrute środowisko nie daje wiele tlenu, wdycha się pył, dym, węgiel i ołów. Jak przed 50 laty w wierszu Broniewskiego — „Węgiel dobywa Zagłębie, Zagłębie dobywa śmierć” — ironia dziejów powoduje, że oskarżenia komunistycznego poety godzą dziś w następców jego ideowych pobratymców. Nie ma dziś bieda-szybów, nie ma bezrobocia — jest tylko ciężka, beznadziejna praca.

W latach 70-tych w pogoni za węglem wprowadzono w kopalniach obowiązkową pracę w wolne dni. Później strajkujący górnicy wywalczyli prawo do odpoczynku i 5-ciodniowy tydzień pracy. Obecny system jest jednak bardziej przebiegły — praca w wolne dni stała się przywilejem. Ci, którzy „podpadli” kierownictwu nie dostają dodatkowej pracy a wraz z nią dodatkowych złotych i specjalnych talonów na atrakcyjne towary. Konflikt jest tu źródłem rozwoju — mieszkańcy hoteli robotniczych patrzą z zawiścią na mieszkańców bloków, osiadli przed laty nie znoszą nowoprzybyłych, autochtoni gardzą przyjezdnymi, a każdy Ślązak jest posądzony o skrytą miłość do Niemców. Tak najłatwiej panuje się nad ludźmi.

Dzisiaj, skłóceni i nieufni, jeszcze cierpliwie wrzucają wyborcze kartki. Lecz kiedyś upomną się o swoje prawa i swoich zmarłych.

Prawo do narzekania

Nie znający realiów, lecz władający językiem polskim przybysz byłby zdumiony jak bardzo nastrój na ulicach, w tramwajach, autobusach i sklepowych kolejkach odbiega od wyników wyborczego plebiscytu. Wszyscy niemal otwarcie pomstują na rząd w całości, nie oszczędzając jego znanych z nazwiska przedstawicieli. Obrońców władzy spotkać nie sposób. Dla tubylców jednak jest to stan normalny. Nie trzeba dużej odwagi, by psioczyć na system w anonimowym ulicznym tłumie. Poczucia bezpieczeństwa to nie narusza, zaś w masie następuje zbiorowe rozładowanie gniewu, wyrzucenie z siebie żalów i pretensji. Tworzy się rodzaj wspólnoty losów i odczuć. Lecz daleko stąd do buntu, nie mówią już o konstruktywnym sprzeciwie.

Dla systemu owe uliczne rozmówki stały się dodatkowym wentylem bezpieczeństwa, dla ludzi swoistym rytuałem samooczyszczenia, dokonywanym po urzędowych czynnościach, po „spełnieniu aktu” — jak nazywa się głosowanie w nowo-mownym słowotwórstwie. Akty spełniane są z pewną niechęcią, lecz i z poczuciem wykonania, niezbędnego dla zabezpieczenia siebie i swych bliskich, obowiązku. „Solidarność” w przedwyborczych ulotkach wzywając do bojkotu dowodziła, że władza nie będzie w stanie represjonować milionów bojkotujących. Co prawda obywatel chętnie czyta ulotki, lecz też swoje wie — nie dziś, to jutro wyciągną mu jego grzechy wobec systemu. Pójście na głosowanie zapewni spokój, zaś narastającą frustrację nadal będzie rozładowywał w drodze do pracy i w rozmowach z przyjaciółmi. Również w pracy nie musi się specjalnie liczyć ze słowami, byle robił to dyskretnie, nie demonstrując publicznie swych poglądów.

Tak oto prawo do narzekania zostało zreżymowane i wplecione w system. Jest niezbędnym odstępstwem od ideału stworzonego przed laty przez Wielkiego Językoznawcę. Stało się też namiastką sierpniowych zmian, rytuałem w środkach masowego przekazu. Powołuje się nawet etatowych utyskiwaczy, niektórzy z nich dostają poselskie mandaty. Czołową pozycję zajmuje tu przewodniczący OPZZ, członek PZPR od 1959 roku Alfred Miodowicz. Z racji swych funkcji związkowych otrzymał on niezaprzeczone prawo krytyki niektórych posunięć rządowych, z którego korzysta atakując z zapałem to program budownictwa, to znów politykę płacową, by następnie tym mocniej i dobitniej poprzeć system i rządzącą ekipę.

Innym posłem od konstruktywnego biadolenia została Krysztyna Zielińska, która publicznie dowodzi, że fabryki produkują buble, sklepy sprzedają szmelc, handlowcy są niesprawni a sprzedawcy nieuprzejmi. Zmierzające do poprawy sytuacji mądre posunięcia władz centralnych nie pomagają, skoro — jak jasno wykląda dziennikarka — ryba psuje się od ogona, środek jest chory, jedynie głowa sprawna, twórcza i zatroskana.

Propaganda sukcesu przeszła więc istotne przeobrażenia. Zastąpiło ją subtelne rozłożenie akcentów. Rządzący odnoszą zwycięstwa, ich polityka jest najlepsza z możliwych, porażkom winni są rządzeni. Taki właśnie styl obowiązywał na spotkaniach przedwyborczych. Ostatnie z nich z udziałem głównego kandydata i całej najlepszej „pięćdziesiątki” miało szczególnie uroczysty charakter. Każdy z występujących tam przedstawicieli społeczeństwa otrzymał 5-ciominutowe prawo do narzekania i zaszczyt podziękowania I sekretarzowi za całość wysiłków, w szczególności zaś za godną prezentację narodu na forum ONZ. Generał skromnie dziękował skinieniem głowy. Telewizja transmitowała.

„W atmosferze spokoju i wzajemnego zaufania...”

Prymitywizm propagandy rekompensowany jest konsekwencją z jaką draży ona ludzkie umysły. Motywem wiodącym wszystkich propagandowych przedsięwzięć jest dziś spokój, pojęcie jak się okazuje, stopniowalne. Stopniem wyższym jest pokój, a najwyższym nosiciel pokojowych inicjatyw Związek Radziecki ze swymi wiernymi sojusznikami. W tej osobliwej gramatyce istnieje też stopniowalność negatywna — burzycielami pokoju są Stany Zjednoczone z Reaganem i CIA, szczebel niżej plasują się zachodni Niemcy, rewizjoniści, izraelscy agresorzy i afgańscy bandyci, najniższy tworzą rodzimi mąciciele spokoju. Jasne więc się staje, że tylko uzbrojona w oręż postępu obecna ekipa walcząc z awanturnictwem, anarchią i obcymi ideami może zapewnić spokój. W bitwie o ciszę społeczną czyni jednak tyle szumu, że nie przypadkiem w przedwyborczych ankietach najczęstszym motywem planowanego udziału w głosowaniu było stwierdzenie — „Dla świętego spokoju”. Dla świętego spokoju, a więc by uwolnić się od lęku o swój byt i najbliższą przyszłość, lecz także, aby uciec od płynącego zewsząd potoku słów — by dali wreszcie spokój, przestali nudzić i zadrećcać wypowiedziami w telewizji i w radiu, artykułami w gazetach, plakatami na słupach ogłoszeniowych i wystawach sklepowych, wyborczymi reklamami w kinach.

Pozbawiająca poczucia prywatności wszechobecność propagandy jest jej asem atutowym. Nie mogą się od niej uwolnić nawet ci, którzy programowo nie oglądają, nie słuchają, nie czytają żadnych produkcji reżimu. Uderza ich fala wtórna w postaci rozmów w pracy, dyskusji z przyjaciółmi, czy nawet polemicznych artykułów w prasie niezależnej. Wcześniej czy później bełkot dotrze do każdego.

„Spokój dla emerytów”

Hałaśliwa reklama spokoju czyni jeszcze bardziej nieznośnym brak perspektyw i poczucie beznadziejności jakie jest dziś udziałem Polaków. W tej atmosferze dobrze zdaje się jednak czuć specyficzna kasta emerytów, uczestników niezliczonych zebrań, członków różnych komitetów, komisji, kolegów. Wielu z nich to niedawni urzędnicy, funkcjonariusze milicji, pracownicy partyjnego aparatu i weterani socjalistycznego współzawodnictwa pracy. Często też ludzie samotni nie widzący innego sposobu na przedłużenie życiowej aktywności. Byłoby przesadą twierdzić, że emeryci-aktywiści są reprezentantami dla starszego pokolenia.

Z całą pewnością są najbardziej widoczni i umieją grać na nastrojach pozostałych. Są też wdzięcznym obiektem propagandowych zabiegów, którym poddają się bez reszty. Stają się najlepszym przekąźnikiem wszelkich plotek, takich jak uparcie powtarzające się wieści, że za odmowę głosowania odbiorą kartki na żywność czy też zmniejszą emerytury. Szeptana propaganda wyjaśnia częściowo masowe uczestnictwo w wyborach ludzi starych. Była wśród nich również poruszająca się o lasce kobieta, która na przejście do lokalu wyborczego zużyła ponad dwie godziny. Z dumą i wzruszeniem doniósł o tym fakcie przewodniczący jednej z komisji wyborczych w telewizyjnym programie demaskującym knowania opozycji.

„Walka pokoleń”

Starsze pokolenie z pokorą przyjmuje swój los bojąc się, że wszelkie zmiany mogą tylko pogorszyć sytuację. Dla młodych ludzi jest to postawa nie do przyjęcia. Oficjalne przedwyborcze badania wykazały, że 70 % spośród nich nie zamierza wziąć udziału w głosowaniu. Potwierdziły to nie tylko obserwacje wyborczych lokali, lecz także telewizyjne migawki, gdzie rzadko można było zobaczyć młodą twarz. Jedyne większe młodzieżowe grupy przybywały w organizacyjnym szyku.

Duża część młodych ludzi nie wiąże swych nadziei z karierą czy to zawodową, czy to społeczną w kraju. Nie tylko młodzi naukowcy, nie posiadający tu żadnych perspektyw zawodowych, marzą o wyjeździe za granicę. Nikogo nie przekonają zapewnienia o poparciu władz, włącznie z przygotowywaną dla odświeżonego już Sejmu ustawą o „rozszerzeniu udziału młodzieży w życiu społeczno-politycznym, gospodarczym i kulturalnym”, nie odstraszą reportaże o bezrobociu i ciężkiej doli rodaków walczących na Zachodzie o kawałek chleba. Liczą na swoją młodość, inicjatywę i siłę przebicia. Chcą żyć normalnie, a nie na sposób znormalizowany, chcą pracować, wpływać na swój los. To pokolenie, jak żadne inne w historii PRL, jest dla systemu stracone. Niestety, jak dotąd jego zdolności i potencjalne możliwości są stracone również dla Polski.

Absencja najbardziej utalentowanych stwarza szansę spryciarzom z legitymacjami młodzieżowych organizacji. Z biegiem lat zechcą je zamienić na partyjne bilety, by wraz z nimi otrzymać dyrektorskie stolki i poselskie mandaty.

Według cytowanych przez warszawską *Politykę* badań wśród delegatów na zjazd socjalistycznej młodzieży 40 % z nich oświadczyło, że do ZSMP wstąpił pragnąc poprawić swą sytuację życiową. Ta szczerość nie budzi zdumienia. Dziwić może nieco

fakt, że nie stać na nią było pozostałych. Władza bowiem wynagradza swych zwolenników niezależnie od ich intencji. Lepiej nawet, gdy młody człowiek pozbawiony jest ideowych złudzeń. Nie grozi mu wówczas zbytne przejęcie się podniosłymi sofistematami i heretycki bunt. Ideologię przydziela się wraz z obietnicą kluczy do mieszkania, szansą wyjazdu do Moskwy na wielki festiwal, nadzieją wielkiej kariery.

A o stanowiska toczy się już dziś ostra walka pokoleń. Na razie młodzież przegrywa — do Sejmu z rzadka przeciskał się 30-latek, szanse 20-latków zbliżone były do zera. Przyszłość należy do nich. Ich poprzednicy opanowali już wiele stanowisk i mimo widocznych niekiedy kłopotów z opanowaniem języka polskiego kierują pismami i programami telewizyjnymi. Są docentami, dyrektorami zakładów pracy, prezesami spółdzielni, kapitanami służby bezpieczeństwa i milicji. Ciekawe jak potoczyła się kariera męźnych uczestników bojówek, przed sierpniem dzielnie, pod ochroną SB, walczących na wykładach TKN? W roku 1981 na zebraniach studenckich tracąc całą swą elokwencję z trudem bąkali słowa usprawiedliwienia tłumacząc się brakiem doświadczenia. Część z nich zdobyła je już na pewno, pozostali snują się jeszcze po przedpokojach władzy czekając na zaproszenie. Młodzi budowniczo socjalizmu domagają się czystek kadrowych, usunięcia z kierowniczych stanowisk starych i niepewnych a wprowadzenia do gry nowej, prężnej i oddanej kadry. Większość z nich nie byłaby w stanie przejść przez sito rzetelnych kryteriów zawodowych. Tu widzą swoją szansę. Znają drogi kariery Świrgonia, Jaskierni czy Szmajdzińskiego i każdy z nich wraz z legitymacją nosi w kieszeni buławę członka Biura Politycznego.

W środowiskach robotniczych na swój dobry dzień czekają następcy Siwaka i Zofii Grzyb. Na razie ćwiczą swój klasowy instynkt w różnego rodzaju akcjach doraźnych. Pobierają nauki w robotniczo-chłopskich inspekcjach. Partia wie, że może na nich liczyć. Kiedy w 1981 roku zawiedli ostatni niemal partyjni intelektualści i wzięli się do odnowy PZPR, zaś sparaliżowany strachem aparat partyjny był prawie niezdolny do przeciwdziałania, najsilniejszym ogniwem komunizmu okazali się zakładowi działacze, ci którzy dla podkreślenia robotniczego charakteru PZPR wybierani są do komitetów wszystkich szczebli i zasiadają w partyjnych instancjach. Oni to utracili niedowarzonych odnowicieli, wygrali nadzwyczajny Zjazd, zachęcili do działania aparat. To na nich opierali się wojskowi komisarze zaprowadzając wojenny ład w zakładach pracy. Razem ze swymi uprzedzeniami, resentymentami i nienawiścią do wszystkiego co obce i niezrozumiałe są dziś prezentowani jako przedstawiciele klasy robotniczej, żądającej rozprawy z prywaciarzami, budylnymi, spekulacją i opozycją.

Ich ogląd świata daje ideologiczne uzasadnienie sądów doraźnych i wieloletnich wyroków.

Osobną kategorię młodej awangardy proletariatu stanowią młodzi oficerowie, milicjanci, pracownicy bezpieczeństwa i ZOMO-wcy. Wojsko i milicja to dla jednych łatwa droga ucieczki ze wsi czy małego miasteczka, dla innych szansa szybkiego poprawienia materialnej pozycji, dla niektórych okazja zamazania na w pół kryminalnej przeszłości i uniknięcia odpowiedzialności karnej. Po przejściu odpowiedniej tresury stają się gronem najbardziej oderwanym od społeczeństwa, gotowym do wykonania wszelkich rozkazów.

„Zdroworozsądkowe centrum”

Na innym biegunie zdają się stać ci zwolennicy władzy, których nadzieje, nie od dziś, wyrażać pragnie *Polityka*. W piśmie tym, podobnie jak w krakowskim *Zdaniu*, warszawskim *Przeglądzie Technicznym* i kilku innych redakcjach pracują fachowcy i to specjaliści niezłej marki, dziennikarze, których nie powstydziliby się żadna gazeta. Dominuje tu więc kult dobrej roboty i rozsądku. Ponieważ władza jest nam dana, a rozum i całe doświadczenie życiowe wskazują, że nic tu się nie zmieni, to system trzeba zaakceptować, polubić i poprzeć. Tylko wówczas można osiągnąć taką pozycję, by samemu być zadowolonym, no i jakoś wpływać na bieg rzeczy, delikatnie korygować największe absurdy. Lecz przede wszystkim trzeba pokazać, w jak ciężkiej sytuacji znalazła się władza. Spec od historii dowodzi więc, że Polacy to trudny do rządzenia, niezdolny do systematycznej pracy, skory do uniesień naród. Inny publicysta omawia pisma I sekretarza KC PZPR, podziela jego racje i zapytuje „Czy Polacy wybiją się na normalność?”. Wobec nie umiejących współpracować z żadną władzą Polaków, bezradni są najlepsi nawet rządzący. Winny jest irracjonalny naród.

Pozytywnymi bohaterami reportaży zostają natomiast rzutcy dyrektorzy, walczący z administracyjnym aparatem, czy rozsądni sekretarze, których wysiłki rozbijają się o biurokratyczny beżład i niezrozumienie otoczenia. Opisuje się też perypetie wynalazców, których pomysłów nie chcą realizować bezduszni urzędnicy, w krótkich a kaśliwych notkach wyśmiewa się bezsens niektórych zarządzeń niższego a nawet średniego szczebla. Toczy się polemiczne boje z komunistycznymi hunwejbiniami, z którymi *Polityka* ma ciągnące się jeszcze sprzed marca 1968 porachunki. I dla równowagi wymierza się razy opozycji — za szeregienie szkodliwych mrzonek, za to, że pustym gadaniem zmusza władze do surowości.

Niegdyś styl ten trafiał do przekonani i odczuć znacznej części inteligencji, szczególnie do młodego i średniego pokolenia inżynierów, ekonomistów, organizatorów produkcji. Jego zaletą był wierny opis wycinka przynajmniej rzeczywistości. Tygodnik wywoływał dyskusje, a nawet sam Stefan Kisielewski pisał o nim poważnie, z nutką sympatii, acz nie bezkrytycznie.

Dziś *Polityka* wegetuje na marginesie życia społecznego i większe zainteresowanie zdaje się wzbudzać *Veto*, rodzaj *Polityki* w krótkich spodenkach, propagujące naturyzm, podające notowania czarnorynkowe i omawiające rockowe płyty. Główne swe zadanie — obronę praw konsumenta — spełnia *Veto* z równym powodzeniem jak *Polityka* walczy o racjonalny model gospodarki. Wydaje się jednak przy tym nie mieć takiego poczucia misji.

Polityka jakby nie zauważyła, jak bardzo w ciągu ostatnich lat zmieniła się świadomość Polaków. Najpopularniejszy niegdyś tygodnik sprawia wrażenie tworu przeniesionego z innej epoki. Trzeźwi publicyści poruszają się w matni swych zdroworozsądkowych prawd, zachwycając się własnym stylem, rozkoszując dowcipem i inteligencją. Całość służy jedynie usprawiedliwianiu oportunistów, zaś popisy słowne stały się, nieopartym o żadną skalę wartości, mędrkowaniem. I nie zmienia tego ani ostrożne artykuły przeciwko ustawom związkowym, ani równie ostrożne dowodzenie, że reforma gospodarcza zamienia się w swe przeciwieństwo.

Przykład *Polityki* jest o tyle interesujący, że z niej wywodzi się dwóch najczęściej występujących publicznie przedstawicieli ekipy generała Jaruzelskiego. I to interesujący z dwóch powodów. Po pierwsze wskazuje, że propaganda jest podstawowym i ulubionym zajęciem władzy. Po drugie losy czołowego niegdyś publicyisty *Polityki*, a tym bardziej jej redaktora naczelnego, człowieka, który w swych rozlicznych publikacjach dowodził, że ma receptę na racjonalny komunizm, są modelowym wręcz przykładem, że komunizmu nie da się ani zrationalizować, ani uczłowieczyć. A nowy redaktor naczelny *Polityki* wzorem swego poprzednika dowodzi, że jesteśmy w przededniu zmian na lepsze, że wreszcie mamy rozsądną pragmatyczną ekipę. Liberalizm pod bramami...

„Normalizacji stopień wyższy”

Sama ekipa jest zresztą przekonana zarówno o swym rozsądnym pragmatyzmie jak i liberalizmie. W licznych wywiadach ministrowie i sekretarze pragną ukazać siebie jako normalnych obywateli, którzy z ciężkim sercem w trudnej sytuacji wzięli na

siebie obowiązek sprawowania władzy. Ci niepoprawni wręcz zwolennicy demokracji bardzo chcieliby podzielić się ze społeczeństwem częścią przynajmniej swych uprawnień, udzielić mu kredytu zaufania. Nauczeni smutnym doświadczeniem wiedzą jednak, że wolność ten niesforny i niewdzięczny naród przekształca w anarchię i zwraca przeciwko swoim dobroczyńcom. Więc „muszą być granice tolerancji” — jak niedawno stwierdził sekretarz Barcikowski. Wyznacza je służba bezpieczeństwa i sądy, zakreślają uchwały wyjątkowe, czuwa nad nimi cenzura. Są też granice prawdomówności — mógłby dodać przedstawiciel najwyższych władz. Ogłoszony wynik wyborów, który niemal w tym samym stopniu odbiega od 99-cię procentowych standardów obowiązujących w bloku sowieckim co od rzeczywistych rezultatów jest przykładem do jakiego stopnia mogą być one przesunięte.

Przesuwając tak daleko granice prawdomówności władza ukazuje jak bardzo chce być wiarygodna, jak jej zależy na społecznej akceptacji. Udowodniła już, że może się bez tego obejść. Lecz zdobycie zaufania i sympatii to jakby znormalizowanie normalizacji — ludzie powinni nie tylko pogodzić się z niewolą, lecz też polubić swego władcę. Któż zresztą nie pragnie być lubianym?

Wicepremier w swym przedwyborczym wystąpieniu, jak zwykle z nutką hysterii w głosie, dowodził, że władza nie potrzebuje takich, którzy pójdą głosować ze strachu — ci mogą zostać w domu, głosować mają tylko przekonani. Klasyczny wręcz przykład zaklinania rzeczywistości słowami. Nazwać strach — odwagą głoszenia własnych przekonań, podległość i przekupstwo — rzeczową współpracą, pogardę dla własnego narodu — postępową wizją klasy robotniczej i oto gotowy model zachowania — nie nawidzieć przeciwnika, nie zauważać szkód jakie się wyrządza i czuć głębokie zadowolenie z posiadanej władzy.

„Swoi czy obcy?”

Nie mogąc zdobyć społecznego poparcia rządzący wiążą ze sobą ludzi niemi tysiąca zależności. Mają w tym dużą wprawę a do dyspozycji szeroki wachlarz kar i nagród. Władza jest jedynym niemal pracodawcą, co pozwala jej decydować o poziomie życia prawie każdego mieszkańca Polski. Nie tylko. Monopol dawania pracy wywołuje daleko głębsze następstwa. Powstaje mechanizm demoralizacji i zaniku poczucia prawa. Jeden łapówki bierze, inny je daje. Kupuje się „na lewo” brakujące towary, podczas godzin pracy załatwia prywatne interesy, remonty przeprowadza się używając wyniesionych z budowy materiałów, w ten sam sposób „kombinuje się” muszle klozetowe, kłamki do okien,

części do samochodów, żarówki i śrubki. Towary, które w normalnym systemie po prostu kupuje się w sklepie. Każdy jest potencjalnym złodziejem, paserem, spekulantem. Na każdego znaleźć można jakiś „haczyk”.

Równie silnie działają powiązania personalne. Cały kraj pokryty jest misterną siecią „dojść”. W bliższej lub dalszej rodzinie czy wśród znajomych zawsze znajdzie się ktoś powiązany z hierarchią władzy — urzędnik w Radzie Narodowej, dyrektor z nomenklatury, sekretarka w partyjnym Komitecie, milicjant, czy chociażby woźna w ważnym urzędzie (dobrze gdy jest partyjna). Poprzez nich można przyspieszyć zakończenie pilnej sprawy, zostać wpisanym w pierwszej kolejności na listę w spółdzielni mieszkaniowej, umorzyć oskarżenie przed kolegium, załatwić dodatkowe kartki żywnościowe czy talony na benzynę. Ogólnie — ułatwić sobie życie.

Lecz też w prawie każdej rodzinie są zwolennicy lub działacze „Solidarności”. Nie przypadkowo więc przed 13 października odbywały się rodzinne narady i kłótnie, następowały gwałtowne zerwania i ciche pogodzenia. W domowych starciach rodziła się wyborcza taktyka.

Urzędnicy reżimu, członkowie partii i ich bezpartyjni poplecznicy podlegają wpływom otoczenia. Wielokrotnie już, w marcu '68, grudniu '70, sierpniu '80 czy grudniu '81 wydawało się, że w PZPR zostają już tylko sami aideowi karierowicze. A jednak stale obserwowac można partyjnych dysydentów, którzy rozczarowani opuszczają PZPR. Co wrażliwsi nie wytrzymują. Ciśnienie społeczne jest duże a członkowie PZPR spotykają się z nieufnością w każdym niemal środowisku. Często tłumaczą się mało przekonującymi racjami lub starają się wstydlivy fakt ukryć. Również nowe związki zawodowe skromnie zachowują w tajemnicy listy swych członków, zaś na listach wyborczych nie była wymieniana przynależność partyjna kandydatów. Gdyby policzyć ludzi deklarujących przed swymi znajomymi, że nie wzięli udziału w wyborach, ich liczba znacznie przekroczyłaby 40 %. Nawet taki rodzaj współpracy z władzą jest rzeczą wstydlivą. Mówił o tym, choć niezbyt świadomy znaczenia swych słów wicepremier Rakowski, gdy na jednym ze spotkań oświadczył, że to naciski środowiskowe nie pozwalają wielu ludziom na zaangażowanie się po stronie polityki rządu.

Stronnicy władzy raz po raz ocierają się o rzeczywistość, słuchają opowieści o społecznym oporze, o aresztowaniach, rozmawiają o Wałęsie i TKK, czytają ukradkiem prasę niezależną i wydawane poza cenzurą książki. Nie ma to jeszcze większego wpływu na ich publiczne zachowania. Lecz już dziś bardzo im zależy, by znajomi mówili „partyjni, ale porządny człowiek”.

Być może tego właśnie potrzebowali pracownicy gdańskiej SB aresztowani pod zarzutem współpracy z „Solidarnością”. Z całą pewnością podobne motywy kierowały licznymi członkami komisji wyborczych, przekazującymi swym znajomym z „Solidarności” dane o rzeczywistej frekwencji.

Wiedza o nas samych

Wszyscy bowiem czują nieodwracalność zmian posierpniowych. Ich szybkość została gwałtownie wyhamowana w grudniu '81. Lecz kierunek został wytyczony. Dowodzi tego 10 milionów ludzi, którzy nie wzięli udziału w wyborczej farsie. Była to świadoma odmowa życia w kłamstwie. Zarówno władza jak i „Solidarność” uczyniły wiele, by każdy bojkotujący wiedział co wybiera.

O ile wezwanie do bojkotu było oczywistą konsekwencją zasad którymi kierowała się zawsze „Solidarność”, o tyle z punktu widzenia taktyki politycznej liczenie głosów mogłoby wydawać się błędem. „Solidarność” wchodziła tu na teren przeciwnika, dysponującego potężną machiną propagandową i aparatem umiejącym równie sprawnie zmuszać ludzi do głosowania jak fałszować wyniki.

Czterdzieści niemal lat temu legalnie działające PSL, będąc prawdziwym zwycięzcą wyborów nie było nawet w stanie przebić się z informacją o fałszerstwach. Ten przykład jest jednak zawodny. Przy wielu nasuwających się podobieństwach zachodzą bowiem istotne różnice. Decydując się na udział w wyborach, a bojkot nie wchodził wówczas w rachubę, PSL uznało tym samym, że liczy się nie rzeczywista ilość oddanych na stronnictwo głosów, lecz liczba wprowadzonych do Sejmu posłów. A tych było tylko 28. Sytuacja „Solidarności” była znacznie lepsza. Związek nie musiał zajmować się grą wyborczą. Istniała tylko obawa, że SB zatrzymując obserwatorów, może nie dopuścić do liczenia, a nawet odkryć organizacyjną siatkę przekazywania wyników. Zakłócić liczenie mogły również grupy wydelegowane do wchodzenia i wychodzenia z lokali wyborczych (co częściowo się udało i co trzeba brać pod uwagę przy ocenie wyników podawanych przez „Solidarność”). Cały problem politycznej gry z władzą zamienił się więc w problem organizacyjny: jak liczyć by nie zostać zauważonym, jak przekazywać wyniki a następnie jak sprawnie je podsumować i szybko podać do publicznej wiadomości. „Solidarność” z Lechem Wałęsą i podziemną prasą posiada dużo większe możliwości niż legalne PSL. Był to też sprawdzian rzetelności i uczciwości — umiejętności pogodzenia się z niezadowolona-

jącym wynikiem. Informacje przekazywane przez członków komisji wyborczych ukazują jak skrupulatni byli obserwatorzy „Solidarności” — ich obliczenia nie różnią się, niekiedy są nawet wyższe od rzeczywistej frekwencji.

Sam zakres bojkotu musi jednak wywoływać pewne rozczarowanie. Na ocenę wpływa porównanie z rokiem 1981, kiedy na biurka sekretarzy leciały partyjne legitymacje, milicjanci zakładali własny związek zawodowy, zaś Sejm zdawał się zachowywać nie całkiem po myśli władzy centralnej. Chwilę później okazało się, że władza dysponuje jednak dostatecznie mocnymi atutami, zaś dość znaczna część społeczeństwa boi się ryzykować w imię niepewnej przyszłości. Łatwo uzyskano w sierpniu '80 poczucie wolności, może dlatego nie tak trudno przyszło się z nim pożegnać.

Lecz właśnie obliczenia wyborcze dowodzą, że wiele milionów Polaków nie zrezygnowało. Po wyborach wiemy o polskim społeczeństwie więcej niż dotychczas. Jak stwierdził w wywiadzie dla *Tygodnika Mazowsze* Konrad Bieliński, pełnomocnik TKK d/s liczenia frekwencji: „(...) przede wszystkim jest to wiedza o rzeczywistości (...) głównym naszym celem nie było wykazanie, że władza kłamie przy podawaniu wyników wyborów. Do tego nie trzeba tak wielkiego nakładu pracy. Wystarczy doniesienia z kilku komisji wyborczych, żeby podważyć wiarygodność wyników globalnych. A nam chodziło o coś więcej — o odebranie władzy monopolu na wiedzę o nas samych. I możemy powiedzieć, że udało się to osiągnąć”.

Prysnął i tak już mocno nadwątlony mit o jedności polskiego społeczeństwa, o jednobrzmiącym odrzuceniu komunizmu. I dobrze się stało. Nawet w czasach legalnie działającej „Solidarności” czynił on więcej szkody niż pożytku, będąc rodzajem tłumika w dyskusji, utrudniając zrozumienie zachodzących procesów. Można być, bez wątplenia, nadal pewnym, że w wolnych wyborach na partię komunistyczną, o ile by w ogóle istniała, nie głosowałoby nawet kilka procent wyborców. (W przeprowadzonych ostatnio badaniach wśród studentów warszawskich wyższych uczelni chęć taką wyraziło około 3 % respondentów). Lecz pewne też jest, że przeciwko PZPR wystąpiliby wówczas z zapałem Dobraczyński, Komender, Morawski czy Zieliński, którzy dziś łączą pochwały dla komunistycznego systemu z chrześcijańską nauką społeczną, będąc pilnymi wykonawcami poleceń władz. O tym, że władza przyciąga mniejszego i większego kalibru karierowiczów i spryciarzy wiadomo jednak od dawna. Dziś wiemy też, że w Polsce pogrudniowej PZPR potrafi wywołać pożądane dla siebie zachowanie 60 % społeczeństwa. To dużo w porównaniu z naszymi życzeniami, bardzo mało by władcy tego kraju czuli się tu jak u siebie w domu.

„Kościół a 'Solidarność' ”

Jednym z podstawowych osiągnięć bojkotu jest ukazanie faktycznej współpracy Kościoła i „Solidarności”. Był to i jest problem szczególnie delikatny, wart wnikliwej uwagi.

Mówienie o ogromnej roli Kościoła katolickiego w Polsce jest czystym truizmem. Jego znaczenie przyznają nawet przeciwnicy — wśród nich rządząca partia komunistyczna.

Nie ukrywamy, zgodnym z doktryną celem komunistów jest likwidacja religii. Ponieważ pozostaje to od lat nierealizowalną mrzonką, taktyka PZPR polega na dążeniu do ograniczenia roli Kościoła w życiu publicznym, poprzez ostre ataki na instytucje kościelne i poszczególnych księży lub przez stale ponawiane próby włączenia księży i biskupów do własnej politycznej gry. Walka z Kościołem nie jest li-tylko ideologiczną zachcianką komunistów, bitwą ateistycznej religii z prawdziwą wiarą. Siła oporu polskiego społeczeństwa przeciw sowietyzacji jest bezpośrednio związana z Kościołem. Nie negując znaczenia ruchów w innych krajach zniewalanej Europy, podziwiając czechosłowackich, rosyjskich, ukraińskich czy litewskich obrońców praw człowieka, nie sposób nie dostrzec różnicy jaka dzieli ich działania od osiągnięć ruchu oporu w Polsce. Bez moralnego chociażby wsparcia Kościoła wpływ polskiej opozycji na życie społeczne kraju nie byłby dużo większy nad to, co dzieje się w krajach ościennych. Lecz też rola Kościoła jest pochodną przywiązania Polaków do religii katolickiej. Więż wynika ze stałych dążeń Kościoła zarówno do wyrażania trudno opisywalnych odczuć i nadziei narodu, jak i stawiania ludziom pewnych wymagań. W latach stalinowskich prześladowany Kościół był jedyną instytucją, gdzie padały słowa prawdy. Nie mniej ważny był fakt, że słowa te mogły padać w wypełnionych wiernymi świątyniach. Poczucie wspólnoty spowodowało, że polskiego katolicyzmu nie załamały ani procesy duchownych, ani próba rozbicia go od wewnątrz przez ruch księży patriotów, ani nawet aresztowanie Prymasa Polski.

Próba zrozumienia dalekosiężnej polityki Kościoła jest niezwykle ważna również dla oceny sytuacji obecnej. Działania Kościoła muszą być szczególnie ostrożne. Dąży on do zachowania pełni własnej tożsamości nie chcąc jednocześnie zamykać dróg pertraktacji z rządem. Zerwanie linii negocjacyjnej doprowadziłoby do nieobliczalnych następstw. Prowadząc rozmowy przedstawiciele Episkopatu wywierają pewien łagodzący wpływ na politykę władz, chroniąc podstawowe wartości i broniąc ludzi przed represjami.

Mając pełne prawo czuć się moralnym reprezentantem całego

narodu Kościół dąży konsekwentnie do uniknięcia spięć i zatarogów. Lecz tym ostrzej i wyraźniej słyhać słowa biskupów, gdy potępiają postępowanie komunistycznych władz, i gdy w poszczególnych dziedzinach życia społecznego brzmi „Non Possumus”.

W ocenach polityki kościelnej dają się zauważyć dwie tendencje. Z jednej strony absolutyzuje się wypowiedzi przedstawicieli hierarchii i nerwowo pohukuje na wszelkie objawy krytyki. Często, jak się wydaje, wynika to nie tyle ze szczerzej chęci obrony Kościoła przed atakami, lecz z bardziej prozaicznych zamiarów monopolizowania jego autorytetu i wzmocnienia własnej pozycji politycznej. Zastanawiające jest bowiem, że obrona rzadko polega na rzeczowej polemice. Zastępuje się ją powoływaniem na wiekową mądrość Kościoła, bądź wręcz oskarżeniami o „podcinaniu wspólnych korzeni”. Tak jakby w Polsce roku 1985, po dwóch pielgrzymkach Jana Pawła II i milionach ludzi wsłuchujących się w Jego słowa, w Polsce masowych pielgrzymek i wypełnionych Kościołów, gdzie w pogrzebie zamordowanego kapłana bierze udział ponad pół miliona ludzi, by w tej Polsce jakikolwiek głos krytyczny mógł zaszkodzić pozycji Kościoła katolickiego.

Z drugiej strony zdarzają się co pewien czas ataki na hierarchię kościelną za zachowawczą politykę, za zbytne ustępstwa wobec władz. Czuje się tu mniej lub bardziej jasno wyrażane żądanie, by Kościół nie tylko otwarcie poparł opozycję, lecz wręcz stanął na jej czele. Powstaje tu nie tak znów niejasne przypuszczenie, że ci, którzy pragną, by Kościół załatwił za nich pracę i polityczną i związkową, to ci sami, którzy przy innych okazjach rozpaczają nad klerykalizacją życia społecznego. A więc dobrze gdy my wymagamy od Kościoła, źle gdy Kościół wymaga od nas. Dziwne.

Dwa stanowiska wyrażają, aczkolwiek w diametralnie różnej formie, dążenia do przekształcenia Kościoła w instytucję polityczną, bądź przynajmniej w parawan zasłaniający polityczne działania. Sprowadza się więc Kościół do roli sterowanego przez polityków przedmiotu i żąda, by traktowany był jako nieomylny monolit, z monopolem wiedzy o wszystkich zjawiskach społecznych. A będąc monolitem w sprawach wiary i ewangelizacji, w ziemskich sprawach Kościół wcale monolitem nie jest. Pomijając nawet cały skomplikowany problem roli laikatu w działaniach Kościoła, nie trudno zauważyć, że zachowania księży są zróżnicowane. Nie ma w tym nic dziwnego, duchowni są integralną częścią społeczeństwa. Ich działania muszą więc w znacznej mierze być odbiciem pragnień i oczekiwań ludzi. Wyrażać siłę i słabości Polaków.

Obok kapłanów głoszących otwarcie potępienie ateistycznego i totalnego systemu, są księża, którzy godzą się na pełną współpracę z władzami, połączoną nawet z popierającymi wybory wys-

tapieniami w telewizji. Również w wystąpieniach przedstawicieli najwyższej hierarchii kościelnej zauważyć można, dość znacznie, choć oczywiście nie w takiej rozpiętości, różnice w doborze poruszanych problemów społecznych, ocenie sytuacji, rozkładaniu akcentów. Polityka wobec władz lokalnych jaką biskupi prowadzą w swych diecezjach też nie polega na mechanicznym odtwarzaniu wzorców, lecz jest elastyczna i dostosowana do miejscowych warunków. Tkwi w tym między innymi siła Kościoła, który zostawiając duchownym dużą samodzielność, trwa przez wieki jako organiczna jedność kapłanów i ludu.

Wyobrażenie, że hierarchia kościelna może wydawać wykonywane od góry do dołu rozkazy, jest tak bzdurne, że nie warto dyskusji. Nie budzi zdziwienia, kiedy tak właśnie widzą Kościół funkcjonariusze komunistycznej partii, którzy nie są w stanie wyobrazić sobie innej organizacji społecznej niż leninowska „partia nowego typu”. Lecz zastanawia, gdy tak rozumują niektórzy niezależni publicyści.

Siła oddziaływania Kościoła opiera się na autorytecie i zaufaniu, na zaleceniach i wskazaniach a nie na rozkazach i bezmyślnym wykonawstwie. Lecz z nakazu myślenia wynika też prawo krytyki.

Jeżeli wystąpienia Prymasa Polski wydają się być niekiedy nietrafne lub niezręczne, jest nie tylko prawem, ale i obowiązkiem zwracanie na to uwagi. Prymas może oczywiście nie zgodzić się z głosami krytycznymi, może ich nie brać pod uwagę, lecz dobrze jest gdy zna odczucia przynajmniej części odbiorców swoich słów. Daje to znacznie lepsze efekty, także we wzmacnianiu autorytetu Kościoła, niż nie zawsze szczerze pochlebstwa.

Również oficjalne wypowiedzi Episkopatu powinny podlegać wnikliwej analizie i ocenie. Nie wydaje się jednak, by najbardziej nawet zapalczywy zwolennik działań radykalnych, o ile tylko nie żąda, by Kościół wezwał lud na barykady, mógł doszukać się potknięć w dokumentach Episkopatu. Są one zawsze wyważone, jasne i kiedy trzeba stanowcze. Co więcej znajdują doskonałe uzupełnienie w dochodzących do Polski i uważnie słuchanych słowach Jana Pawła II.

Można się oczywiście zastanawiać, czy nie nazbyt szybko Konferencja Episkopatu zrezygnowała z podkreślania legalnego charakteru „Solidarności”, a nawet z wymieniania jej nazwy. Należy jednak pamiętać, że biskupi potępiili rozwiązanie wszystkich instytucji niezależnych. Ich stanowisko w tej sprawie jest więc dostatecznie jasne. Wielu księży nadal otwarcie broni „Solidarności” i jej działaczy, zaś związek zawodowy o prawo do istnienia powinien umieć walczyć przede wszystkim wolą swych członków.

W sprawie wyborów stanowisko Kościoła wydaje się być najlepsze z możliwych. Odrzucona została kuglarska propozycja władz, by za wpisanie na listy poselskie pewnej liczby działaczy katolickich wskazanych przez hierarchię kościelną Episkopat poparł wyborczą farsę oraz odciął się od solidarnościowej opozycji. Nikt z biskupów nie głosował, zaś słowa Prymasa Polski po powrocie z Rzymu, że nie wziął udziału w wyborach z powodu nawału ważnych spraw, można rozumieć jak dyplomatyczny żart, wyrażający głębszą treść — los Polski nie rozstrzyga się przy komunistycznych urnach wyborczych.

Ci, którzy mieli nadzieję, że Episkopat w sposób otwarty wezwie do bojkotu nie tylko nie rozumieją zasad polityki Kościoła, lecz również pragną, by Polacy zamiast podejmowania samodzielnych decyzji wykonywali ogólne nakazy. Istotna wartość odmowy udziału w głosowaniu kryje się właśnie w samodzielnym wyborze. Jeżeli natomiast ktoś (a nie było to znów tak rzadkie) po uczestnictwie w Mszy św. biegł do urny wyborczej musiał swój czyn wziąć na własne sumienie. Sprawiał przy tym wrażenie człowieka trzymającego i świeczkę i ogarek. Milczenie biskupów było dostatecznie znamienne.

Jest oczywiste, że Kościół nie może oficjalnie popierać działającego w podziemiu związku. Lecz jest równie jasne, że będzie udzielał moralnego poparcia ludziom działającym na rzecz wolności i będzie bronił prześladowanych. Taka była i jest praktyka Kościoła, widoczna zarówno w wystąpieniach biskupów, jak i w zachowaniach bardzo wielu księży. W dostępny dla siebie sposób i Kościół i „Solidarność” bronią praw i godności człowieka, dążą do Polski wolnej i niepodległej.

„W poszukiwaniu metody”

Związek działający w podziemiu nie może liczyć 10-ciu milionów członków. To jasne. Od początku stanu wojennego „Solidarność” była przytłoczona świadomością, że tak wielka organizacja okazała się niezdolna do bezpośredniej obrony.

Paraliżujące było też przekonanie, że kierownictwo Związku zawiodło, nie umiało odczytać zręcznej gry władz, że 13 grudnia nie przewidział literalnie nikt. Warto, by każdy z nas, ludzi, którzy mieli jakikolwiek wpływ na działania Związku umiał powiedzieć to sobie i innym. Może w ten sposób uda nam się uniknąć i samochwalstwa i wzajemnych oskarżeń, umniejszających powagę rozważań nad dniem dzisiejszym. Powinni to zrobić zarówno ci, którzy widzieli całkowity rozkład systemu, ci, którzy do ostatnich chwil twierdzili, że władze centralne dążą do porozumienia, jak i ci, którzy prezentowali swe poglądy w sposób

może mniej skrajny, lecz równie mało trafny. Prowadziliśmy dyskusje, zakładaliśmy kluby, nie potrafiąc jednak przewidzieć najbliższych wydarzeń, nie doceniając osłabienia ruchu z którego „Solidarność” wyrosła, nie widząc sił i manewrów przeciwnika. Przyznanie się do błędu nie musi wcale oznaczać posypywania sobie głów popiołem. W różnego typu deklaracjach, w dyskusjach, sformułowano wiele pytań do dziś aktualnych, dano wiele znaczących odpowiedzi. Idea „Solidarności” pozostaje ciągle żywa.

Otwarte i nierozwiązane jest natomiast zagadnienie kompromisu. Niejasność tego pojęcia ciążyła i ciąży nad działaniami Związku. Kompromis jest niejako pochodną programowego odrzucenia użycia siły w działaniach społecznych. Jest też propozycją polityczną — gdy obie strony wiedzą, że nie mogą odnieść zwycięstwa zawierają porozumienie, uwzględniające wzajemne interesy. Na czym ma jednak ono polegać, gdy zachowanie kontrpartniera nie wskazywało i nadal nie wskazuje chociażby na możliwość zawieszenia broni? Gdyby władza uznała faktycznie, niekoniecznie nawet w formie ustawy, istnienie pluralizmu związkowego, zrezygnowała z politycznych represji i rozpoczęła wprowadzać w życie reformę gospodarczą można by mówić — jak to określił Prymas Polski — o rodzaju pokojowego współistnienia. Lecz od tego dzieli nas dystans równie długi jak odległość między obecnym samozadowoleniem a postulowanym rozsądkiem władz.

Propozycje uwzględniające zasadę kompromisu są liczne. Można tu dostrzec, choć nie zawsze, zarysy politycznych podziałów. Niewątpliwie za różnymi koncepcjami kryją się różne wizje najbliższej przyszłości i odmienne sposoby uprawiania działań społecznych. Tym większa jest potrzeba jasnego formułowania poglądów. Ważne jest by umieć odróżnić różnice taktyczne od różnic zasadniczych.

W roku 1982 najbardziej skrajne stanowisko przedstawił Jacek Kuroń, wzywając do obalenia obecnej ekipy i zawarcia umowy bądź z jej ewentualnymi następcami, bądź z przedstawicielami Kremla. Popełnił przy tym — jak się wydaje — ten sam błąd, jak w listopadzie 1981, gdy uważał, że system komunistyczny jest już niezdolny do działania. W centralne ośrodki władzy uderzyć nie mógł nikt poza wojskiem. Jeżeli nawet nie z powodu wyznawanych zasad, to z powodu braku środków. Zaś wojsko było całkowicie po stronie władzy. Warto jednak podkreślić, że przy wszystkich swych słabościach Kuronia koncepcja radykalnych działań i umiarkowanych celów była, kto wie czy nie jedyną, próbą poszukiwania „wyjścia z położenia bez wyjścia”.

Inna, bliższa realiów propozycja przewidywała przeprowadzenie strajku generalnego. Po nieudanych strajkach grudniowych i pacyfikacji poszczególnych ognisk oporu, brak wiary w powodze-

nie nowego strajku był niemal powszechny. Dodatkową słabością projektu, propagowanego głównie przez Zbigniewa Romaszewskiego i niektórych działaczy gdańskich był brak pomysłów, co zrobić, gdy oddziały wojska otoczą zakłady, czekając na wyzerowanie strajkujących. Projekt wynikał wprost z myślenia w kategoriach Sierpnia '80, kiedy przestraszona i zdezorientowana władza niemal programowo bała się użyć siły i zasiadała do negocjacji. Lecz zmieniły się czasy. Zmianie uległy nastroje obu stron konfliktu. Mimo to, jak wykazał dość duży odzew na wezwania do krótkich 15-tominutowych strajków, szanse zorganizowania strajku generalnego istniały. Poczucie odpowiedzialności przywódców, podobnie jak w marcu 1981, kazało im się cofnąć.

Wyraźnie opartych na idei kompromisu rozwiązań szukali: Stefan Bratkowski proponujący „ustronne, gdzieś w Europie miejsce” na rokowania między przedstawicielami społeczeństwa i władz oraz Społeczna Rada Episkopatu, która opracowała i przedłożyła władzom umiarkowaną w swych postulatach propozycję, mogącą zadowolić obie strony konfliktu. Odpowiedzią było milczenie, wynikające z przekonania ekipy stanu wojennego, że problemy „Solidarności” i społeczeństwa można rozwiązać metodą siłową. Stanowiło to o słabości propozycji, odwołujących się do rozsądku władz.

Opisany przez Wiktora Kulerskiego i Zbigniewa Bujaka projekt budowy niezależnego społeczeństwa nie odrzucał ani możliwości strajku generalnego, ani prowadzenia rozmów z władzami. Zawierał natomiast propozycję co zrobić, gdy strajku zrobić się nie uda, władze nie zechcą rozmawiać i powstanie perspektywa wieloletniego oporu. Koncepcja ta była obecna w myśleniu TKK od jej powstania. Biorąc pod uwagę rolę TKK można tu mówić o rodzaju samorealizującego się proroctwa. Trudno wróżyć co by się stało, gdyby wybrano odmienny wariant działań. Jedno jest tu niewątpliwe — kierownictwo podziemne w miarę precyzyjnie umiało przewidzieć rozwój sytuacji.

Dość wyraźne niebezpieczeństwo tkwiło w przekonaniu działaczy warszawskich, że ruch oporu wytworzy spontanicznie podziemne struktury, zaś rola kierownictwa ma ograniczyć się jedynie do wyznaczania ogólnych kierunków działania. Wywołało to wśród uczestników ruchu niepewność połączoną z poczuciem braku programu i niejasnością zadań. Tworzące się struktury dość często działały w pewnej próżni, nie zawsze jasno umiejąc zdefiniować swe zadania. We Wrocławiu, gdzie przyjęto model nieco inny niż w Warszawie, a Władysław Frasyniuk starał się dotrzeć do zakładów pracy, ruch związkowy okazał się znacznie prężniejszy i lepiej zorganizowany. Dodatkowym bodźcem okazało się istnienie „Solidarności Walczącej”, dość prężnej organizacji odrzucającej całkowity kompromis, lecz silnie odwołującej się do

idei „Solidarności”. Konkurencja może okazać się korzystna, gdy przebiega w atmosferze wzajemnej lojalności. W takim modelu przywódcy są jednak znacznie bardziej zagrożeni i trzej kolejni przewodniczący RKS-u dość szybko znaleźli się w więzieniu.

Nie kwestia organizacji stała się kluczowym zagadnieniem ruchu, lecz problemy taktyki. Kierownictwo Związku popełniło tu szereg błędów, widocznych dobrze z dzisiejszej perspektywy. Słuszny wydaje się dziś zarzut, że za dużo energii roztrwoniono na demonstracje i krótkie strajki. Cel ich nie był zbyt jasny, a straty wynikające z postrajkowych „czystek” w zakładach pracy duże. Nastąpiło tu znów powtórzenie znanych z okresu legalnego działania owych „gotowości strajkowych” i „strajków ostrzegawczych”.

TKK ogłosiła w pewnym momencie rozpoczęcie przygotowań do strajku generalnego, na tyle jednak nieprzekonywująco, iż można było wyczuć, że strajku nie zorganizuje. Tak chyba odebrali ten sygnał członkowie Związku i władza, która zdecydowała się zdelegalizować Związki Zawodowe. Kierownictwo „Solidarności” odpowiedziało brakiem decyzji w październiku, zaś cały Związek fiaskiem strajku listopadowego.

Społeczeństwo niezależne a polityka

Mimo tych błędów które, jak się wydaje, nie wpłynęły zasadniczo na rozwój sytuacji, generalna koncepcja budowy społeczeństwa niezależnego sprawdziła się. Udało się utrzymać ciągłość ideową. O ile jednak program I Zjazdu „Solidarności” w swych zasadniczych zarysach i ideach pozostaje stale aktualny, o tyle zmieniły się formy realizacji. Powstał poważny problem ciągłości organizacyjnej zarówno ruchu jak i Związku. „Solidarność” obok słabej dziś „Solidarności rolników indywidualnych” jest jedyną organizacją, która nigdy nie zaakceptowała swego rozwiązania, którego kierownictwo kontynuuje działania przedgrudniowej Komisji Krajowej. Nie jest to tylko problem definicji i słów. Inne związki i stowarzyszenia po delegalizacji przestały działać. Ich dawni członkowie są czynni w różnorodnych strukturach niezależnego społeczeństwa. Brakuje jednak organów kierowniczych SDP, ZLP, ZASP, ZPAP czy NZS-u. Tworzy to istotną lukę, widoczną szczególnie w ostatnich miesiącach gdy w działaniach na rzecz bojkotu zabrakło głosów intelektualistów i ludzi kultury. Jeżeli już formułować uwagi krytyczne o działaniach polskiej inteligencji, a intelektualistów w szczególności, to nie powinny to być kąśliwe uwagi o ich postawie, lecz rzeczowa krytyka słabości samodzielnych działań organizacyjnych i wynikająca stąd nieumiejętność aktywności grupowej. Działalności intelektualnej brak jest

nie raz myśli przewodniej, dlatego wartościowe często prace giną niezauważone, inne zaś sprawiają wrażenie niekoniecznych i przypadkowych.

Nie chodzi tu o politykę i rysowanie celów perspektywicznych. Zasadniczy i długofalowy cel działań niezależnego społeczeństwa nie jest trudno sformułować — jest nim demokratyczna i niepodległa Polska. Dążenia do realizacji tego celu nie czynią jeszcze z nikogo polityka, tak jak fakt, że wszyscy wręcz członkowie związku zawodowego „Solidarność” są przeciwnikami systemu komunistycznego nie robi ze związku partii politycznej. Suwerenności swej ojczyzny pragnie Amerykanin, Francuz czy Szwajcar i nikt z tego powodu nie nazwie go politykiem, tak jak nikt nie uzna za polityków żołnierzy Września, czy konspiratorów z Armii Krajowej. To, że w specyficznych warunkach PRL-u każde działanie niezależne ma oczywisty sens polityczny, wcale nie musi zobowiązywać ludzi do popierania konkretnego kierunku ideologicznego czy określonej partii politycznej. Nie czyni tego większość członków „Solidarności”.

W poszukiwaniu trwałych form działania

Na zewnątrz Związku powstają natomiast ugrupowania o zdecydowanym obliczu ideologicznym. Tam też tworzą się dwa bloki zarzutów — przesadnego radykalizmu i nadmiernego oportunistycznego „Solidarności”. Zarzuty stare i nawzajem się neutralizujące. Przybierają dziś różną postać, występując to w formie dyskusji między rewolucjonistami a reformatorami, to znów jako spór lewicy i prawicy lub socjalizmu z liberalizmem. Wszelkie notacje ideologiczne są jednak mylące i ukrywają istotę sporu o aktualny sens działań społecznych i politycznych, a także o społeczne przywództwo. „Solidarność” jako najliczniejsza i najbardziej się licząca instytucja opozycyjna pozostaje (i słusznie, bo jest to jej potrzebne) pod obrządkiem ze wszystkich stron. Może to stwarzać wrażenie, że jest ona rodzajem centrum wybierającego między sprzecznymi propozycjami. Świadczyłoby to o politycznej słabości, bycie w centrum nie daje bowiem monopolu na słuszność, zaś eklektyzm postaw nie jest skutecznym lekarstwem na niedomagania myśli politycznej. Wydaje się, że „Solidarność” potrafiła jednak wytworzyć swój własny wzorzec postawy. Co więcej znaczna część głosów krytycznych nie jest przekonująca w świetle małej skuteczności działań podejmowanych przez autorów większości zarzutów.

Program organizowania partii politycznych w celu walki o niepodległość odpowiada na pytanie — „Co chcemy osiągnąć?” zupełnie nie radząc sobie z pytaniem następnym — „jak?”. Dzia-

łania radykalne ograniczają się do napisania programu i ogólnych, choć ostrych ataków na politykę wszystkich mocarstw. Niekiedy słusznych, lecz całkowicie jałowych i bezskutecznych.

Brakiem konkretności razi również propozycja rezygnacji z działań podziemnych i zawarcia ugody z władzami. Tu przynajmniej pewne inicjatywy, jak zakładanie legalnych pism czy klubów, mają sens. Lecz sensowna część propozycji nie jest niczym odkrywczym i od lat stanowi część wysiłków podejmowanych przez wiele środowisk. Co więcej nie pozostaje ona w sprzeczności z aktywnością podziemia, zaś rozważania, co jest bardziej potrzebne przypominają klasyczny dylemat mycia rąk czy nóg.

Odmierna wizja „Solidarności” wynika z przekonania, że powstały w Sierpniu ruch nie może stać się przedmiotem przetargów. Wszelkie ewentualne porozumienia muszą uwzględniać jego istnienie i nie mogą skazywać go na łaskę i niełaskę władz. Ruch musi działać niezależnie od aktualnej koniunktury politycznej. Ta prawda jest oczywista dla wszystkich jego uczestników i tym różni się „Solidarność” od innych zwolenników kompromisu. Równie znaczącą różnicą jest stałe odwoływanie się do formuły wolnego związku zawodowego, jako ideowej podstawy wszelkich działań. Wynika to z przekonania, że walka o wolność związkową, czyli o prawo organizowania się ludzi w obronie swych interesów jest naturalnym dążeniem, tworzy więc najszerszą platformę porozumienia, będąc zarazem najskuteczniejszą bronią przeciw systemom totalitarnym.

Jasny jest cel podejmowanych wysiłków, lecz daleka od jasności prowadząca do niego droga. Związek próbuje odpowiedzieć programem działań codziennych, wcielających w życie ogólną ideę niezależnego społeczeństwa, społeczną aktywnością, tworzeniem instytucji podziemnych, na wprost podziemnych i naziemnych, dających poprzez działania niezależne do uzyskania wpływu na działania władz. Taki program nadaje sens codziennym wysiłkom, pozwala na organizowanie akcji doraźnych, lecz nie zapełnia pustej przestrzeni, jaka tworzy się między teraźniejszością a daleką przyszłością. Nie wystarczy bowiem powiedzieć, że dzisiejsze działania wyznaczają kształt przyszłej Polski, choć jest to stwierdzenie ważne, wskazujące, że dobór środków stanowi o celu. Trzeba też starać się odpowiedzieć na pytanie o kształt ruchu w następnych trzech czy pięciu latach i znaleźć zestaw celów cząstkowych. Brak odpowiedzi na te pytania powoduje słuszną krytykę kierownictwa „Solidarności”, tym razem głównie przez uczestników ruchu. I do dziś nikt nawet nie zbliżył się do wskazania, co należałoby robić jeśli władza okaże się na tyle silna, że żadne niezależne działania społeczne nie zmuszą jej do ustępstw. Inaczej mówiąc — wszelkie myślenie w kategoriach kilkuletnich, jeżeli nie chce stać się zbiorem pobożnych życzeń załamania się imperium, w jakiś spo-

sób musi uwzględnić problem współpracy z władzami. I znów wpadamy w błędne koło kompromisu, którego nie można uzyskać.

Jeżeli dziś jeszcze problem jest nierozwiązywalny, trzeba tak działać, by przynajmniej szansę znalezienia wyjścia przybliżyć. O ile można sądzić z różnego typu wypowiedzi i z artykułów w prasie podziemnej, coraz więcej środowisk aktywnych w podziemiu zdaje sobie z tego sprawę. Zmienił się stosunek do demonstracji — przestały być walką o wszystko, stały się działaniem mobilizującym, sprawdzianem stanu aktywności społecznej. Strajki są dziś walką i to często zwycięską o konkretne sprawy a nie symbolicznymi zrywami w obronie symboli. Pozwala to w innych kategoriach widzieć szanse wzmocnienia działań związkowych w zakładach pracy. A jedynie w ten sposób można poszukiwać programu na najbliższe lata. Bez wolnych organizacji związkowych w fabrykach „Solidarność” działałaby w społecznej próżni, podziemie stałoby się zamkniętym kręgiem ludzi spotykających się jedynie po to, by rozrzucić parę ulotek i powędrować do więzienia. Bez wolnego związku zawodowego można sobie wyobrazić ceną nawet ideotwórczą działalność intelektualną, lecz nie skuteczne działania społeczne. Dziś jeszcze strajk w obronie aresztowanych działaczy wydaje się mało prawdopodobny. Lecz kto na początku roku 1980 przewidywał, że stoczniovcy gdańscy solidarnie przerwą pracę w obronie wyrzuconej działaczki wolnych związków zawodowych? To porównanie nie oznacza, że scenariusz sprzed lat musi się powtórzyć. Wyraża jednak głębokie przekonanie, że głównym zadaniem niezależnego społeczeństwa pozostaje budowa wolnego związku zawodowego.

W podziemiu i na powierzchni

Konieczność istnienia podziemnego Związku jest równie oczywista jak dążenia do legalnego działania. W podziemiu przebywa się nie dlatego, że tu tak miło, lecz z powodu niemożności wykonania większości działań w warunkach jawnych. Bez wątplenia dyskusji powinny podlegać formy organizacyjne. Należy więc brać pod uwagę możliwość samolikwidacji TKK. Taki postulat wysuwają niekiedy zwolennicy umiarkowania, którym istnienie podziemnych władz Związku utrudnia nieco swobodę działania i przeszkadza w pertraktacjach z władzami. Sama TKK staje przed tym problemem po każdej amnestii. Decyzję ułatwia trochę władza, to zostawiając w więzieniu część aresztowanych, to znów rozpoczynając nową falę represji. Podstawowym warunkiem rozwiązania TKK musi być jednak nie tylko zwolnienie więzionych za przekonania, lecz również powstanie na powierzchni, nawet nieformalnego, obdarzonego społecznym autorytetem ośrodka,

zdolnego do kierowania społecznymi działaniami. Do tego czasu samolikwidacja władz podziemnych nie wydaje się rozsądnym posunięciem.

Dziś tylko TKK gwarantuje ciągłość istnienia władz „Solidarności”, sprawia, że członkowie Związku mają poczucie posiadania swej reprezentacji, że ich działania wspierane są przez innych. Mówiąc nieco metaforycznie — korzystniej jest rozwiązać TKK 5 minut za późno, tracąc na tym tylko jej członkowie, niż 5 minut za wcześniej, bo byłoby to porażką całego ruchu.

Przebieg wyborów dowodnie wykazał, że bez podziemnego kierownictwa niemożliwe byłoby liczenie zakresu bojkotu, zaś bez ludzi, którzy są słyszalni i swym autorytetem mogą gwarantować rzetelność badań, podane wyniki nie dotarłyby do opinii publicznej. Dlatego też tak ważna jest rola Lecha Wałęsy. Przed wyborami popełnił on pewien błąd nie wzywając do bojkotu, o którego skali i tak następnie informował. Nie jest to błąd zasadniczy i w pełni go równoważy stałe poparcie dla podziemnych władz Związku, łącznie z TKK, o której w jednym z wywiadów stwierdził, że jest rodzajem kasku chroniącego go przed uderzeniami. Konsekwencja z jaką laureat nagrody Nobla broni praw „Solidarności” i zasad pluralizmu związkowego budzi uznanie uczestników ruchu i wywołuje wściekłość oficjalnej propagandy, która wszelkimi środkami pragnie zniesławić i zdyskredytować „osobę prywatną”. Bez powodzenia.

Lech Wałęsa jest dziś jedynym działającym jawnie przedstawicielem „Solidarności”, którego głos jest słuchany z uwagą i w kraju i za granicą. On też właśnie częściowo wypełnia lukę między dniem dzisiejszym a daleką perspektywą wyznaczonych celów. Jego pozycja i autorytet stwarzają bowiem autentyczne szanse na taki kompromis z władzami, który nie naruszy podstawowych wartości ruchu. Zarówno przewodniczący Związku jak i TKK działają w odmiennych warunkach na rzecz tych samych celów. Stanowi to o różnicy zachowań, nie powinno jednak wywoływać zasadniczych rozbieżności. Uwagi te można zadedykować tym ludziom z otoczenia przewodniczącego Związku, którzy pragną poróżnić go z TKK. To niegodne i szkodliwe.

Po czterech latach

Przez cztery lata „Solidarność” nabrała doświadczeń. Potrafiła wykształcić, mimo błędów i porażek, własny styl działania, daleki jeszcze od doskonałości, lecz dość skuteczny w trudnych warunkach, w których bezprawie staje się zasadniczą częścią sejmowych ustaw. Wiodącą ideą Związek, pozostając szerokim ru-

chem wszystkich warstw społecznych, potrafił stworzyć organizację na tyle sprawną, że zdolną do przedsięwzięć obejmujących cały kraj. „Solidarność” stała się trwałym elementem w życiu codziennym wielu Polaków. Jej działacze szczęśliwie uniknęli niebezpieczeństwa przekształcenia się w oderwanych od życia pełnych frustracji konspiratorów, żyjących poczuciem poświęcenia się dla idei i żywiących pogardę dla normalnych „zjadaczy chleba”. Stali się częścią tego społeczeństwa, które im sprzyja i pomaga. Wybrali aktywność chcąc realizować zarówno wyznawane wartości, jak i samych siebie. Wielu z nich, mimo trudnych warunków w jakich przyszło im żyć i pracować ma poczucie osobistego sukcesu. Aby zobaczyć kim są przejrzeć można listę aresztowanych. Figurują na niej: robotnik, inżynier i technik, student i profesor, nauczyciel i uczeń, emerytka, sanitariusz i pielęgniarka. Przedstawiciele różnych środowisk i zawodów, ludzie w różnym wieku, ze wszystkich części kraju.

„Solidarność” posiada dziś przywódców, którzy budzą zaufanie. Lech Wałęsa, a obok niego Zbigniew Bujak, Władysław Frasyniuk i wielu innych. Posiada też liczące się przedstawicielstwa za granicą, a przewodniczący zagranicznego Biura Jerzy Milewski współpracuje z centralami najpoważniejszych związków zawodowych i przyjmowany jest przez głowy państwa. Niebezpieczeństwo, że komunistyczna normalizacja zmiecie „Solidarność” maleje z każdym rokiem jej trwania. Co prawda, władze zawsze mogą zlikwidować drukarnie, zniszczyć wydawnictwo, sparaliżować TKZ, czy aresztować ukrywającego się przywódcę. Nie wydaje się jednak możliwe, by udało im się zlikwidować Związek.

Zakończyła się akcja bojkotu wyborów. Związek staje więc przed nowymi zadaniami. Istnieje obawa, że po wielkiej mobilizacji wystąpi dość naturalna tendencja do wypoczynku. A zmęczeniu jesteśmy wszyscy.

Patrząc więc w przyszłość z umiarkowaną dozą optymizmu, należy też pamiętać o sile systemu, który przy całej gospodarczej niesprawności, przy stale malejącej sile ideologii, jest jeszcze dostatecznie prężny, by skutecznie walczyć o utrzymanie swego panowania.

Pytanie o przeszłość wciąż pozostaje otwarte.

Jan LITYŃSKI

Dziennik pisany nocą

Neapol, 5 października 1985

W wojennym pamiętniku przysłanym w manuskrypcie z Kraju natknąłem się na zwięzłą informację o „sprawie” Kazimierza Kotta. Pamiętnikarz, który przyjaźnił się z Kazikiem, woli jednak nie ujawniać jego prawdziwego nazwiska, nakłada mu przeczornie na twarz maskę nazwiska zmyślnego. Trzeba więc rozszyfrować nagrobek nieznanego bohatera; należy mu się tyle przynajmniej, gdziekolwiek spoczywa w grobie na nieludzkiej ziemi.

Byliśmy przed wojną członkami tej samej organizacji młodzieży demokratycznej w Warszawie. Natychmiast po klęsce wrześniowej przyłączył się do podziemnej grupy, wyłonionej przez ową organizację. Człowiek niezwyklej odwagi, o wielkim uroku osobistym, zapaleniec wierny głęboko temu w co wierzył. W dymiącej jeszcze Warszawie był jednym z pierwszych aresztowanych przez Gestapo. Uciekł z rąk gestapowców podczas rewizji. Ścigany listami gończymi, zdołał przeskoczyć na teren okupacji sowieckiej i dobrać do Lwowa. Wiosną 1940 ulotnił się ze Lwowa; wkrótce potem zaczęły z okolic nadchodzić wiadomości o wysadzeniu pociągów z dostawami sowieckimi dla Trzeciej Rzeszy. Zamachy powtarzały się w ciągu całego lata, zamachowcy wymykali się wciąż sowieckim obławom. Wczesną jesienią doszło do starcia, oddział otoczono i zmasakrowano. Ciężko rannego Kotta, „organizatora i szefa silnego oddziału polskiej dywersji” (według słów pamiętnikarza) przewieziono na Zamarstynów. Pamiętnikarz pyta: „Zmarł w więzieniu lwowskim, czy został wywieziony i dokąd?”

Symboliczny nagrobek Kazimierza Kotta powinien zawierać

napis: „Zginął na polu chwały w jedynej samotnej i bezpośredniej bitwie z paktem Ribbentrop - Mołotow”.

Jego kuzyn, Jan Kott, poprosił po wojnie jadącego do Moskwy Zygmunta Modzelewskiego (ówczesnego ministra spraw zagranicznych PRL) o próbę ustalenia losów zaginionego. Odpowiedź NKWD odbierała raz na zawsze ochotę do jakichkolwiek dalszych indagacji.

9 października

Zmarłego w zeszłym miesiącu Italo Calvino chcę pożegnać notą o *La giornata d'uno scrutatore*, jego mniej głośnym i cenionym opowiadaniu, które odczytano z roztargnieniem, jak zgrabny lecz błahy drobiazg. Tematem *Dnia skrutatora* jest głosowanie w wyborach do parlamentu włoskiego w Cottolengo, turyńskim zakładzie dla upośledzonych umysłowo i fizycznie od urodzenia. Zakład prowadzą zakonnice, za podszeptem Kościoła mają dostarczyć trochę głosów Demokracji Chrześcijańskiej, pilotując swoich nieszczęsnych podopiecznych do zaimprovizowanych kabin wyborczych. Głosujący nie pojmują naturalnie o co chodzi, spełniają po prostu gorzej lub lepiej polecenia miłosiernych sióstr. Proceder wyborów w „nieograniczonej demokracji” odbywa się pod nie zanadto czujnym nadzorem komisji wyborczej, do której należy bohater opowiadania, intelektualista komunistyczny. Część jaskrawo absurdalnych głosów podlega unieważnieniu, inne przeciskają się przez dość szerokie ucho igielne komisji, której przewodniczy chadek. Tragifarsa wyborów w Cottolengo pozostawia w czytelniku jedno uczucie: wzburzenia na widok takiej obrazy ludzkiego kalectwa (przy pozorach jego „rehabilitacji”).

Calvino oparł swoje opowiadanie na własnym dwukrotnym doświadczeniu skrutatora: w roku 1953 (gdy był komunistą) i w roku 1961 (po zerwaniu z komunizmem). Jest ono raczej subtelną, niemal metafizyczną refleksją o „prawach człowieka i obywatela”, niż sprawozdawczo-dziennikarskim odślonieniem stosowanych niegdyś we Włoszech praktyk demochrześcijańskich.

Poznałem Calvino przed laty w rzymskim saloniku literackim, a odkąd przeniósł się na stałe do Paryża obiecywałem sobie często odwiedzić go i namówić do napisania opowiadania uzupełniającego o wyborach w „demokracji ograniczonej”. Wymyśliłem nawet tytuł dla tego drugiego opowiadania w dyptyku o „prawach człowieka i obywatela”: *La giornata d'un elettore mutilato*. Byłby to opis dnia „wyborcy okaleczonego” w którymś z krajów wschodniej Europy. Wyborcy okaleczonego politycznie i duchowo, nie zaś dotkniętego od urodzenia kalectwem fizycznym i

umysłowym. Wyborcy świadomego wprowadzie o co w procedurze wyborów chodzi, lecz tak samo pilotowanego i instruowanego przez „miłosiernie siostry” na służbie „demokracji ograniczonej”. Powszechne wschodnioeuropejskie Cottolengo, o ileż jednak sprawniej urządzone od epizodycznej zachodnioeuropejskiej tragifarsy w Turynie! I o ileż bardziej rewoltujące na widok takiej, systematycznej i systemowej, obrazy ludzkiego okaleczenia.

11 października

Korpus generała Juin, który odegrał dużą rolę w bitwie pod Monte Cassino, składał się przeważnie z żołnierzy marokańskich. I wślawił się, prócz działań bitewnych, częstym gwałceniem kobiet w miasteczkach i wioskach rejonu zwanego Ciociaria, na przedpolach Opactwa zamienionego w niemiecką twierdzę. *Una marocchinata*, tak określano przyfrontowe operacje erotyczne dzielnych wojaków afrykańskich, którzy nieśli wolność Włochom pod sztandarami Wolnej Francji (rzecz opisał Moravia w powieści *La Ciociara*). Ich dalecy sowieccy towarzysze broni robili to samo w wyzwalanej Europie wschodniej. Przetrwiała anegdota o krasnoarmiejskich, którzy wdzierają się do polskiej chaty i kolejno gwałcą wnuczkę, córkę i babcię. Gdy wnuczka i córka usiłują osłonić starowinkę, jeden z wyzwolicieli zauważa filozoficznie: *Kak wajna tak wajna, wsje dołżny stradat'*.

Gorzkie „odwieczne prawa wojny” postanowiono we Włoszech zaraz po wojnie nieco osłodzić. Wydano ustawę o wypłacie odszkodowań pieniężnych ofiarom „marokinat”: wystarczyło stawić się w odnośnym urzędzie, opowiedzieć dokładnie, kiedy i w jakich okolicznościach dokonany został gwałt oraz przedstawić świadków. W terminie przepisanej ustawą rozkwitł przemyśl rekompensat za zhańbienie: zgłaszały się kobiety młode i stare, panny i mężatki, wdowy i rozwódki, poszkodowane rzeźczywiście i zgwałcone z urojenia.

Historię „marokinat” i państwowych za nie odszkodowań przytaczał zawsze Silone (ze zgrozą potomka surowego abruzyjskiego rodu chłopskiego), ilekroć była mowa o współczesnym „państwie opiekuńczym”. Czy pod naporem wszędo-bylskiego państwa nie pękną pewne naturalne, zakorzenione hamulce bólu, wstydlivości, godności? Czy wolno państwu wkraczać we wszystko, co przeżywa jednostka? Czy nadmiernie „uspołeczniony” człowiek nie zostanie całkowicie wyzuty ze swego indywidualnego losu? W świeżych dyskusjach o „państwie opiekuńczym” pomija się te pytania; rozważa się tylko z rosnącym niepokojem jego rosnące wciąż koszty.

13 października

W doskonałej *Wojnie w eterze* Jan Nowak bardzo słusznie szczeni się „operacją Światło”, najważniejszym dokonaniem rozgłośni polskiej w Monachium pod jego kierownictwem. Mimo oporów „moralnych” większości pracowników WE (należałem do nikomej mniejszości) dopuszczono do mikrofonu zbiegłego gangstera, który w kilkudziesięciu audycjach zadał ciężki cios macierzystemu aparatowi gangsterskiemu w Polsce. Równocześnie z książką Nowaka ukazał się tom *Mówi Józef Światło*, mogłem więc odświeżyć sobie w pamięci co mówił. Po latach światło rzucone przez Światłą „za kulisy bezpieki i partii” przyćmiły nieco inne dzieła z zakresu gangsterologii, z arcydziełem gatunku czyli referatem Chruszczowa na czele. Z drugiej jednak strony warto teraz właśnie Światłą czytać łącznie z książką Torańskiej *Oni*. Badacz demoludowego gangsteryzmu (nazwy *Gangland* używa Norman Davies w *Sercu Europpy*), zapoznawszy się dzięki Torańskiej z notablami gangu, nie może nie odczuwać potrzeby stopniowego, poznawczego schodzenia po drabinie w dół. Światło wspiął się na niej dość wysoko, lecz w mafijnej hierarchii gangu jego szczeblowi daleko było do wierchuszki „ideologiczno-politycznej” zaprezentowanej przez Torańską. Był prostackim bandziorem, dobrze przez „towarzyszy radzieckich” wytresowanym specjalistą od „mokrej roboty”. I jest ciekawy przez to, jak ciekawe byłyby szczeble jeszcze niższe, aż do (powiedzmy) kapitana Piotrowskiego. Ach, jak bardzo chciałbym przeczytać rozmówki ze zbiegłym za granicę, rozżalonym na swoich mocodawców Piotrowskim!

A skoro już puszczać wodze fantazji, czemu jako przysięgły wielbiciel historii gangsterskich nie miałbym sobie pofolgować w śmielszym nawet pomysle? Podobno Światło jeszcze żyje, mieszka w jakiejś prowincjonalnej dziurze amerykańskiej, ma nową twarz, nową oczywiście tożsamość i nową żonę (nieświadomą, rzecz prosta, jego prawdziwej tożsamości). Jest lubianym w miasteczku emerytem, śpiewa ładnie w chórze baptystów albo Świadków Jehowy, nie pije, nie pali i nie gra w karty, celuje w urządzaniu kiermaszów na cele dobroczynne. Codziennie o szóstej wieczorem przychodzi do pustego o tej porze baru na szklanek mleka i pogawędkę z barmanem. O siódmej, przed powrotem do domu, puszcza tę samą codziennie płytę w grajszafie. Długo próbowano w Warszawie wytropić jego miejsce pobytu. Udało się wreszcie. I oto któregoś dnia, kwadrans przed siódmą, wchodzi do baru nieznamy — postawny, w ciemnych okularach, z kłaczastą siwą brodą, w brudnym kombinezonie garażysty. Zamawia piwo, siada na stołku obok blatu, wyciąga papierosa

i ruchem dłoni prosi barmana o ogień. Gdy wybuchają pierwsze dźwięki i ryki puszczonej płyty, rozgrywa się błyskawicznie scena żywcem wzięta z noweli Hemingway'a *The Killers*. Pochylony nad grajszafą Światło obsuwa się na nią z rozkrzyżowanymi rękami. Kto go zastrzelił? Mógłby to być (nie posuwać się tu poza mglistą aluzję!) były kapitan i były Piotrowski, którego po należytym okresie szkolenia w więzieniu wysłano w tajnej misji do Stanów, dając mu szansę odkupienia grzechu fuszerki w aferze z warszawskim ekstremistą w sutannie.

16 października

W nieznanej mi serii londyńskiej *Leaders of the World* nieznanemu mi dziennikarz londyński Robert Maxwell wystawił albumy pomniczek Jaruzelskiemu. Album, o wszelkich cechach publikacji subwencionowanej przez ambasadę „zainteresowanego rządu”, zawiera rys biograficzny Generała, jego „mowy wybrane”, wywiad angielskiego dziennikarza z polskim „przywódcą świata” z maja 1985, oraz bogatą „dokumentację fotograficzną”. Fotografie dobrano pod kątem „szerokiego wachlarza” kontaktów Generała z innymi „przywódcami świata”: od Indiry Gandhi i De Gaulle'a poprzez Tito, Kadara, Castro, ministrów Genschera, Howe i Andreottiego do Breżniewa, Andropowa, Ustinowa, Kulikowa i Gorbaczowa. „Szeroki wachlarz” zachowany jest również w zdjęciach rodzinnych: żołnierze, górnicy, chłopci, robotnicy (tu Generał, *known for his gallant approach to the ladies*, całuje w rękę robotnicę), młodzież, Kościół w osobie Prymasa, środowiska twórcze. Te ostatnie reprezentowane są przez pisarzy (podpis pod fotografią wymienia tylko Auderską, ale można na niej rozpoznać także Żukrowskiego), aktorów i reżyserów (nie wymienionych z nazwiska pod fotografią) i Pendereckiego w trakcie dekoracji Orderem Sztandaru Pracy Pierwszej Klasy. Pominięto dziennikarzy, chociaż są dziś w Polsce środowiskiem najbardziej twórczym. Wśród czarno-białych na ogół fotografii wybija się kilka kolorowych: zaszczytne wyróżnienie spotkało słusznie portret Generała, ogłaszającego na tle sztandaru polskiego wprowadzenie stanu wojennego.

Wywiad jest porcją waty w klamerkach. Klamerka wstępna wygląda następująco. Dziennikarz: „Chciałbym moje pytania zacząć od najważniejszego. Problem Solidarności należy do przeszłości w polskim życiu politycznym, czyż nie tak?”. Generał: „Tak. Dokładnie tak”. Dziennikarz: „Wydaje się, że ekonomia jest dziś jednym z głównych problemów krytycznych Pana kraju”. Generał: „Muszę się znowu z Panem zgodzić”. W klamerce końcowej dziennikarz pozwala sobie, lekceważąc nakazy dyskrecji, za-

pytać Generała dlaczego wzdraga się przed przyjęciem buławy marszałkowskiej. Generał życzliwie dopuszcza pytanie, wyjaśniając z wzorową skromnością, że to „za wysoki honor w porównaniu z moimi osiągnięciami”. Ośmielony dziennikarz nie daje za wygraną, nalega, prawie zaklina: „Godność marszałka byłaby dobrą rzeczą dla Polski i dla Pana osobiście”. Generał, zapewne polecthany mile i nawet rozczulony entuzjastyczną natarczywością dziennikarza, zamyka sprawę „ze szczyptą humoru” (tak cenionego przez Anglików): „Niech to będzie promocja pośmiertna. Nie ma Pan pojęcia jak ładnie wygląda czapka marszałkowska na trumnie!”.

Przed wojną robiło w Polsce furorę romansidło *Między ustami a brzegiem pucharu*. Przyszły historyk PRL zatytułuje obecny rozdział: *Między cichym pogrzebem Solidarności a marszałkowską trumną pierwszego sekretarza i premiera*.

17 października

Wszyscy przegrali, twierdzi bystry włosko-jugosłowiański komentator Frane Barbieri w swoim bilansie wyborów do Sejmu w Polsce. „Wszyscy” to „trzy główne siły” nad Wisłą: Jaruzelski, Solidarność i Kościół. Przegrał Jaruzelski, skoro nie powiódł mu się zamiar rozszerzenia podstaw rządu w duchu swoistej „koalicji”, czyli przesłonięcia nagiej przemocy wiązką listków figowych oberwanych z „umiarkowanej” (przykościelnej) gałęzi opozycji. Przegrała Solidarność, dla której musi obecnie być jasne, że zużywa się z każdym dniem bardziej „plan utopienia reżimu w morzu obojętności obywateli”, że strategia uporczywego wzywania do „dialogu” na przekór chronicznej głuchocie władzy pogłębia w społeczeństwie zmęczenie i skłonność do apatycznej rezygnacji, zamieniając stopniowo „Wałęsę-sztandar bojowy” w „Wałęsę-czcigodny pomnik”. Przegrał wreszcie Kościół, wycofawszy się pod niewypowiedzianym na głos hasłem „ani za ani przeciw” w „sferę ducha i kultu”. Barbieri zastanawia się, czyja przegrana jest większa a czyja mniejsza, ale te jego spekulacje można sobie podarować. W sumie diagnoza, mimo przerysowań i uproszczeń typowych dla obserwatora zagranicznego, wydaje się trafna.

Z dokładniejszą oceną wyborów trzeba naturalnie poczekać na wypowiedzi przywódców Solidarności. Już teraz jednak nasuwa się pytanie o sens lub bezsens dotychczasowej „filozofii działania” Solidarności. Tę „filozofię działania” (tak ją właśnie nazywając) sformułował niedawno Geremek w wywiadzie dla *Le Monde*. Jej filarem jest przekonanie, że reżimowi „należy przeciwstawić wartości moralne”. W wywiadzie mowa też o przykładzie Gandhiego, miłym sercu Wałęsy. Przykład budzi odruchową

sympatię, ale nie zaszkodzi przyjrzeć mu się nieco bliżej. Istnieje ciekawy szkic Orwella *Reflections on Gandhi* (z roku 1949); refleksjom na ogół pozytywnym towarzyszą w nim liczne zastrzeżenia i ostrzeżenia. Orwell ostrzega między innymi przed pokusą uogólniania nauk Gandhiego, który przecież, „urodzivszy się w roku 1869, nie rozumiał istoty totalitaryzmu i wszystko widział w kategoriach swej własnej walki przeciw rządowi brytyjskiemu”. W książce *Gandhi and Stalin* Louis Fischer opowiada jak w roku 1938 zapytał Gandhiego, co według niego powinni robić Żydzi niemieccy w obliczu hitlerowskich prześladowań (pytanie mogło równie dobrze dotyczyć „wrogów ludu” w ZSSR). Gandhi był zdania, że powinni popełnić zbiorowe samobójstwo, które „zmobilizowałoby świat i naród niemiecki przeciw gwałtom Hitlera”. Nie o żadne analogie tu chodzi, lecz po prostu o uprzytomnienie rozmnożonym ostatnio gandhystom polskim, jak trzeba uważać z mechanicznym przeszczepianiem „filozofii działania” z gleby kolonialnej na totalitarną. Po wojnie Gandhi, pryncypialny przeciwnik czynnego oporu, dostrzegł co prawda w końcu różnicę między brytyjskim kolonializmem i nowoczesnym totalitaryzmem, upierał się jednak przy swoim: Żydów i tak wymordowano, mogli więc byli umrzeć przynajmniej, zgodnie z jego dobrą radą, w sposób „znaczący”.

22 października

W powyborczym wystąpieniu Bujaka mowa o „umiarkowanym sukcesie”. A więc porażka czy „umiarkowany sukces”? W wywiadzie udzielonym *Kulturze* (numer wrzesniowy) Bujak mówił, że „ważący politycznie” będzie wzrost liczby bojkotujących (ponad 40%). Tego wzrostu nie było, był spadek. Nieznaczny co prawda, lecz dostatecznie wyraźny, by skłonić do użycia stosowniejszego określenia niż „umiarkowany sukces”. Nie ma potrzeby łagodzić rzeczywistości za pomocą słów. Lepiej chyba byłoby powiedzieć otwarcie: „Chociaż wynik wyborów nie spełnił naszych oczekiwań, Solidarność jest dalej siłą, która nie należy bynajmniej do przeszłości; która jednak, przy wszystkich swoich trwałych i nieodwracalnych zdobyczach, nie może nie widzieć symptomów zniechęcenia i frustracji w społeczeństwie zablokowanym 13 grudnia 1981. Nie wolno nam tych oznak lekceważyć. Musimy rozstać się z pewnymi złudzeniami i wypracować nowe metody walki”.

Bujak apeluje do rządów zachodnich, aby w kontaktach z rządem PRL „nie zapominały o istnieniu opozycji w Polsce”. Zapomną kiedy im to będzie na rękę, bez trudu zapomną. Bez trudu także znajdą dziennikarzy i „politologów”, gotowych do

przeprowadzenia „autopsji” Solidarności. Naprawdę ważna, może nawet jedynie ważna, jest stała obecność Solidarności w świadomości i życiu Polaków. Wątpię, czy w wysiłkach zmierzających do utrzymania i wzmocnienia tej obecności można się wiele nauczyć od apostołów biernego wyłącznego oporu.

25 października

Łagodna szczupła twarz, duże smutne oczy, gęste i zupełnie białe włosy, ledwie zarysowany uśmiech w kątach ust. Ksiądz U., do niedawna diecezjalny egzorcysta w wielkim mieście włoskim, dziś na emeryturze w klasztorze na odludziu. O zwolnienie z funkcji egzorcysty poprosił sam. Zabrakło opętanych przez Diabła? Przeciwnie, ich liczba tak wzrosła, że nie był już w stanie podołać swym obowiązkom. Egzorcyzmy dzielą się na „zwykłe” i „uroczyste”. Pół biedy z pierwszymi, wystarczy do nich święcona woda i modlitwa ułożona przez Leona XIII z inwokacją do Świętego Michała Archanioła. Ale „uroczyste”! Długie, żmudne, często dramatyczne i pełne napięcia, wymagające cierpliwości i uporu, umiejętnego posługiwania się odpowiednimi litaniami i przeplatania ich w odpowiednich chwilach zaklęciami pod adresem Złego, ciągłego trzymania w drżących palcach poświęconej Hostii. Czy wśród opętanych nie przeważają aby ludzie chorzy nerwowo, histerycy, pomyleńcy? Nazywając ich tak lub inaczej, nie wypędza się z nich tym samym Diabła: są w jego mocy, jakkolwiek ich nazwiemy. Skąd ten szatański urodzaj? Nie wie, i właśnie to przejęło go niepokojem, uczyniło z niego egzorcystę na emeryturze, mimo że nie jest jeszcze stary i zniedołężniały; zwłaszcza że tyle zaczęto do niego ostatnio przyprowadzać dzieci, niewinnych dzieci... Ogarnął go lęk przed zwątpieniem, zachwianiem wiary? Ach nie, na odwrót, hartowała się w nim wiara, lecz pojawiło się w niej coś nowego, nigdy dotąd nie zaznanego. Co mianowicie? Kiedyś — nie przeczy — bał się ujrzenia nagle strasznej twarzy swego straszego antagonisty, czując podczas egzorcyzmów jego gorące tchnienie; postanowił odejść — a może i uciec? — do tego oto klasztoru, gdy przeniknął go do szpiku kości dziwny jakiś ziąb. Musi ogrzać się w samotności tutaj, w klasztornej celi, zanim powoła go do siebie litościwy Bóg.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Z refleksji o nacjonalizmie

Myślę, że to nasze zapatrzenie w Polskę, „chorowanie na Polskę”, niemożność oderwania od polskiej historii, „sprawy polskiej”, polskiego losu — to jednak nie jest „nacjonalizm”, przynajmniej w sensie, o który może chodzić w tych rozważaniach.

Nasza дума z „państwa bez stosów”, „Mesjasza narodów”, „za naszą wolność i waszą”, z „nie lękajcie się” Polskiego Papięza i z prostujących się pod biało-czerwonym sztandarem literk-ludzików „Solidarności” — cała ta niekiedy aż bolesna auto-fascynacja szczególnym polskim istnieniem między narodami, polskim protestem i oporem stawianym światu — wszystko to nie jest „nacjonalizm”, ani zębny, ani zbawienny.

Nacjonalizm — to projekcja własnego zła poza obręb tego co swoje, stworzenie na zewnątrz własnej wspólnoty trwałego stereotypu obcości, w którym materializuje się demoniczny pierwiastek bytu.

Kiedy zacna kobieta, która w życiu muchy nie skrzywdziła, na wiadomość o mordercach spod Torunia, z oczyma pełnymi łez, broni się przed uwierzeniem: to niemożliwe, przecież to Polacy, Polacy nie są zdolni do takiej zbrodni — to jest wariant naiwny, nawet jakoś tam sympatyczny.

Kiedy działacz „Solidarności”, jesienią 1981 roku, występując na wiecu twierdzi, ku osłupieniu życzliwych i satysfakcji niezadowolonych obserwatorów, że ci z rządu to nie Polacy, tylko sami Żydzi — to jest w tym rozpaczliwa próba wytłumaczenia sobie, dlaczego nie można się z nimi dogadać „jak Polak z Polakiem”,

Odpowiedź na Ankietę „Arki”, wydrukowaną w numerze 11 z 1985 roku.

dłaczego brak wspólnego języka czyli wspólnej miary dobra i zła, sensu i nonsensu w sytuacji rozdzierającego kraj Wielkiego Konfliktu.

Tłumaczenie jest opaczne i prymitywne, ale zawiera przecież pierwiastek autentyczny: poczucie, że tamci są obcy, wszystko „nas” z „nimi” dzieli, że możliwość porozumienia była krótkotrwałą iluzją, wojna trwa.

Obcość najłatwiej przeżywać w kategoriach narodowych czy wyznaniowych, sprzyja temu długa tradycja, w dodatku kategorie „klasowe” zostały beznadziejnie skompromitowane przez komunistyczne szalbierstwo.

Oto jednak znakomity adwokat, precyzyjny umysł prawniczy, mówiąc o zbrodni, która wstrząsnęła Polską, formułuje tezę już nie tylko emocjonalną, jak tamta pani, lecz operującą kategorią „korzyści”: nie ma w tym kraju takiego odłamu społeczeństwa — powiada — nie ma orientacji politycznej, która mogłaby upatrywać dla siebie korzyść w popełnionym morderstwie. Głosi to po tym, jak przez salę sądową dzień po dniu przewijali się liczni reprezentanci owego odłamu, owej orientacji, młodzi i starsi, mrukliwi i elokwentni, ale wszyscy do cna załgani, amoralni, drapieżni, prezentujący specyficzną postawę ludzi pewnego świata, o własnych celach, prawach, sprężynach, świata istniejącego w Polsce (na tej sali należą do niego i prokurator, i sędzia, i większość świadków, i oskarżeni), mocno w niej zakorzenionego i rozrosłego, czemu nie przeczy, oraz — tu mecenas ma świętą rację — „służącego obcym interesom”, ale wszak i swoim zarazem, w pewnym najtrywialniejszym sensie — przede wszystkim swoim. Otóż wszyscy ci ludzie jakby nie liczyli się, nie istnieli sami przez się, nie wcielali własnego zła, byli jedynie bezbarwnymi, neutralnymi przewodnikami zła cudzoziemskiego. To, co się stało — stało się w tej wersji jakby poza Polakami, poza Polską, nie naruszając substancji duchowej tego kraju, tego narodu.

Nawiasem mówiąc, zdanie o obcych interesach mogło się bez przeszkód ukazać w kontrolowanych środkach przekazu, ponieważ w swojej ogólności jest doskonale dwuznaczne. Oni też ciągle prawią o obcych interesach, agenturach, działalności „antypolskiej” i o polskiej racji stanu jednoczącej rodaków. Tylko że w skonstruowanej z tych pojęć wizji, od lat (niekiedy nie bez skutku) narzucanej społeczeństwu, oni właśnie są dobrymi Polakami, ich racja — racją stanu, wystąpienie przeciw nim — antypolską prowokacją, wskazanie zaś na obce interesy dotyczy zgoła innej strony świata niż miał na myśli autor przytoczonego zdania.

Opuśćmy teraz na moment grunt rodzinny i zauważmy, że wcale nie jesteśmy osamotnieni w tym naiwnym lub wyrafinowanym ekspulsowaniu szatana poza obręb własnego bytu. Rosja-

nie, przez wielu Polaków traktowani jako niemal wyłączni nosiciele zła historycznego w tym miejscu globu, a w szczególności — zła naszego wieku pt. komunizm, nie tylko — co naturalne — nie poczuwają się do takiego garbu, ale wołają, zupełnie jak my, uznać, że nie mają z tym nic wspólnego, że wszystko zostało im narzucone. Narzucone — przez kogo? W publicystyce rosyjskich emigrantów i dysydentów, bardzo dzielnych ludzi, zasłużonych w walce z molochem, zdarzało się, że wyliczano wodzów rewolucji bolszewickiej pod kątem ich „nierosyjskości”: Żyd Trocki, Polak Dzierżyński, rozmaici Łotysze i Osetyni... Mieszaniec Lenin przyjechał robić przewrót w niemieckim zaplombowanym wagonie. Takiego wytykania bodajże w końcu poniechano, ale teza, że ZSSR — to nie Rosja, że rok 1917 przerwał ciągłość historyczną i to, co się odtąd dzieje na dawnych terenach Imperium nie należy do historii narodu rosyjskiego, toczy się poza narodową historią, ta teza w wydawanych na emigracji książkach i czasopismach zapanowała niemal powszechnie. Towarzyszy jej krzepiąca wiara w odrzucenie systemu przez przytłaczającą większość podbitego narodu; nie wiadomo tylko, kto go podbił, w czyim interesie, gdzie znajduje się ta centrala, której okrutne rozkazy wykonywane są przez namiestników; pod tym względem my, Polacy (a także Czesi, Litwini i jeszcze parę narodów) jesteśmy w lepszej sytuacji — umiemy podać adres centrali.

Nawiasem mówiąc, u źródeł ostracyzmu, któremu w pewnych kręgach swoich rodaków podlega Aleksander Zinowiew, leży, prócz niemiłego, przekornego charakteru tego pisarza, ewokowany w jego twórczości obraz społeczeństwa rosyjskiego jako akceptującego sowiecką formę i wypełniającego ją treścią swojej naturalnej egzystencji — ba, ciągnącego określone korzyści z takich właśnie form bytu historycznego Rosjan, jak stalinizm i jego zmodyfikowana, poststalinowska odmiana. Jakkolwiek przejaskrawiony, oparty na hiperboli i paradoksie, pesymistyczny model Zinowiewa wydaje się owocniejszy poznawczo i przydatniejszy praktycznie w świecie sowieckiej dominacji niż sentymentalny model jego oponentów. Rosjan jednak, zwłaszcza eks-więźniów i banitów systemu, można zrozumieć; zdumiewa zgorzenie także nierosyjskich badaczy ZSSR na myśl, że prócz niewinnego ludu i garstki obcych mu władców-ideologów istnieć może w komunizmie potężna warstwa ludzi utożsamiających się z tym co jest, zainteresowanych stabilnością, umocnieniem, przetrwaniem tego, co innym zdaje się nie do zniesienia.

Niestety! historia nie zna przerw, a narody doświadczone historią nie wychodzą z niej niezbrukane. Pierwiastek szatański nie tylko istnieje w dziejach każdego narodu, lecz odciska swe piętno na specyfice ich przebiegu. Albo trochę inaczej: w dziejach róż-

nych narodów (i warstw narodu) kształtują się i twardnieją matryce pewnych zachowań sytuacyjnych, motywacji, wyborów. Na przykład dla Polski matrycą wystąpienia grupy (warstwy) uprzywilejowanej przeciw aspiracjom wolnościowym większości jest Targowica. Targowiczanie to też Polacy — gdyby nimi nie byli, wpojone w nas od dziecka pojęcie Targowicy jako synonimu zdrady narodowej nie miałoby sensu — i Targowica, chcemy tego czy nie, należy do historii Polski, nie da się z niej wydrzeć, wszystkie zaś kolejne „Targowice”, tych najświeższej daty nie wyłączając, posłusznie realizują i aktualizują rodzimą matrycę historyczną. „Pruski dryl” — to matryca niemiecka, NRD powieliła ją bez trudności. „Oprycznina”, „arackzejewszczyzna” — to matryce (nie jedyne) despotyzmu rosyjskiego, tak jak ukształtowali je carowie, ich siepacze i wielkorządcy — i nie trzeba się dziwić, że sięgnęła po nie rewolucja, która nie przerwała bynajmniej historii tego kraju, mimo że miała może takie ambicje (oraz złudzenia) i że odegrali w niej znaczną rolę obcoplemienni wolontariusze, również ulegający iluzjom i nie przeczuwający, że w miarę rozwoju wydarzeń zostaną zmieceni przez rdzennych arystów nowego ładu.

Nacjonalizmy nie przyjmują do wiadomości, że w narodowej historii żyją i funkcjonują rozmaite wzorce, wzniosłe i haniebne, świetlane i ciemne, arackzejewszczyzna obok, powiedzmy, dekabryzmu, Targowica przy Trzecim Maju, że historia wciąż na nowo, także naszymi rękami, dokonuje wyboru matrycy, miesza je i zderza ze sobą, nie dowolnie, lecz w związku z istnieniem w społeczeństwie różnych warstw i grup, interesów i poglądów, układów i postaw; że niektórymi z tych matryc posługuje się notorycznie pierwiastek zła, destrukcji, fałszu diabelskiego, od którego niewolna jest egzystencja żadnego narodu; że werbalne usunięcie całego zła poza obręb tego co swoje i przypisanie go z ulgą „obcym” nie tylko niczego nie załatwia, nie rozwiązuje, ale gmatwa i zaciemnia sytuację, uniemożliwia rozpoznanie realnych frontów w toczącej się nieustannie w niejednym kraju — przede wszystkim zaś w ustrojach totalitarnych, w społeczeństwach „porozumienia i jedności” — wojnie domowej.

Taka wojna, o bardziej lub mniej zakamuflowanych objawach, toczy się przecież zarówno w suwerennym mocarstwie Gułagu, jak w wasalnych „demokracjach ludowych” — i tu, i tam stawką jest zniewolenie ciał i umysłów większości przez „przodujący oddział”: monopartię, policję polityczną, nomenklaturę. Przez dziesięciolecia panowania „przodujący oddział” rozmnożył się i spęczniał: drogą werbunku, dziedziczenia, kształcenia, a także spontanicznego przyciągania określonych charakterów, ambicji, postaw etycznych, drogą selekcji zatem, której mechanizmy niechybnie zostaną kiedyś dokładnie zbadane. W swojej totalnej

wojnie z resztą społeczeństwa wywodząca się z niego warstwa panująca nie ma, oczywiście, skrupułów: dlaczego morderstwo ma być większym ewenementem niż fałszywe oskarżenie i wyrok, pobicie dziecka, oszkalowanie, szantaż, tortura?

Dawno zostały również odrzucone skrupuły doktrynalne. „Nacjonalizm” brzmi nieładnie i chętnie się go wytyka stronie przeciwnej — ale nie widać przeszkód w posłużeniu się nim, bez użycia nazwy, dla własnych celów strategicznych czy taktycznych. W suwerennym państwie komunistycznym chodzi o coś ważniejszego niż ideologia: o ekspansję, o podbój. „Nie może być wolny naród, który uciska inne narody” — w ślad za Marksem nauczał Lenin („O dumie narodowej Wielkorusów”, 1914). Otóż z tej słusznej konstatacji wynika dla Kremla dyrektywa praktyczna: po to, żeby nie mógł być wolny, naród rosyjski ma uciskać inne narody. Rozszerzanie granic „ojczyzny światowego proletariatu”, „historyczna misja” Moskwy w skali globalnej, różne „bratnie pomoce”, ekspedycje karne i dawanie nauczek niewdzięcznym sąsiadom czy nie sąsiadom — cała ta rzadko zwalnająca obroty machina militarnej, politycznej i gospodarczej ekspansji wraz z akompaniamentem oficjalnej lub szeptanej ideologii nacjonalistycznej — poza (niepewną skądinąd) opłacalnością kolonialnego wyzysku, ostatecznie służy opłataniu, ogłupieniu, zniewoleniu tłumy poddanych, utrwaleniu bezpieczeństwa władzy, rozbrojeniu społeczeństwa przez uczynienie zeń współnika władzy (ale takiego współnika, który w zgoła mizernym stopniu uczestniczyć będzie w podziale łupów i w jeszcze mizerniejszym skorzysta z ulg i przywilejów obywatelskich), służy wojnie domowej. Oczywiście, z tą manipulacją nacjonalistyczną ze strony totalnego państwa niewiele ma wspólnego kompleks niektórych emigrantów i dysydentów rosyjskich, o którym była mowa — ale przeszkadza on ogarnięciu istoty rzeczy, skierowaniu całej czujnej uwagi nie na doktrynera obcej krwi (jeśli kiedyś istniejącego, to dawno złożonego do grobu), lecz na grupę, warstwę jak najbardziej rdzenną, swojską, ojczystą, krew z krwi, kość z kości, na miliony Iwanów Iwanowiczów zjednoczonych wspólnym interesem, układami, systemem powiązań i koligacji, tworzących strukturę „realnego socjalizmu”, przekazujących jej elementy potomstwu, w jej obronie bezwzględnych i agresywnych. Zdemaskowanie ideologii, którą nie od dziś traktują instrumentalnie, a w gruncie rzeczy indyferentnie, jest tysiąc razy łatwiejsze niż podważenie struktury.

I u nas, w kraju niesuwerennym — mimo że istnienie i rola zagranicznej centrali jest oczywistością — nacjonalistyczne stereotypy stanowią śmiertelne niebezpieczeństwo, ponieważ potrafią odebrać siły i rozum. Czyż to nie one uspiły nas rzuconym cy-

nicznie przez władzę „jak Polak z Polakiem” (ledwie zastygł na kliszach uścisk dłoni nad stołem negocjacyjnym, już szły w teren instrukcje Żabińskich, Czubińskich *e tutti quanti*, jak nas deprawować i niszczyć). Oczekiwaliśmy interwencji z zewnątrz i pocieszaliśmy się: cały naród powstanie, wojsko będzie z nami, nawet milicja. A także: oni wiedzą, że cały naród, że wojsko, i dlatego nie ruszą. Zabawialiśmy się karykaturami niedźwiedzia w zakładowych gazetkach i nie chcieliśmy dostrzec, że tu, wewnątrz, współmieszka z nami wieprz o obnażonych kłach i to on nas zaatakuję. I cóż z tego, że w sojuszu z niedźwiedziem, z jego błogosławieństwa, kiedy z własną mściwą gorliwością, z własnym asortymentem środków obezwładniających fizycznie i moralnie (nie bez udziału paru sędziwych „nacjonalistów”), z własną tedy — niedostępną obcom — skutecznością. Ale nawet po tym wszystkim, po rozjechaniu Polski przez rodzimy walec interwencyjny, po spacyfikowaniu kochanej Ojczyzny przez milion Jaśków i Maćków, polskich żołnierzy, sędziów, policjantów, spikerów telewizyjnych, urzędników, nadzorców, znalazło się podziemne ugrupowanie, które w obszernym programie politycznym wysunęło hasło trójprzymierza „Solidarności”, Kościoła i... wojska. O, potęgo kojącego serce schematu!...

N. N. z Warszawy

KONTAKT

Pismo członków i współpracowników Solidarności. Miesięcznik społeczno-polityczny wydawany w Paryżu od kwietnia 1982 roku.

Pismo udostępnia czytelnikowi możliwie pełny obraz sytuacji w kraju, przedstawia miejsce Polski na tle wydarzeń międzynarodowych, informuje o przebiegu walki z totalitaryzmem w całym bloku wschodnim.

Pismo zawiera ponadto działy:

Analizy i propozycje; Relacje i reportaże; dział „Z obozu”, ukazujący sytuację na obszarze imperium sowieckiego; Kościół i polityka; Kultura; Emigracja; Ze świata i inne.

Do nabycia w Redakcji i w polskich księgarniach na Zachodzie.

Cena: F.28,00 lub \$ US 5,00.

Prenumerata roczna — F. 300,00; półroczna — F. 155,00.

Adres Redakcji:

152, rue Saint-Maur, 75011 Paris

Cena przesyłki lotniczej — F. 55,00 (pół roku) lub równowartość w innej walucie; F. 110,00 (rocznie).

Monolog

Tym, którzy — zdaniem Sowietów — są jeszcze użytecznymi gratami w Polsce.

Normalka

— Może pan nie mówić, milczenie nic panu nie pomoże. Wiemy o panu prawie wszystko, a reszty niedługo się dowiemy. Mogę przychodzić tygodniami i miesiącami, bo między nami są dwie różnice: pierwsza — mnie za to płacą, a panu nie i druga — ja po czwartej stąd wyjdę, a pan będzie dalej siedział. Wyjdę na wolność — podkreślił z naciskiem, lecz po chwili poprawił się: — Na drugi koniec Rakowieckiej. Poza panem wszyscy są bardzo rozmowni: słyszy pan jak stukają maszyny? Każdy dba o własny tyłek, takie są niestety realia, ludzie patrzą tylko ko-ryta. Tacy się rodzimy, niczego w tym się nie zmieni. Nie mamy jeszcze komunizmu, żeby wszystko było na ulicy i każdy brał, co mu potrzeba. Zresztą — śledczy rozmarza się w typowo przesłuchaniowy sposób — żadną działalnością edytorską nie zmieni pan układów geopolitycznych. Takie jest życie, czy nam to się podoba, czy nie. Gdyby Polska leżała gdzieś na skrajach Europy jak Norwegia czy Szwecja, to może... Jak wyjdzie pan za dziesięć-piętnaście lat, stąd albo z jakiegoś innego zakładu, nie będzie już żadnych takich wydawnictw jak Krąg czy CDN, przekona się pan naprawdę. A może — zamyśla się znów rutynowo — przybiją panu ten artykuł sto dwadzieścia cztery za szpiegostwo i to już jest zagrożenie do kary śmierci włącznie? Daleko temu — myślę — do prania mózgow w obozach koncentracyjnych „wyzwolonego” Wietnamu. Tam — parę razy dziennie zbiorowa nauka marksizmu-leninizmu jako przerwa w *Arbeit macht frei*, tu — normalka *real-socu*. Wypada tylko skromnie milczeć, myśląc o

tych, który przetarli własnymi ciałami tę drogę. To do nas Warłam Szałamow skierował ostatnie zdanie „Śniegu”. A szerokimi drogami jeżdżą autorzy, czytelnicy...

Pamięć

Jest słoneczne przedpołudnie; na wprost mnie siedzi mój rówieśnik, przystojny blondyn z wąsem, ciężkie powieki; ubrany jak zwykle nienagannie: beżowa koszula, elegancki krawat i marynarka *navy* ze srebrnymi guzikami, którą na Wschodzie z równym upodobaniem jak na Zachodzie noszą „kadry”. Gdy nużą go już własne słowa, wyciąga książkę pod tytułem: „Witajcie w Ciężkich Czasach” i relaksuje się przez dłuższy moment. Trudno postrzegać moją sytuację w duchu heroicznym, to raczej groteska, budząca zgrozę tylko w truchle Josifa Wissarionowicza.

Sięgam pamięcią do zapisków ludzkich cierpień związanych z podobnie banalną scenerią, przypominam sobie setki tysięcy „konwejerów”, po których nie pozostał nawet cień na papierze i myślę o tych, którym właśnie teraz przypadł debiut. Jak ich straszą, czego się boją, gdy siedzą w bliźniaczych pokojach przesłuchań, przerobionych ze stalinowskich cel? Czy w argumentach za podjęciem rozmowy umieją zobaczyć ten jeden jedyny, tak trudno rozpoznawalny, bo własny strach? Czy wiedzą, że właśnie strach nagania wszystkie racje i czyni bezsensownym samo otwarcie ust? Czy nie myli ich położenie własnego krzesła, które nie stoi już, jak niegdyś, w rogu pokoju a tuż przy biurku, by z jednego lub dwóch monologów w naturalniejszy sposób złożyć dialog. Dla odpędzenia niepokoju przypominam sobie pierwszy kontakt z organami. Miałem dwadzieścia lat. Wprowadzono mnie do pustego pokoju w Pałacu Mostowskich. Sterylność scenerii, a może chęć dodania sobie odwagi skłoniła mnie do głośnego komentarza.

— No tak, na biało pomalowany pokój, stół, krzesło, dwóch nieznanymi ludźmi i ten trzeci, niewinny, nie wie o co chodzi. Sytuacja jak u Kafki.

— Wszyscy mówią, że są niewinni. Jakiej Kawki? — padło natychmiast i już wiedziałem o co chodzi.

Credo

— Mnie nie chodzi o sypanie, o nazwiska, kontakty. I tak wszyscy z pana firmy tu siedzą, sprawa się ryła, firmy już nie ma, mamy drukarnię, kolportaż, wszystko. Przecież nawet Wolna Europa mówiła, że Poleski to pan — próbuje mnie niezdarne

sprovokować, po czym oświadcza z powagą: — Chcę, żeby pan sformułował swoje credo polityczne i my taki memoriał spisujemy do protokołu.

Śledczy nie może oczywiście wiedzieć, że słowo „memoriał” kojarzy mi się jedynie z największym renegatem Powstania Styczniowego, Oskarem Awejde, który załamał się, gdy tylko zaczęły mu odrastać w więzieniu przefarbowane włosy. Mnie to nie grozi, nieprzypadkowo złapano mnie z peruką.

— Nasz zarzut jest jasny: działał pan niezgodnie z istniejącym prawem. Policja jest na całym świecie i na całym świecie łapie ludzi nieprzestrzegających przepisów. Działał pan wbrew prawu i musi pan za to odpowiedzieć — śledczy zamiast pryncypialnej obrony interesów PRL-u prezentuje mi uroki postawy legalisty. Ale już po chwili wraca do roli funkcjonariusza nielegalnego ośrodka badania opinii publicznej: Kuroń, Wałęsa, Frasyniuk — rozumiem, oni nie mogą już inaczej, nie mają wyjścia, ale pan? Wracam do politycznego credo: niech pan mi wytłumaczy, jest pan architektem, mógłby pan tyle w swoim zawodzie... — urywa, gdyż w moim wzroku nie odnajduje wiary w fachowość rządzących, która pozwala ograniczyć się do własnego ogródka.

Centrum

— Niech pan się ratuje, jest pan jak dróżnik, jak dróżnik, który nie może wpłynąć na kierunek jazdy pociągu, ale może go przecież zatrzymać — śledczy myśli oczywiście o pociągu śledztwa, lokomotywę dziejów zostawia rządzącej drużynie dziennikarskiej — coś zrobić, nie trwać w martwym punkcie: tory rozkrecić, kłode rzucić pod koła, śmieje się głośno, a ja jeszcze głośniej.

— Zgoda, jestem policjantem, ale chciałbym panu pomóc, po prostu jako obywatel. Szczególnie teraz, kiedy sytuacja się normalizuje. Czy pan wie, że w lecie mają zlikwidować kartki na mięso? Chyba nie jest pan masochistą i siedzenie tutaj nie sprawia panu przyjemności? Przecież mógłby pan pisać do *Tygodnika Powszechnego*, to jest też pismo o poglądach opozycyjnych. *Polityka* polemizowałaby z panem i wszystko byłoby w porządku. Najlepiej być człowiekiem centrum. Pan popatrzy, taki Passent na przykład, źle mu?

Śledczy pomaga mi rekonstruować skonfiskowane teksty: miałem właśnie pisać o ludziach środka, którzy — po obu stronach — wciąż wierzą, że można powtórzyć atak i obronę w stylu lat czterdziestych. Chcą stosować metodę salami lub dostosowywać się do niej, gdy od dziewięciu lat osioł wierzga i nie daje się przerobić na kiełbasę!

„Kultura”

— Już sam adres i telefon Maisons-Laffitte w pana notesie będzie dla sądu wiele znaczącym dowodem. Pan przecież się orientuje, że za *Kulturą* paryską stoi CIA. Zresztą, po co ją drukować skoro sam ją widziałem na pchlim targu? — lekarz systemu przesłizguje się nad sprzecznościami swoich wypowiedzi, szuka *locus minoris resistentiae* — miejsca o zmniejszonej odporności. — Wie pan, byłem wczoraj na pchlim targu i widziałem nie tylko Flawiusza, którego znaleźliśmy w pana książkach — kosztował, niech pan sobie wyobrazi, 15 tysięcy! — ale ze trzydzieści egzemplarzy *Kultury*. I nikt się sprzedawcy nie czepiał!

(Ba, ja widziałem ludzi czytających *Tygodnik Mazowsze* w kolejce podmiejskiej).

— Zresztą, „Błaszany Bębenek” już wyszedł oficjalnie, racja, wtedy był pan na wolności; nawet aktorzy wracają z wewnętrznej emigracji, występują w telewizji, podać panu nazwiska? Kartki na mięso... a, to już panu mówiłem, kawy w sklepach jest dużo, chce pan, żebym przyniósł na przesłuchanie?

Wchodzi Numer 2: — A może byśmy we trójkę wyskoczyli kibitką na koniaczek, skoro pan tak na sucho nie chce rozmawiać?

Pierwszy aż zabrał się z rozpędu do normalizowania zmarłych: — Nawet Andrzejewski, taki opozycyjny pisarz i proszę też publikuje.

Tubylcy

— Co ty parchu, ty Żydzie sobie wyobrażasz? Jak ci się nie podoba, to trzeba było wynosić się z Polski! — twarz nowego śledczego jest w odległości kilku centymetrów od mojej. — Nie chcesz mówić, parchu? Jak ci przypierdolę, to od razu zaczniesz mówić!

Numer 1 siedzi spokojnie przy biurku, Numer 3 siada za moimi plecami: — Nogę sobie założył na nogę i siedzi! — zrywa się, szarpie mnie, ustawiając jedną stopę obok drugiej; nie oponuje.

— Tak siedź! — wrzeszczy i wychodzi.

To prawdopodobnie test. Już drugi — po aresztowaniu, które wyglądało, jakby porwała mnie bojówka Czerwonych Brygad. Numer 3 prezentuje się zgodnie z hasłem pułkownika Pietruszki: „Pierwsi w pracy, pierwsi w sporcie!”. Stary ubek siedzący tu za zabójstwo ks. Popiełuszki nawet gdy wzdycha, to sloganem samego Stalina: „I na naszej ulicy zaświeci kiedyś słońce!”.

— Widzi pan, ja tu z panem delikatnie, nie chciałby pan chyba, żeby kolega, bo nie wszyscy są tacy spokojni jak ja — zaczyna „mój” śledczy na swojską nutę, odruchowo zakładam nogę na nogę. Po chwili wpada Numer 3 i zrzuca ją, jak manekinowi, na podłogę.

— Taaak ma być! — zaczynają teraz na dwa głosy. — Jak cię wsadzimy do 120-osobowej celi z recydywą, poznasz, co to gwałt homoseksualny! Nic cię przed tym nie uratuje! Takiej plamy w życiorysie nie zamięści pan we wspomnieniach. (To Numer 1, od kultury). Tu, w pawilonie MSW ma pan luksusowe warunki! Ty, a może by go do izolatki bez niczego aż zwariuje? Ma pan tylko parę dni, jeśli do poniedziałku nie zaczniesz pan składać wyjaśnień, zastosujemy inne środki, już wie pan jakie — kończy Numer 1.

Łąduję bez szwanku w celi i korzystając z faktu, że słońce nie świeci jeszcze na Rakowieckiej tylko tubylcom, piszę skargę na metody prowadzenia śledztwa. Pointę pisma zapewnia mi Niedorzecznik; indagowany na konferencji prasowej na temat mojego aresztowania, stwierdził właśnie: „dobro śledztwa nie pozwala mi mówić o jego dotychczasowych rezultatach”.

Paszkwil

Nazajutrz rano, wezwany na górę, siadam przy biurku i słyszę zwykłe: — No co, już się pan zdecydował, wyciągam protokół! To prolog etudy. Wchodzi Numer 3 i podaje Numerowi 1 kopertę ze skargą, którą godzinę przedtem wręczyłem strażnikowi więziennemu.

— Popatrz, jak śmie nas tak szkalować?! „Parchu” — słyssałeś żebym coś takiego do niego mówił?

— Nie słyssałem — mówi zdziwiony Numer 1.

— Wiesz, wypisuje tu o jakichś homoseksualistach, że ktoś go szantażował, że go zgwałca, jak nie będzie zeznawał, jakieś zupełne bzdury, po prostu paszkwil na nas! I jeszcze tu popatrz: „... protestuję przeciw hańbieniu mojego kraju antysemityzmem... wyrzucaniu mnie z Polski, jakby to właśnie SB była jej prawdziwym gospodarzem...”. „Mojego kraju”, ciekawe jaki to kraj ma na myśli? Człowiek z nim grzecznie, a taki cię szkaluje i tłumaczy się potem przed szefem.

Numer 1 kiwa głową: — Ładnie to tak?

Oto przyczynek do zrozumienia trzech światów: prawdy, ich „prawdy” i ideału moskiewskiej *Prawdy*.

Konstytucja

Monolog trwa już z przerwami kilkadziesiąt godzin, nie odezwał się ani słowem, nuda kapie jak woda. Właściwie można by zawrzeć ze „śledziem” układ: on czyta swoją książkę o Ciężkich Czasach, a ja — korzystając z tego, że nie są takie ciężkie — robię notatki; na zewnątrz nikt nic nie wie, w celi nie zdradzam się z tym, po prostu *gentlemen's agreement*. Do każdej umowy trzeba jednak minimum zaufania. Ja nie mam go na tyle, żeby otworzyć usta, a nuż pomyśli, że mięknę; on nie ufa mi na tyle, aby uwierzyć, że — choćby we własnym interesie — nie sypnę go. Odkąd przeszedłem test na krzyk, wistuje już bez większej nadziei.

— Dzięki znajomym udało mi się dostać *reprint* autentycznego dokumentu z 1791 roku, oprawny w skórę, piękna rzecz. Ja też urodziłem się w ważną rocznicę: pierwszego maja — dodaje w odpowiedzi na moje uniesione brwi, urodziłem się trzeciego. — A co chciałby pan dostać ode mnie w prezencie? — mizdrzy się. — Na to pytanie już może pan chyba odpowiedzieć? — i śledczy zaczyna recytować jednym tchem tytuły książek, o których mówiłem poprzedniego dnia wieczorem w celi. Przesłuchał widać tylko koniec taśmy, żeby nie umrzeć z nudów. Dla niedowiarków koronny dowód podsłuchu w mokotowskich celach.

Dialog, konstytucja... Zachowania po obu stronach biurka wynikają oczywiście z naszej konstytucji. Napisałem to prokuratorowi już na wstępie: „Przekonanie SB, że impas w śledztwie można pokonać brutalnością, skierowaną przeciw ludziom czy przedmiotom martwym, oparty jest na błędzie „zmiany ról”. Tymczasem ról tak łatwo nie można odwrócić: zawsze będę wołał być ścigany niż sam ścigać, nie mówiąc już o estetycznym wstępie do przechowywania worka z kamieniami w szafie pancерnej”.

Gąbka

Wchodzi Numer 2.

— Byłem. Tak, tak, stamtąd wracam.

— Co ssie?

— Ssie jak gąbka. Przerób będzie.

To próbka ich zawodowego slangu: wrócił z Mostowskich i mówili o nowych aresztowaniach. Dwa lata temu, dokładnie w dniu pogrzebu Grzesia Przemyka, gościłem w Pałacu. Esbecy komentowali bieżący nasłuch „mundurkiem” jak pogardliwie na-

zywają normalnych stróży porządku i tajniaków porozumiewających się między sobą krótkofalówkami.

— Spuszczaj już go kurwa do dołu, bo zaśmierdnie! — mówili ojcowie dzieciom, rozwścieczeni skalą manifestacji.

— Pan powinien stanąć po naszej stronie. Takich ludzi nam potrzeba. Jest pan bystry, inteligentny... — chwila wahania, Numer 2 o twarzy młodego wilczka ma z dwadzieścia pięć lat — no, jest pan bystry. Może mamy właśnie za mało takich ludzi? Jakby było więcej takich jak pan, inaczej by to wyglądało. Dlaczego nie mielibyśmy się spotkać po tej samej stronie barykady — zawahał się — biurka? — Numer 2 bezczelnym wzrokiem *à la* kpt. Piotrowski patrzy mi prosto w oczy. Numer 1 jest lepszym profesjonalistą. Gdy mówi: „Naprawdę chciałbym coś dla pana zrobić!” często mruga powiekami; wie, że oczy źle kłamią nawet po latach treningu. Właśnie zaczyna.

— Myślę też o pana przyjaciółce, którą kolega przesłuchuje — wszedł Numer 4 — każda kobieta chce mieć rodzinę, dom, ustabilizować się, nawet prostytutki, tak myślę, nawet prostytutki. Dom, rodzina dla nich rzecz święta. Jak pan to sobie wyobraża, wyjdzie pan i znowu będzie się ukrywał, złapią pana i znowu... W ciągłej niepewności. Ja bym tak nie wytrzymał — podsumowuje.

W ciszy, która zapada myślę o najstarszych zawodach świata.

K i j

— Stefan był u niego?

— Był.

— I co?

— Nic, tak jak teraz.

Domyślam się, że Stefan to Numer 3. Ten od straszenia. Numer 2 nie traci wiary.

— Niczego pan w tym kraju nie zmieni. Ni-cze-go. Gwarantuję. Czytam wszystko, co wychodzi w podziemiu i na emigracji. Niczego w tym nie ma. Ni-cze-go. Przynieść ostatnią *Kulturę*? Mogę przynieść. Ostatni numer! Przyniosę. Poczyta pan nam na głos, skoro nie chce pan mówić. I my skorzystamy i pan. No to jak? Najbardziej, wie pan, denerwuje mnie kłamstwo. Idę, specjalnie idę na jakąś demonstrację, żeby zobaczyć. Widzę sam, co jest, no i potem słyszę w RWE i dosłownie uszy mi puchną, tak kłamią. Coś okropnego. Proszę pana, wymyślić jakąś doktrynę lub napisać jakieś „Dziady”, to żaden problem. Głównkuje, siadam i piszę. Ale robotnik nie ma czasu na takie głupstwa. Musi ciężko pracować na te swoje 13-14 tysięcy, a normy są wyżyłowane. Tylko dla inteligenta, takiego jak pan

wszystko prosto wygląda. Kijem Wisły pan nie zawróci. Rewolucji żadnej pan tu nie robi. Po to potrzeba bardzo dużego kija. Bar-dzo du-że-go! — śmieje się.

Faktycznie, komunistyczne rewolucje robi się bardzo dużym kijem. Tylko pierwszą zrobili krótkim, ale szybko go wydłużyli. Ale nasza rewolucja nie była „robiona” i dlatego trwa i bez kija.

Żarty

— Jakiego się uczysz języka?

— No, wiesz — zależy skąd wejdą. Tego się trzeba uczyć, skąd przyjdą. Ja wziąłem się za angielski.

— A rosyjski?

— Coś ty, z tej strony nic nam nie grozi!

Zmieniają temat.

— My tu tak miło rozmawiamy, a jak ci inni podejrzani zrobią z pana agenta? Szpiega? Albo podwójnego agenta?

— Przyjdzie CIA i zgładzi pana. I co?

— Albo KGB!

— O, to byłoby gorzej — wybuchają obaj śmiechem.

Po chwili śmiejemy się już wszyscy, nucę w myśli ludową zaśpiewkę:

*Nieodrodne siostry dwie
UB-KGB*

Havel miał oczywiście rację, nazywając ten system post-totalitarnym, nie ma już w nim wielu kandydatów na fanatyków. Prawdziwy człowiek sowiecki nie musi wierzyć, żeby praktykować. Pułkownik Pietruszka, na przykład, natychmiast wie z *Trybuny Ludu* gdzie tamci, a gdzie nasi. „— Albo brutalny zamach stanu, albo zwycięstwo rewolucji” — instruuje mniej uczonych w piśmie.

Luka

— Właściwie mógłbym już nie przychodzić, ale chcę panu dać szansę, żeby pan jakoś z tego wyszedł. Nie będzie pan pierwszy, ludzie nie będą mieli do pana pretensji. Jeśli skorzysta pan z artykułu 57 o nadzwyczajnym złagodzeniu kary — z wpisaniem do protokołu oczywiście — to może pan liczyć na nadzwyczajne złagodzenie, a nawet... (zawiesza głos, choć sam widzi, że kiksuje) — całkowite darowanie kary! Ale trzeba zrobić ten pierwszy krok. No to co, idziemy na jakiś układ? Wyjdzie pan na wolność i powie młodszym: — Idę na emeryturę! Wiem od proku-

ratora, że często pan pisze do synów. To dobrze, to bardzo dobrze. Sam mam takiego brzdąca, tyle, że mieszkam nie tak jak pan, mam pokój z kuchnią — znowu pomylił wersję, niedawno mówił, że ma w domu trzy tysiące książek. — Tylko niech pan ich tak nie wychowa, żeby poszły pana drogą. Przecież nie o to chodzi, żeby pan wyszedł i zaczął odwiedzać dzieci w więzieniu.

Tą sztafetą pokoleń przypomnieli mi palindrom — wyrażenie dwukierunkowe, które wymyślił mój syn, gdy zobaczył książkę „KOR” Jana Józefa Lipskiego: UROK KORU. Odruchowo uśmiechnąłem się.

— Dobrze by tak było wiedzieć o czym pan w tej chwili... — Numer 1 przerwał mi wspomnienia. Tak, luki technologicznej policja myśli nie może pokonać nawet po roku 1984.

Antyteatr

— Właściwie mógłbym już występować w Teatrze Jednego Aktora. Minał miesiąc i nie otworzył pan nawet ust na „dzieńdobry”. Że bez „dziękuję”, to rozumiem — stwierdza Numer 1.

Wchodzi Numer 5. Jakby nie wiedział, że nie odezwałem się jeszcze ani słowem, wyciąga z teczki protokół i zadaje pytanie po pytaniu. Notuje, czyta na głos odpowiedzi: „Podejrzany milczy, podejrzany milczy, podejrzany milczy...”. Wreszcie wybucha.

— Wielki pan konspirator! A teraz tylu ludzi z pana powodu siedzi. Prawie pół pawilonu. Jakby pan był takim dobrym konspiratorem, uważał na te ogony, jak wy mówicie, to by pan tu nie trafił — odśłania w uśmiechu popsute zęby.

Ich ulubiony motyw. Ilu bym nie popełnił błędów — ostrożnie przesiewam myśli, każda krytyka może być inspirująca, choć wiem, że chodzi tylko o wepchnięcie mnie w psychiczny dołek — i ilu ludzi „z mojego powodu” by nie siedziało, jest jeden miernik precyzyjny: siedem lat temu podpisałem pseudonimem M.P. pierwszy tekst i dopiero teraz mają mnie w rękach jako M.P. Trzeba było kilku lat, żeby znaleźć jednego zdrajcę, który ujawnił mnie zanim sam „ujawnił się”, uzyskując tym natychmiastowe zwolnienie i kolejnych kilka lat by mnie wytropić. Numer 1 przerywa mi myśl:

— Mogę krok po kroku odtworzyć pana drogę od 13 grudnia. Każdy dzień, lokal, wszystko.

Absurd. Widzę twarze tych wyjątkowo wspaniałych ludzi, z którymi los pozwolił mi się zetknąć, którzy dzielili ze mną ryzyko, przewozili mnie lub dawali klucze do mieszkania, robili za mnie zakupy, „porywali moje dzieci i pozwalali im się wynu-zać”. Doprawdy, jest dobrze a będzie jeszcze lepiej. Nawet przy

moim zamiłowaniu do indywidualizmu, nie występowałem w Teatrze Jednego Aktora. „Solidarność” to antyteatr.

Monologi, których słuchałem nie dorównują artystycznym zaletom „gry w śledztwo”, kończącej „Małego konspiratora” — *best-seller'a* wydawnictwa CDN, reklamowanego w swoim czasie przez *Newsweek* i *Trybunę Ludu*. (Czuję się zobowiązany do tego zastrzeżenia, gdyż przedstawiono mnie publicznie jako szefa firmy). Są natomiast najpełniejszym wyborczym programem dialogu i porozumienia, jaki zdarzyło mi się poznać, w dodatku przedstawionym z partyjną szczerością. A że u nas władza wybiera słuchacza, nie zaś odwrotnie, przypadła mi rola milczącego medium.

Opowiadając w sejmie o tym, jak w roli wieloletniego agenta miałem z polecenia CIA objąć po redaktorze Giedroyciu kierownictwo paryskiej *Kultury*, generał Kiszczak zaznaczył elegancko: Zdaniem Amerykanów Giedroyc jest już bowiem „mało użytecznym gratem”. Cudzysłów przy trzech ostatnich słowach, którymi Cz. Kiszczak określił jednego z naszych najwybitniejszych rodaków, miał być dowodem autentyczności opinii. Także dowodem potęgi SB: podsłuchiwany świat jest dla niej tak mały, jak mokotowski Trzeci Pawilon. Nie uwierzyłem i nie wierzę we wszechmoc policji, więc potraktowałem powyższe wypowiedzi jako próbkę ulubionego stylu generała — to tłumaczy dedykację.

Tak doszedłem do trzeciego powodu udostępnienia monologu władzy szerszej publiczności. Generał Kiszczak postawił w swoim sejmowym *exposé* śmiałą hipotezę, że z Polską łączy mnie tylko fakt, że się tu urodziłem i uzyskałem wyższe wykształcenie. W odpowiedzi publikuję dokumentalny zapis, pokazujący do czego miejsce urodzenia i wykształcenie zobowiązują funkcjonariuszy Cz.K. *Quod erat demonstrandum.*

Maciej POLESKI

Wrzesień 1985

Gdy znów nadchodzi listopad

(Fragment powieści „Wszystko inaczej”,
która ukaże się w Bibliotece „Pulsu”)

Właściwie zastanowiłem się nad swoim tchórzostwem: tak się troszcze o zdanie patriotów, patetyków, tragików, powstańców i bożych szaleńców, że nawet pisząc pamiętnik przeznaczony dla nikogo (bo taka jest właściwie ta książka) boję się ich urazić. Trzeba się przezwyciężyć i być wolnym na obie strony. Mogę wyśmiać się z Jaruzela, że Pinokio i niczego społecznego nie rozumie, czemuż by nie użyć sobie i na owej drugiej stronie? Gombrowicz używał sobie na Polakach jak chciał, może dlatego, że siedział w Argentynie i do Polski się nie wybierał, ale ja też wszakże wiszę w szklanym kloszu między niebem i ziemią, trwam w strefie niczyjej, pomiędzy życiem i śmiercią. Bowiem mój wyścig z czasem o napisanie tej książki to jest wyścig ze śmiercią, niekoniecznie ze śmiercią gwałtowną, ale z tą co stopniowo, krok po kroczku, niezauważalnie wkrada się do organizmu. Wiem, że się wkrada, że musi się wkradać, obserwuję siebie pilnie, a przecież nie będę w stanie uchwycić momentu, kiedy ostatecznie ilość przejdzie w jakość, jak to mówili marksiści. Któż mi zaręczy, że jutro już nie stanę się sklerotykiem, paralitykiem, u którego impulsy płynące z mózgu tracą kontakt z ośrodkami działania, zaś myśl rozplynie się gdzieś po drodze, nie docierając do mowy? Nie boję się śmierci szybkiej, choć nie mogę jej sobie wyobrazić (może właśnie dlatego się jej nie boję), boję się za to stopniowego obumierania duszy, albo długiego stanu życia zgoła bez duszy, jako ruchomy zewłok ludzki, porozumiewający się z otoczeniem paru gestami czy też ledwo ledwo mrugnięciem oczu. Któż mi zaręczy, że to się jutro nie stanie, choć nawet ubezpieczająco piszę te słowa, licząc, że przepowiednie ludzkie raczej się nie sprawdzają.

Małość, małośćkowość, bezradna słabość wobec śmierci, jak na to zaradzić, jak się ubezpieczyć? Nie ma recepty ani pewnego sposobu!

Wracając do tematu i do faktu, że w tej chwili trzymam jeszcze pióro w garści, stwierdzę, iż w mojej szklanej izolacji, w celi śmierci, będącej miejscem pobytu wszystkich starych ludzi, nie mam niczego do stracenia i nie muszę się bać narodu, zwłaszcza, że On i tak pewno moich słów nie zauważy. Nie odmówię więc sobie zacytowania końcówki wiersza Gałczyńskiego „Noc Listopadowa”, choć dziś wobec wielotysięcznych żarliwych manifestacji na pogrzebie księdza Popiełuszki, manifestacji ciągle jeszcze trwających u Św. Stanisława, zabrzmiałoby to okropnie bluźnierczo. No, ale rzecz pójdzie w końcu na Gałczyńskiego. Swoją drogą to był zdumiewający gość (na tym świecie). Sąsiedowałem z nim w Krakowie, po wojnie, jakże był trudny do uchwycenia: robił wrażenie, że na niczym się nie zna i nic go nie obchodzi, a czasem, zwłaszcza w przedwojennych wierszach, pisał tak jakby zupełnie wszystko wiedział: o tym co było, o tym co będzie, o tym co musi być. W paru słowach dawał skrót, sedno sprawy, jej perspektywę; oto przykład, przed którym się wzdragałem:

*Resztę, mój czytelniku, znajdziesz w starych skryptach,
w listach „... matko umieram...”, w szytych, w manuskryptach,
i w śniegu syberyjskim, czerwonym na milę;
i jak debatowano by uczcić tę chwilę:
Ratusz na gwałt zaczęto więc iluminować,
pstrzyć girlandą meandrów, dębem dekorować,
ażebym wolność była i ażebym sława...
Tak po trudach, po nocnych usnęła Warszawa,
z ludem jak morze głupim. I wodzów tragedią.*

Tak, zaczęto iluminować... Byliśmy z Lidią na Powązkach w dniu Wszystkich Świętych pod wieczór. W szklistym, chłodnym powietrzu zmierzchu stopniowo zapalały się długie szeregi lampek, zniczy, świec, pod jaśniejszym nieco od ciemnej ziemi niebem rozbłyskiwały coraz to nowe płomyki nagrobne wzdłuż alejek, którymi snuł się szepczący warszawski tłum...

I oto naraz łuna, łuna bije. Na skrzyżowaniu drózek morze światła, świeczka przy świeczce, stłoczone, nad niepozornym grobem powiewa białoczerwony sztandar, do drzew przytwierdzone mnóstwo harcerek lilii, szkolnych herbów, tabliczek. Nad istną roziskrzoną łączką światła tkwi znieruchomiały tłum: tu leży marszałek Edward Rydz Śmigły, wódz ostatniej polskiej klęski, wrzesniowej...

Znów wędrujemy wśród grobowych alei przybranych światłami, coraz wyraziściej i bardziej złocisto zdobitymi gęstniejącą

ciemność jesiennego wieczoru. Lecz oto nowa łuna, tym razem wręcz ogromna, sięgająca po czubki cmentarnych drzew, bijąca w niebo. Morze światła tam być musi, tysiąc świeczek i zniczów, lecz dojrzeć ich z bliska nie sposób, bo zasłania je tłum zbity, ruchliwy tu i nerwowy. Pytamy kogoś i oto odpowiedź: tam leży Grzegorz Przymek, osiemnastoletni chłopak, w tajemnicy a niezbyt zrozumiale pobity i zabity przez policję, bohater młodzieży, manifestacyjny w swoim czasie tu odprowadzany na cmentarz przez tłum ludzi, podnoszących w górę dwa palce ze znakiem „V” — zwycięstwo. Ale jakie zwycięstwo? — pytałem wtedy na próżno.

Błądząc coraz dalej między grobami napotykam gdzieś daleko, już koło muru grób ciemny, nie oświetlony, choć krzyż tu duży i solidnie staranny. W narastającej ciemności czytam z trudem: Aleksander Prystor, pułkownik Wojsk Polskich, premier Rzeczypospolitej, marszałek Senatu, zmarł w więzieniu na Łubiance w Moskwie w 1942. Oczywiście grób bez ciała, grób symboliczny.

Ciemno tutaj. Jakże osobliwie selektywna jest pamięć tłumu, jakże mało liczy się historia, zaledwie fragmentami wynurzająca się czasem z pomroki przeminionego, jakże irracjonalnych bohaterów wybiera sobie kapryśna terażniejszość! Co się dziś liczy? „Politique d'abord”. Z ludem jak morze głupim...

Prystor, przyjaciel Piłsudskiego, moje czasy, moja młodość. Oczywiście, zamęczony w moskiewskim więzieniu nie leży on w tym zastępczym grobie, ciemnym, opuszczonym, dalekim od morza światła, od rozszepzanego tłumu. Tymczasem mnie on bliższy od bezwiednie a na zawsze rozmijającego się z decydującymi dniami Polskiej Wojny Rydza Śmigłego i od niewiadomego, młodzieńczego Przymyka. Lecz ja także, choć nie bezwiednie lecz świadomie rozmijam się z polską dzisiejszością, zwłaszcza z moim środowiskiem inteligentnej opozycji. Dlaczego?

Oponuję však przeciw rządzącemu komunizmowi chyba najdłużej, od początku, od wiosny 45, ale nie oponowałem nigdy tragicznie i patetycznie, nie chcę tragizować zwłaszcza teraz, na starość, gdy zbliża się rozwiązanie zagadki życia, gdy drzwi zamknięte wreszcie się otworzą. Nie chcę być żadnym pisarzem narodowym, chcę być skrybą bez przymiotnika — znów odbija mi się ten Gombrowicz, którego tak na odległość nie lubiłem. Człowiek piszący w każdym wypadku wyprzedaje siebie, swoje życie — siebie wyprzedaje i Kazimierz Brandys — pięknie ale skrupulatnie owija rzecz szarfą tragizmu. Pisze teraz dla Zachodu — oczywiście dla zachodnich Polaków także — i rozumiał, że jedyne, czego Zachód oczekuje dziś od Polski, to właśnie pięknego koturnowego tragizmu. A ja takich zamówień nie lubię, przy tym wiem, że prawdziwy polski tragizm dnia dzisiejszego wcale nie jest piękny, jest małośćkowo upokarzający, niefortunnie ukry-

ty, zamaskowany. I nie tylko polski: także czeski, węgierski, rumuński, litewski. W dodatku trudno go sprzedać, nawet wytłumaczyć niełatwo.

Pamiętam kiedyś uroczyste, urodzinowe przyjęcie u pewnej zamożnej, profesorskiej rodziny paryskiej. Jadłem, piłem i rozmawiałem normalnie, gdy nagle zainteresowano się, gdzie ja właściwie mieszkam. Na odpowiedź, że w Warszawie zareagowano zdziwieniem, stwierdzono, iż MIESZKAŁEM w Warszawie, ale teraz na pewno zainstalowałem się we Francji, tylko gdzie? Kiedy jednak uparcie powtórzyłem, że mieszkam w Warszawie, we Francji zaś jestem chwilowo, na parę miesięcy, dla rozrywki, stary profesor medycyny zaczął mnie dociekliwie indagować, dlaczego właściwie mieszkam w Warszawie, czyżby tam mogło mi być lepiej, niż w Paryżu? Odpowiadałem mu, że tam wcale nie jest mi lepiej, lecz NORMALNIEJ, że ja po prostu tam mieszkam U SIEBIE, więc nie mogę mieszkać gdzie indziej, czyli przestać być u siebie. Lecz to było dlań niepojęte, niepojęte wobec Polaka, przybysza z wyspy wyjątkowo tragicznej, w dodatku z Wyspy Niedźwiedziej (Białej). Męczył mnie długo, ja jednak uparłem się i nie chciałem robić mu przyjemności, czyli odegrać przed nim sceny wyгнаńczej, wobec obcych bowiem lubię trzymać fason. Tłumaczyłem mu więc, że zależy mi na normalności, lecz on rozumiał tylko normalność francuską, zachodnią. Jakim prawem Polak chce być normalny?! (I rzeczywiście).

Szczęśliwe kraje, które nie muszą wciąż myśleć o patriotyzmie, narodowych klęskach i polityce. Są po prostu sobą — o tym zaś nie ma co zbyt dużo myśleć. Błogosławiona Szwajcaria, gdzie polityka państwa nie jest ceniona, gdzie panuje kultura życia prywatnego i regionalnego, gdzie ludzie nie pamiętają, kto w tej chwili jest prezydentem Federacji. Mój Boże! A ja tu, w Warszawie, nawet książki, nawet pamiętnika napisać nie mogę, tak dalece wściekła polityka, czy to w wersji komunistycznej czy opozycyjnej, wdziera mi się do duszy drzwiami i oknami!

I właśnie akurat teraz, po zamordowaniu księdza Popiełuszki, niepokojącym, dziwacznym, groźnym jak podziemny pomruk. I właśnie teraz Michniki, jak pieszczotliwie nazywam moich przyjaciół z KOR-u, świeżo przecież wypuszczeni z więzień, przedsiębiorali akcję protestacyjną, organizacyjną, potrzęsającą sumieniami w imię praw człowieka, w imię praworządności, ochrony obywatela. Pała się do działania, do więzienia, do indywidualnego tragizmu. Wielkie nieporozumienie i niezrozumienie ich pcha, wszechwładny a w polityce tak niebezpieczny egocentryzm. Nie chcą pojąć, że nie o nich chodzi, że kiedy komuniści biorą się za czuby, nie należy mieszać się między nich, należy zostawić ich własnemu losowi. Publiczność wszakże widzi tylko marionetki, nie widzi tych, co z ukrycia pociągają za sznurek. Po cóż brać

Jaruzelskiego w dwa ognie, żeby go zmusić do historycznego terroru, czyli ściśle do tego, czego zapewne życzyli sobie kierowani czyjąś Ręką zamachowcy?! Komuchy się podzieliły, po co zmuszać ich do zjednoczenia wobec objawiającego się wspólnego wroga? Absurd — podyktowany równie historyczną niecierpliwością.

Za to ja chcę być cierpliwy. Nauczyłem się tego, obserwując przez dziesiątki lat komunistów i, chcąc nie chcąc, uczestnicząc w ich manewrach. Czy tak długo, pół już niezadługo wieku panujący w Polsce komunizm to dobra robota? Jeśli chodzi o utrzymanie władzy i duchowe, niewidoczne niewolenie ludzi przez ustawianie ich między fałszywymi, pozornymi alternatywami, to jest znakomita robota — wszystko zaś inne to robota tandetna i bezsensowna. Ale oni tylko walczą o jedno, właśnie o tę władzę, wszystko inne jest pozorem, sztucznie wywoływaną grą fał: komuniści mącą i zaciemniają sprawy, by odwrócić ludzką uwagę, zamieszać w ludzkich głowach, rozproszyć i zdeorientować wszelkie rodzące się w społeczeństwie ruchy i — rządzić dalej. Tylko rządzenie ich interesuje: rządzić chcą, ale i muszą — nie mają wyjścia.

Przypuszczenie, że właściciele Polski Ludowej mieliby odstąpić część swej władzy doraźnie, z punktu, dlatego, że ktoś produkuje protestacyjne fajerwerki przed zagraniczną, zblazowaną widownią, jest dziecinne. Dlaczego właściwie mieliby to robić? Że zmusi ich do tego ogólna bieda? A któż powiedział, że trudniej rządzić biednymi niż zamożnymi? Lepiej wszakże, gdy można utrzymać kartki żywnościowe: reglamentacja ustawia wszystkich na równym stopniu wobec władzy. Po cóż mnożyć ludzi równiejszych?!

Tak więc nie rokuję sukcesów moim biednym przyjaciółom Michnikom czy Kuroniom, bohaterskim, lecz raz na całe życie nakarmionym demokratycznymi złudzeniami nie z tego świata (wschodniego). Czerwoni wyeliminują ich, może wypędzą za granicę — muszą to zrobić, walczą o życie, przecież Rosja czuwa. I czuwa Tajemnicza Ręka, która zawiesiła groźbę nad głowami Pinokia i Kiszczaka.

Jakie zatem jest wyjście, czy nic się nigdy nie zmieni?! Zmiana kiedyś przyjść muszą, nie trwa wszak wiecznie żaden ziemski system. Ale drogą do upadku będzie nie wybuch jawny i na wierzchu — ten zostałby stłumiony siłą — tylko stopniowe, organiczne, niewidoczne choć stałe usuwanie się Czerwonym gruntu historii spod nóg. A klucz do takich powolnych zjawisk ma między innymi u nas jedynie najstarsza i najbardziej specyficzna instytucja Europy — Kościół.

Cokolwiek się ostatnio dzieje, Kościół u nas zyskuje i zyskuje, podczas gdy wszyscy inni tracą. Ale...

Ale czy ja muszę o tym mówić?! I to tutaj, naruszając wszelką równowagę tej książki, która przecież całkiem inne, dokumentalne raczej, opisowe a nie jakieś prorocze czy pouczające ma cele? Zbuntowałem się! „Zechciejcie zrozumieć, że ja nie pochwalam ani nie potępiam, tylko opowiadam”. Tak mi dopomóż Bóg, który przecież natchnął mnie niniejszą, bezużyteczną, biorąc rzecz z wszelkich aktualnych punktów widzenia, pasją do pisania. Mojej pod koniec życia wybranej drogi już nie opuszczę, choć młodzi kusiciele z tej czy owej strony wciąż mnie nachodzą, częstując propozycjami. Ale ja jestem kategoriyczny: nie będę już zbawiał Ojczyzny pod żadnym pozorem i na żaden sposób! Ja mam dzisiaj całkiem inne zajęcia.

W przeświadczeniu tym umocnił mnie jeszcze wspomniany już wywiad z Grahamem Greenem, który u nas przedrukowano za jakimś amerykańskim tygodnikiem. Greene skończył 80 lat, stąd wiele o nim w zagranicznej i także naszej prasie. Ja zaś pamiętam go doskonale sprzed lat równo trzydziestu, gdy przyjechał do Krakowa, pilotowany przez swych wydawców „paxiarzy” i miał rozmowę z nami, czyli z grupą *Tygodnika*. Był zresztą na ogół pijany, czego się zgóża nie zapierał, twierdząc (opowiadałem już o tym), że przez całe życie walczy z nudą i że jak nie pisze, to podróżuje i pije. W ogóle teraz mówi dokładnie to samo, co wtedy — to budzi zaufanie.

Otóż w tym ostatnim wywiadzie Greene, choć przecież od lat zamieszany w różne sprawy publiczne fotograf świata, powtarza z naciskiem, że pisarz nie powinien zajmować się polityką i w ogóle myśleć o tym, aby jego książki miały wpływ polityczny. „Zostawmy politykę politykom” — przykazuje; to bardzo odpowiada mojemu obecnemu nastrojowi. Co prawda łatwo Anglikowi tak mówić, bo nigdy nie żył zamknięty w kraju komunistycznym, zwłaszcza w kraju swoim, który przeszedł dziwną, skutecznie przetwarzającą ludzkie dusze metamorfozę. Wszystko w takim kraju stworzone zostało przez politykę, całe życie jej jest podporządkowane i przez nią wciąż w tej samej osobliwej formie utrzymywane. Gdy się rozumie, jak dalece to przez politykę uformowane życie karykaturalne jest i wręcz niesamowite, wówczas, chcąc je opisać, musi się sięgnąć do jego politycznych źródeł. I w ten sposób powieść o komunistycznym bytowaniu automatycznie zmienia się w publicystykę, wszystko, co się napisze niezależnie od woli autora stanie się polityczne.

Jednak Greene ma rację, trzeba się od tego maksymalnie uwolnić, przynajmniej w okresie realizacji samego aktu pisania. A tutaj tymczasem uszu zatkać nie sposób, oczu zamknąć nie można. Słuchanie radia z zagranicy, polska telewizja, porównywanie różnych wzajemnie sprzecznych, utajonych w gazetach notatek, rozmówki, domysły, plotki, dyskusje, cudzoziemscy dzien-

nikarze, zagonieni, natrętni i apodyktyczni, do tego dookolny obłęd gospodarczy i propagandowy oraz coraz to nowe pomysły młodzieńców i starców na temat ratowania Polski... Noce i dnie, dnie i noce, absurd („... upiorny nonsens polskich dni kończy się nam o zmroku” — oczywiście znowu Gałczyński, wieszcz mi-mochodem, kronikarz bieżącej wody). Pogoń myśli, nie wiadomo za czym i dokąd, narodowy młyn, gdzie lud rywalizuje z inteligencją w fantazyjności domniemań i wyobrażeń, boć nikt tu całej prawdy nie zna, o co właśnie ci na górze pilnie i przede wszystkim się troszcza. Cóż więc wysypuje się z owego nieustannie huczącego młyna?! Sieczka, sieczka, sieczka! Nic innego — na sieczkę jałową zmieniają się nasze dni, korowodem mknące wokół fikcyjnej karuzeli, stworzonej tak przemyślnie dla polskiego ludu, dozorowanej zaś z przypadku przez polskich, sobą tylko przejętych konduktorów.

Trzeba się uwolnić, choćby na okres pisania, na okres owego końcowego wysiłku, owej własnej, prywatnej pogoni za straconym czasem. Dla odciążenia, dla przeciwwagi wobec szalejącego zżerającego mózgi gadulstwa codziennego wymyśliłem sobie niedawno ucieczkę i lekarstwo: wyprawę w konkret. Konkret powieściowy, lecz realnie istniejący, wystarczy wyciągnąć poń rękę. Parę przystanków rzadko lecz stale chodzącym autobusem „195” i oto pojawia się mój półświat, realna kraina imaginacji, w której zamieszkać już próbuję całe 22 miesiące. Po prostu Ursynów — Północny i Południowy.

Trwają przedwczesne mroźne, słoneczne i krystaliczne warszawskie dni. Dzisiaj jest niedziela 18 listopada, właśnie w środę 14-go wybrałem się po dłuższej rozmowie na onże Ursynów. Po co? Aby oderwać się od konkretności życia, czyli młynka codziennego i zanurzyć pamięć w inny, prawdziwszy konkret — w pozazasową rzeczywistość mojej książki. Ma ona przecież swe źródło w realnym życiu, w realnych choć przemienionych wydarzeniach, realnych, mimo iż ostatnie z ich korowodu cofnęło się już na taśmie mijania o przeszło cztery miesiące, właściwie o całe pięć miesięcy. Wejść jeszcze raz do tej samej rzeki, skonfrontować widzialną, odczuwalną realność z tym, co naniosiła na obraz pracująca wciąż, zmienna w czasie wyobraźnia, to mi przyświecało w ową słoneczną, zimno-błękitną środę.

Stefan KISIELEWSKI

Archiwum polityczne

Rewolucja ekonomiczna w Chinach

NA DRODZE DO NOWEGO MODELU SOCJALIZMU

Przed dwudziestu laty głośno było w świecie o rewolucji kulturalnej, która miała doprowadzić do powstania zupełnie nowej formy socjalizmu, demokratycznego i idealnie egalitarnego. Biurokratyczna machina modelu stalinowskiego miała zostać zlikwidowana. Jeszcze wcześniej, przed trzydziestu laty, nie mniej było głośno o Wielkim Skoku, komunach ludowych — nowych utopijnych falansterach — i o polityce „stu kwiatów”. Niebawem sukcesy gospodarcze miały się łączyć z realizacją ustroju komunistycznego i daleko posuniętą demokracją, o jakiej nie śniło się przedtem nikomu w „obozie socjalizmu”. Ambitne zamierzenia obciążone od swych narodzin utopijnością i uwikłane w walki polityczne pozostawały za każdym razem sloganami. Praktyka im zaprzeczała, a zwyrodnienia biurokratyczne prowadziły za każdym razem do katastrofy gospodarczej i społecznej oraz do prześladowań politycznych na niebywałą skalę. Propagandowe sny o utopii stawały się tragedią dla całego narodu. Wszystkie te antecedenсы nakazują ostrożność przy ocenie obecnych reform w ChRL, które można by nazwać rewolucją ekonomiczną. O ile rewolucja kulturalna koncentrowała atak na sferze ideologii, kultury i instytucji politycznych, reformy obecne dotyczą przede wszystkim gospodarki, choć oczywiście mają one rozmaite implikacje polityczne i kulturalne o fundamentalnym wręcz znaczeniu. Reformy są w toku i ich ostateczny kształt jest wielką niewiadomą, a proces zmian ma w dużej mierze charakter żywiołowy i jest z trudem kontrolowany przez władze centralne. Chociaż wiele z dokonanych zmian gospodarczych wydaje się nieodwracal-

nymi, trudno dziś przesądzić, jaka będzie ich przyszłość i czy nie nastąpi częściowy od nich odwrót.

Bez względu jednak na brak pewności co do dalszych losów i kształtu reform są one faktem niezmiernie doniosłym, i to z wielu względów. Po raz pierwszy od tzw. kryzysu jugosłowiańskiego jeden z krajów „realnego socjalizmu”, i to wielki, odrzucił w teorii i praktyce biurokratyczno-państwowy stalinowski model zarządzania gospodarką i zadeklarował wolę tworzenia zupełnie nowego modelu „socjalistycznej gospodarki towarowej”. Wprawdzie w wielu krajach inicjowane reformy zmierzały w podobnym kierunku, nigdzie jednak nie szły one tak daleko i nigdzie nie potępiono tak otwarcie metod poprzednio stosowanych. Za tym poszły działania praktyczne: część dawnych struktur ekonomicznych w praktyce zlikwidowano, inne ulegają głębokim przeobrażeniom, temu towarzyszą fundamentalne zmiany polityczne i ideologiczne, uznane otwarcie za niezbędny element całego zespołu reform (włącznie z rolą partii, koncepcją i sposobem funkcjonowania państwa, itd.). Jest to zatem przeskok zupełnie rewolucyjny, nieporównywalny z jugosłowiańskim rozwojem w kierunku samorządowym czy z reformami węgierskimi. Choć kierunek tych wszystkich reform (włącznie z reformą polską) jest podobny, forma ich dokonania jest w Chinach dużo bardziej gwałtowna i dużo bardziej radykalna. Zatem *casus* chiński każe po nowemu spojrzeć na dyskutowany od dawna problem „reformowalności socjalizmu”. Prócz aspektu teoretycznego eksperyment chiński ma i aspekt praktyczny: pokazuje, jak takie odejście od modelu post-stalinowskiego się dokonuje, jakie stwarza problemy społeczne, gospodarcze i polityczne.

Po drugie, reforma chińska ma wielorakie implikacje międzynarodowe. Szybko modernizujące się Chiny stały się ważnym elementem nowego dynamicznego centrum gospodarczego: strefy Pacyfiku. Z tym wiąże się zmniejszanie się politycznej i gospodarczej roli Europy, na której Moskwa od dziesięcioleci koncentrowała swą uwagę; wraz z tym jej zdobycze i wpływy tu uzyskane tracą na znaczeniu. Ponadto rozwój gospodarczy Chin i ich nowy model polityczny stanowią oczywiste wyzwanie dla Moskwy. Ukazują one anachroniczność modelu post-stalinowskiego; kraje trzymające się go kurczowo mają perspektywę stania się w przyszłości wyspą biedy i zacofania, pozbawioną w dodatku swobód demokratycznych i sparaliżowaną wewnętrznymi kryzysami. Prawdopodobnie będą one w stanie utrzymać swój model siłą zbrojną, ale zapłacą za to utratą obecnego znaczenia politycznego. Sukcesy chińskie będą z pewnością miały wielki wpływ na ewolucję sytuacji politycznej w innych krajach „realnego socjalizmu”, będą zachęcać do reform i muszą spowodować podjęcie jakichś działań przez Moskwę. Nie trzeba dodawać, że będzie to

wszystko wpływać także na sytuację Polski, choć charakter tych zmian, a nawet ich kierunek, jest obecnie trudny do przewidzenia.

Zacznijmy od przedstawienia w największym skrócie charakteru dokonujących się w Chinach przemian. Chciałbym od razu zastrzec, że opis opieram wprawdzie na dokumentach oficjalnych, na lekturze prasy chińskiej i opracowań tamtejszych ekonomistów, ale wszystkie te wiadomości starałem się konfrontować z opiniami dziesiątków obywateli ChRL, z ich opowieściami o tym, co dzieje się w ich wsi, miasteczku czy regionie. Nie jest to zatem wyidealizowany obraz propagandowy, który tak lubi rozpowszechniać propaganda krajów „realnego socjalizmu”. Jest to tym bardziej istotne, że oficjalna propaganda chińska z wielu względów wewnętrznych i międzynarodowych raczej pomniejsza przemiany i w dość specyficzny sposób je kamufluje, co też jest związane ze sposobem przeprowadzania reformy. Jej inicjatorzy starali się, na ile to było możliwe, zachować dotychczasowe pryncypia ideologiczne, instytucje i nazwy, nadając im tylko nowe treści i funkcje; niewiele natomiast odrzucano *expressis verbis*. Bez tego swoistego ograniczenia reformy prawdopodobnie nie dałoby się przeprowadzić w atmosferze szerokiego poparcia społecznego i bez poważnych zaburzeń politycznych.

Reformy w rolnictwie zapoczątkowano w 1978 roku. Z jednej strony uznawano je za stosunkowo łatwiejsze do przeprowadzenia, gdyż w przybliżeniu wiedziano, jaki sposób produkcji rolnej będzie najwydajniejszy i najłatwiejszy do przeprowadzenia, podczas gdy nowy model funkcjonowania przemysłu trzeba dopiero wypracować w praktyce. Z drugiej strony słusznie uznawano, że skoro ponad 80 % ludności żyje na wsiach i w obsługujących je małych miasteczkach, skoro rolnictwo stanowi podstawę całej gospodarki, ono jest ogniwem strategicznym. Niewątpliwie też sukcesy w tej sferze, łatwe do przewidzenia, stwarzały szanse uzyskania ogromnego poparcia społecznego dla reformy i sparaliżowania jej przeciwników w łonie elity rządzącej. Możliwe perturbacje na rynku artykułów przemysłowych byłyby także znacznie łatwiejsze do zniesienia dla społeczeństwa przy zapewnieniu stabilności i obfitości na rynku artykułów spożywczych.

Kluczowym elementem reformy w rolnictwie była likwidacja komun ludowych, czyli chińskiej wersji kolchozów i przywrócenie chłopskich gospodarstw rodzinnych wraz z prawem do prywatnego dysponowania ziemią i wolnego obrotu rynkowego uzyskanymi produktami. Choć może się to wydać paradoksalne, owa likwidacja komun odbyła się bez wyraźnie sformułowanej odgórnego decyzji. Już poprzednio w ramach wysiłków poprawy gospodarki w niesprawnych komunach podzielono je na funkcjonalnie niezależne „brygady produkcyjne”. Obecnie zezwolono po pros-

tu tym brygadam na podział ziemi między chłopskie rodziny, „jeśli ich członkowie będą tego sobie życzyli”. „Społeczna własność ziemi” została jednak teoretycznie zachowana i chłopskie rodziny są zobowiązane odstawić państwu w przybliżeniu tyle, ile dawniej odstawiwały komuny. Biura komun w szczątkowej postaci zostały zachowane, podobnie jak nazwa, sprawują one teoretycznie nadzór nad użytkowaniem ziemi i nad wywiązywaniem się chłopów z ich obowiązków. Nie pisze się zatem o likwidacji całego systemu komun ani o przywróceniu prywatnego władania ziemią. Wszyscy jednak Chińczycy, z którymi rozmawiałem, pochodzący z różnych regionów ogromnego przecież kraju, mówią to samo: w praktyce ziemia została podzielona między ówczesnych członków komun, które w dawnej postaci przestały istnieć. W związku z bardzo szybkim wzrostem produkcji obciążenia nie przekraczają w praktyce 50 % pól, a mogą być jeszcze mniejsze, jeśli rodzina chłopska dobrze gospodaruje.

Początkowo chłopci uprawiali głównie zboża, ale bardzo szybko okazało się, że rynek wewnętrzny został nasycony i ceny wolnorynkowe zaczęły spadać; zabrakło nabywców. Kraj, który od wielu lat musiał importować zboża, nagle stał się pod tym względem całkowicie samowystarczalny i wieloletnie umowy z USA trzeba było anulować. Wielu chłopów przerzuciło się więc na uprawę owoców, warzyw i różnych kultur przemysłowych. Jak grzyby po deszczu zaczęły wyrastać rozmaite drobne przedsiębiorstwa chłopskie, produkujące rozmaite artykuły codziennego użytku. W pobliskich miasteczkach chłopcy zaczęli otwierać prywatne restauracje, hotele, a nawet uruchamiać linie przewozowe, z powodzeniem konkurujące z nieruchawym i niepunktualnym transportem państwowym. Linie te czasem już potrafią sprowadzać sobie nowoczesne autobusy japońskie, o jakich linie państwowe mogły tylko marzyć.

Na wsi w ciągu kilku lat zapanowała niebywała *prosperity*. Chłopcy zaczęli kupować sobie maszyny rolnicze, pralki, kolorowe telewizory, samochody transportowe i traktory, zaczęli zakładać sobie telefony, przedtem będące tylko przywilejem urzędów, i to nie wszystkich. *Boom* gospodarczy ogarnął pobliskie miasteczka i pobudził rozwój przemysłu; ustawiczne braki produkcji przemysłu państwowego zaczęły uzupełniać liczne wytwórnie prywatne, a także nowe przedsiębiorstwa tworzone przez dawne zarządy komun, które w nowych warunkach muszą zarabiać na siebie jakąś produkcją i usługami. Liczne przedsiębiorstwa zaczęły też tworzyć władze lokalne, dążące do przerabiania na miejscu lokalnych surowców mineralnych i rolnych. *Boom* gospodarczy spowodował gwałtowny rozwój budownictwa. Obok przedsiębiorców prywatnych pojawiły się na rynku przedsiębiorstwa komun, które są w stanie zapewnić chłopom niezbędne kredyty spłacane

w dogodnych ratach. W tej zupełnie nowej sytuacji wiele rodzajów przeniosło się do miast, albo pozostając na wsi zajmuje się wyłącznie działalnością pozarolniczą. W praktyce sąsiedzi przejmują ich ziemię w drodze prywatnej umowy, bez potrzeby jakiegokolwiek legalizacji, płacą im niewielką rentę dzierżawną i za nich wywiązują się z obowiązków państwowych. Jak dotychczas nie wprowadzono żadnych ograniczeń wielkości tak powstających faktycznych gospodarstw. Zatem tak zwana reforma w rolnictwie ma w praktyce bardzo szeroki zasięg.

W grudniu 1984 roku rozpoczęto wielką reformę przemysłu państwowego i całej struktury organizacyjnej wielkich miast, opartą na zasadach samodzielności i samofinansowania oraz likwidacji biurokratycznej struktury organów nadrzędnych. Wprowadza się także pewne elementy samorządności, m.in. w niektórych zakładach po raz pierwszy odbyły się wybory dyrektorów. Najtrudniejszym i dotychczas nierozwiązanym problemem są ceny; konkurencja wciąż jest słabo rozwinięta, powiązania z rynkiem światowym ograniczone, nadto zaś występują ciągle tendencje protekcyjnistyczne, poszczególne prowincje a nawet powiaty pod naciskiem lokalnego przemysłu usiłują zamykać swoje rynki przed konkurencyjnymi towarami z zewnątrz.

Innym trudnym problemem jest finansowanie instytucji użyteczności publicznej jak szkoły wyższe, teatry, instytuty naukowe, służba zdrowia itp. W szkołach podstawowych i średnich wprowadzono już odpłatność, dyskutuje się nad konsekwencjami wprowadzenia jej w szkołach wyższych i nad nowym systemem stypendialnym. Sprawa jest tym bardziej paląca, że płace w jednostkach budżetowych są obecnie dużo niższe niż w instytucjach i przedsiębiorstwach usamodzielnionych, co grozi odpływem kwalifikowanych kadr.

Ważnym elementem kompleksu reform było utworzenie w 1979 roku pierwszych „nowych stref ekonomicznych”. Początkowo tworzono je w sąsiedztwie Hong Kongu, jako swoiste strefy gospodarki mieszanej, umożliwiające integrację tej kolonii angielskiej z macierzą po wygaśnięciu terminu dzierżawy. Chciano także w ten sposób stymulować rozwój gospodarczy tych terenów przez terytorialną ekspansję dynamicznego centrum hongkongskiego. Ich tworzeniu sprzyjał także rozwój wydobywania ropy naftowej z szelfu kontynentalnego przy znacznym udziale koncernów zachodnich. Obecnie „nowe strefy ekonomiczne” objęły większość portów i całe prowincje regionu nadmorskiego, w których żyje niemal połowa ludności kraju, a także niektóre miasta wewnętrzne, które domagały się tego przywileju. W strefach tych mogą inwestować zagraniczne osoby fizyczne i prawne, wprowadzono znaczne swobody dla przedsiębiorczości prywatnej, a

także dla handlu zagranicznego, stąd ceny przybliżają się tam do cen światowych. Także przedsiębiorstwa państwowe zyskały tam dużą samodzielność, podobnie jak organa administracji lokalnej. Najstarsza z tych stref jest już obecnie dla Chińczyków krajowym „Zachodem”. Niedawne wsie w ciągu kilku lat zamieniły się w stutysięczne miasta z domami towarowymi o zachodnim standardzie, eleganckimi hotelami i restauracjami pełnymi pracujących tu cudzoziemców i turystów. Na miejscu dawnych lepiarek w oszałamiającym tempie rosną wysokościowce i fabryki. Oczywiście istnienie takich stref wiąże się z różnymi administracyjnymi ograniczeniami ruchu ludności i towarów. Wprowadzić trzeba było bariery celne. Strefy te odgrywają ważną rolę ekonomiczną, ale może jeszcze większa jest ich rola społeczna: oswajają one z nowym sposobem działania, pracy i funkcjonowania wszystkich instytucji, z rynkiem światowym, najnowszą techniką i międzynarodowym systemem prawnym, z regulami działalności wydajnej gospodarki rynkowej.

Przemiany te byłyby niemożliwe bez zasadniczych przeobrażeń politycznych, co władze otwarcie zadeklarowały. Administracyjna rola partii uległa istotnemu ograniczeniu, a główną rolę zaczyna odgrywać administracja państwowa, która staje się faktycznym gospodarzem swojego terenu. Wymagało to wielorakich działań. Poprzednio na terenach wiejskich komuny ludowe łączyły funkcje produkcyjne z administracyjnymi i wojskowymi, prowadziły także szkoły, przedszkola, ośrodki zdrowia, sklepy. Obecnie odtworzono administrację państwową szczebla powiatowego z odpowiednimi wydziałami i to ona i tworzone przez nią przedsiębiorstwa zapewniają zaspokojenie rozmaitych potrzeb społecznych, nie zaś komuny i komitety partyjne. Partii w terenie i w zakładach pracy pozostawiono głównie funkcje ideologiczne i wychowawcze, a także wspieranie reform. W praktyce oznacza to degradację lokalnego aparatu partii i jej funkcjonariuszy. Opowiadano mi np., że w fabrykach sekretarze partii z pozycji numer jeden spadli na piątą lub szóstą, poniżej nie tylko dyrektora i jego zastępców, ale także poniżej głównego technologa i głównego księgowego. Znacznie zwiększyły się obowiązki administracji terenowej, a ograniczono władzę zreorganizowanych i zredukowanych organów centralnych. Rośnie rola parlamentu i terenowych organów przedstawicielskich.

W państwie zarządzanym poprzednio według zasad dowolnie określanej przez władze „sprawiedliwości socjalistycznej”, bez pisanego prawa karnego i cywilnego, wprowadza się normy prawne do całego życia społecznego, co jest rewolucją na skalę historyczną. W cesarstwie chińskim bowiem, inaczej niż w zachodniej tradycji politycznej, nie znano koncepcji prawa jako uniwersalnego regulatora życia społecznego; działania aparatu biurokra-

tycznego kształtowane były przez ideologię konfucjańską i rozmaite wytyczne oraz akty normatywne, ale nie były ograniczone przez prawo. To władze państwowe były źródłem dowolnie zmienianego prawa dla poddanych, którzy byli w rezultacie tylko poddanymi wschodniej despotii, nie zaś obywatelami w sensie rzymskim. Poprzednie dwudziestowieczne próby wprowadzenia prawa były zaledwie krótkotrwałą fikcją bez większego praktycznego znaczenia. Ustanawianie obecnie stosunków cywilno-prawnych, prawa wiążącego zarówno obywateli jak i organy władzy państwowej, tworzy zupełnie nową rzeczywistość społeczną i całkowicie zmienia naturę państwa. Jest wyprawą całego narodu w zupełnie nowy świat pojęć i obowiązków. Właśnie prawo angielskie różniło zasadniczo Hong Kong od macierzy, i ono było kluczem do jego *prosperity*. (Wpływy chińsko-mongolskiej tradycji państwowej na kształtowanie się państwowości ruskiej wprowadziły tę tradycję nawet do Europy).

Natura państwa i jego relacje ze społeczeństwem zmieniają się obecnie w wielu aspektach. W epoce cesarstwa (do 1912 r.) głównym celem państwa była dbałość o walory moralne w Krajinie Środka i na całym świecie, podtrzymywanie porządku niebiańskiego w świecie ziemskim, wśród ludzi, duchów i w naturze. Państwo maoistowskie za swój główny cel przyjmowało posuwanie naprzód rewolucji światowej i ustanawianie moralnego ładu wewnątrz swych granic i na świecie, ładu także o naturze transcendentnej, wyznaczanego przez wieczne prawa historii. Deng Xiaoping (Teng Siao-ping)¹ nawraca do nowatorskich koncepcji wczesnego Kuomintangu, do idei państwa reprezentującego interesy swych obywateli i mającego za cel podnoszenie ich dobrobytu, który poprzednio był ustawicznie poświęcany dla „celów wyższych”. Tak państwo z regionów niebiańskich zostaje sprowadzone na ziemię, do prozaicznej sfery interesów politycznych i gospodarczych.

Zmienia to także zasadniczo relacje państwa i narodu. Państwo w okresie cesarskim i w myśli maoistowskiej było w istocie tworem ponadnarodowym, a nawet dokładniej — aetnicznym, jego cele miały charakter uniwersalny. Państwo obecne, uznając się za obrońcę i reprezentanta narodu, uznaje tym samym istnienie narodu. To otwiera drogę do całkowicie nowego ułożenia stosunków etnicznych wewnątrz Chin. O ile nacjonalistyczny

1. W 1957 roku opracowano w Chinach zunifikowaną transkrypcję łacińską pisma hieroglificznego; została ona zaakceptowana przez parlament, ale jej wprowadzenie w życie zostało prędko zahamowane. Po rewolucji kulturalnej wrócono jednak do niej i obecnie jest obowiązującą transkrypcją urzędową. Coraz szerzej stosuje się ją także w wydawnictwach naukowych publikowanych w świecie. W nawiasach podaje się tu dawną popularną transkrypcję polską.

Kuomintang poprzednio gloryfikował wyłącznie Hanów (etnicznych Chińczyków), a w stosunku nawet do niewielu uznawanych oficjalnie innych narodowości, jak Mongołowie, Tybetańczycy, Ujgurzy uprawiał politykę sinizacji, obecnie uznaje się w praktyce równość wszystkich grup etnicznych, zakłada ich długotrwałe współzycie w ramach wieloetnicznego państwa, przy rozwiniętej autonomii regionalnej dla grup mniejszościowych.

Po raz pierwszy od kilku dziesięcioleci publicznie jest dziś prezentowany patriotyzm hański i tak samo publicznie są dyskutowane różne problemy mniejszości narodowych, a kultywowanie własnych tradycji kulturowych przestało być przestępstwem politycznym. Historia tych mniejszości, a także silne w Chinach patriotyzmy regionalne przestały być tematem tabu, kształtuje się nowe poczucie narodowe „jedności w różnorodności”. Zasadniczej rewizji uległ także stosunek do religii, będącej ważnym elementem kultur narodowych. Zaprzestano prześladowań; władze centralne i lokalne podjęły nawet wysiłek odbudowy zniszczonych poprzednio obiektów kultu i świątyń. Obserwuje się zatem swoisty renesans religii i wzrost społecznego nimi zainteresowania. Dotyczy to tradycyjnych chińskich wierzeń, religii innych grup etnicznych, jak islam i lamaizm, a także najbardziej poprzednio prześladowanych religii zachodnich, kościołów protestanckich i katolicyzmu, które obecnie budzą zainteresowanie daleko wykraczające poza krąg ich dawnych wyznawców. Nie bez pewnych oporów zezwala się także na nawiązywanie zerwanych poprzednio stosunków z zagranicznymi centrami religijnymi i duchowieństwem. Do Mekki wyjechały pierwsze pielgrzymki muzułmańskie, zaproszono grupę jezuitów do prowadzonych niegdyś przez nich zakładów naukowych. Opuszczają więzienia trzymani tam od trzech dziesięcioleci duchowni katolicy, konserwuje się zdewastowane grobowce zmarłych dawniej misjonarzy cudzoziemskich itp. (stosunki z Watykanem są jednak jeszcze dalekie od normalnych).

Przemiany te wiążą się z fundamentalnymi zmianami w sferze kultury. Zarzucono poprzedni izolacjonizm, wrogość wobec własnej tradycji kulturowej oraz kultury zachodniej, a także próby tworzenia nowej „kultury proletariackiej”. W ramach ogólnego otwarcia na świat zezwolono także na powrót kultury zachodniej; gra się więc znowu Chopina i Beethovena, powstają własne orkiestry i grupy muzyczne, uprawiające muzykę zachodnią, klasyczną i młodzieżową, a obce zespoły i soliści odbywają fascynujące *tournees* z milionowymi tłumami słuchaczy w atmosferze niebywałego entuzjazmu. W księgarniach ukazują się dziesiątki tłumaczeń literatury światowej i wznowienia dawnych wydań. Dotyczy to nie tylko literatury zachodniej, ale i wschodnioeuropejskiej (także popularnego tam Sienkiewicza). Oczywiście wiele wydarzeń literackich i prądów artystycznych pozostaje jeszcze nieznanymi;

otwarcie jest selektywne, szersze wobec literatury i sztuki tradycyjnej niż wobec prądów nowych, które wciąż budzą nieufność władz. Obok tego zaczęto wznawiać wyklętą przedtem dawną literaturę chińską, szacunkiem otacza się krytykowane poprzednio szkoły filozoficzne i dzieła, czego najbardziej chyba spektakularnym przykładem było utworzenie niedawno specjalnego instytutu badań i upowszechniania myśli konfucjańskiej, tak niedawno zaciekle potępianej. Z wielkim nakładem sił zbiera się rozproszonych dawniej artystów sztuk tradycyjnych, tworzy nowe zespoły, przyucza młodzież. Gdyby obecna reforma nie nastąpiła tak szybko, za dziesięć czy piętnaście lat nie byłoby już szans na odwrócenie dawnych umiejętności. Wszystko to łączy się z szerokimi procesami demokratyzacyjnymi i znoszeniem dawnych restrykcji oraz państwowej kontroli całego życia społecznego. Reforma sfery ekonomicznej jest w prawdzie kluczowa, ale łączy się nierozzerwalnie ze zmianami we wszystkich wyliczonych powyżej dziedzinach, bez których musiałaby utknąć na manowcach, podobnie jak nieszczęsny karzelek polskiej reformy.

Zmian jest tak wiele i są one tak wielorakie, że ich nawet wyliczyć nie sposób, ale o dwu jeszcze warto wspomnieć: o fundamentalnej zmianie systemu informacji i o wyjazdach zagranicznych. Poprzednio prasa, radio i telewizja miały charakter wyłącz- nie propagandowy i „dworski”. Podawały tylko wiadomości o chińskich sukcesach gospodarczych i politycznych (często wyimaginowanych), o zachwytach ludu pracującego całego świata modelem chińskim i aktualnymi decyzjami najwyższych organów władzy, zawsze „jedynie słusznymi”, a także o wizytach składanych przez oficjeli chińskich za granicą, o przyjmowaniu przez nich gości zagranicznych oraz o niezliczonych zebraniach i kongresach, zaszczyconych obecnością towarzyszy x, y, z i wygłoszonych tam przemówieniach. Obecnie wprowadzono zasadę informowania społeczeństwa o wszystkich ważniejszych wydarzeniach w kraju i za granicą i wiadomości te podaje się w sposób dość obiektywny (odstępstwa od tej zasady są stosunkowo rzadkie). W prasie zarożyły się artykuły dyskusyjne, wypowiedzi kontrowersyjne i krytyczne i pojawiło się wiele wiadomości po prostu ciekawych albo zabawnych. W podobny sposób zmienił się program radia i telewizji, gdzie rekordy popularności biją nie filmy zachodnie i seriale, ale wyklęte poprzednio filmy z Hong Kongu przedstawiające walki kung-fu. Pojawiły się setki nowych czasopism dla różnych kręgów czytelniczych. Niektóre z pism regionalnych znalazły się nawet na czele „nowej prasy” dzięki wysokiemu poziomowi i dyskusjom łamiącym różne dotychczasowe tabu. Ogromnie wzrosło czytelnictwo, także na wsi, która zaczęła masowo prenumerować czasopisma fachowe i kulturalno-społeczne. Oczywiście prasie chińskiej daleko jeszcze do standardów wolności

prasy zachodniej, swoboda publikacji podlega dość dziwnym fluktuacjom, ale przełom jest niewątpliwy.

Ciekawym fenomenem ostatnich lat jest też pojawienie się w prasie po raz pierwszy od kilkudziesięciu lat analiz rozmaitych problemów społecznych, wyników badań opinii publicznej w różnych sprawach, np. orientacji życiowej młodych, stosunków wewnątrz rodziny itp.

Obserwuje się pęd do nauki języków obcych (Radio Pekin nadaje kursy angielskiego, francuskiego i od niedawna — rosyjskiego, w ramach różnicowania politycznego). Ułatwiono dostęp do publikacji zachodnich i bardzo rozszerzono własne wydawnictwa w językach obcych. Między innymi wydaje się obecnie w Pekinie *China Daily* na zupełnie przyzwoitym poziomie. Chińczycy mogą nie tylko swobodnie słuchać radiostacji zagranicznych nadających w języku chińskim, ale nawet korespondować z nimi.

Poprzednio wyjazdy legalne z Chin były niezmiernie trudne jeśli w ogóle możliwe. Obecnie uzyskanie paszportu jest dużo łatwiejsze niż zdobycie obcej wizy. W ramach odwiedzania rodziny wyjeżdżają legalnie z kraju na nieograniczony okres tysiące Chińczyków łączących często turystykę z pracą zarobkową, a ambasady chińskie udzielają im chętnie niezbędnej pomocy za granicą. Nie tylko rząd wysyła tysiące studentów za granicę, ale można również prywatnie wyjeżdżać na studia do dowolnego kraju. Studiuje tak, przy pomocy rodziny albo trochę pracując, przynajmniej kilkadziesiąt tysięcy osób. Kto zatem pragnie trochę więcej wolności niż ma jej w kraju, albo chce poprobować swych sił na rynku kapitalistycznym, może wyjechać, wrócić kiedy chce, może odwiedzać rodzinę albo zapraszać ją do siebie. Wyjazdy takie cieszą się jednak ograniczonym powodzeniem, gdyż pozostając w Chinach można uzyskać pracę połączoną z częstymi wyjazdami zagranicznymi, z kontaktami z cudzoziemcami, albo na miejscu podjąć pracę w zachodniej firmie. „Zachód teraz mamy u siebie” mówią Chińczycy, nie bez pewnej przesady oczywiście.

Oczekiwany rezultatem reformy jest przyspieszenie rozwoju gospodarczego i wprowadzenie Chin do grona krajów rozwiniętych, posługujących się najnowszymi zdobyczami nauki i techniki, wzrost dobrobytu obywateli i potęgi kraju. Wybrana droga rozwoju pociąga jednak za sobą dwie ważne konsekwencje społeczne, budzące wielorakie opory i wątpliwości wewnątrz Chin i za granicą, szczególnie w krajach „realnego socjalizmu” i wśród zachodniej lewicy.

Po pierwsze prowadzi ona do likwidacji tzw. nowej klasy — uprzywilejowanej grupy biurokratycznych zarządców dysponujących majątkiem narodowym w imieniu społeczeństwa i mającej monopol na władzę polityczną. Obecnie jej najniższe i średnie

warstwy utraciły już w dużym stopniu swą uprzywilejowaną pozycję, prerogatywy polityczne i ekonomiczne. Bardzo obniżył się ich prestiż społeczny, a zarobki stały się stosunkowo niskie w związku z pojawieniem się licznych warstw znacznie lepiej sytuowanych. Opuszczenie stanowiska administracyjnego (bądź partyjnego) i podjęcie działalności gospodarczej zaczęto więc uznawać za awans społeczny, i bardziej dynamiczne jednostki wcale nie rzadko się na to decydują. Innym sposobem zachowania wysokiego prestiżu rodziny jest podjęcie działalności gospodarczej przez żonę funkcjonariusza lokalnego albo innych członków rodziny. Wreszcie aż nazbyt często zdarza się, że funkcjonariusze partyjni i państwowi pozostając na swoich stanowiskach podejmują działalność gospodarczą na własny rachunek wbrew prawu albo rozmiągając się z nim. Mnożą się więc afery gospodarcze o ogromnej niekiedy skali. Jest to po części związane z dramatycznym upadkiem etosu biurokratycznego oraz faktem, że funkcjonariusze przestali się utożsamiać z organizacją, do której przynależą. Swoje działania i myśli koncentrują wokół spraw prywatnych kosztem obowiązków oficjalnych. Opowiadano mi, że obecnie trudno nawet doprosić się milicjantów, by przybyli na miejsce przestępstwa i podjęli pościg za rabusiem czy mordercą.

Aby pozbyć się niekompetentnych albo niepotrzebnych dzisiaj funkcjonariuszy, władze wysyłają ich na wczesne emerytury z zachowaniem wielu dawnych przywilejów ekonomicznych i dodaniem nawet nowych (np. raz na rok bezpłatny przejazd z rodziną do dowolnego miejsca Chin, regularnie przydzielane wczasy w atrakcyjnych miejscowościach, przepustki do nowych stref ekonomicznych dla dokonania zakupu deficytowych dóbr itp.). Obecnie tego typu akcje objęły nawet dostojników szczebla centralnego. Innym rozwiązaniem jest tworzenie synekur dających pewien prestiż społeczny, rozmaitego typu komisji doradczych bez prawa do praktycznych decyzji. Ten rewolucyjny ze swej istoty proces dokonujący się pod nadzorem kierowniczych organów partii zdaje się przebiegać zadziwiająco łagodnie; grupy tracące dotychczasowe pozycje stawiają słaby opór. Wyjaśnienie tego fenomenu nie jest łatwe. Zdają się go powodować liczne czynniki. Przede wszystkim sama władza utraciła wiele ze swej dawnej atrakcyjności; nie broni się jej, gdyż nie daje ona wiele. Wielu funkcjonariuszy utraciło wiarę we własne kompetencje i możliwość podołania nowym, zupełnie innym obowiązkom. Towarzyszy temu niezadko poczucie winy. Całe społeczeństwo od góry do dołu krytykuje niezwykle ostro poprzednie koncepcje i metody sprawowania władzy, uznaje je za całkowicie błędne, za katastrofę narodową. Ludzie, którzy ten poprzedni kurs realizowali, którzy przekonywali społeczeństwo, iż tak właśnie należy budować socjalizm, utracili wiarygodność społeczną, stali się nie-

oczekiwanie niemal przestępcami. Ogromne sukcesy nowego kursu, szybki wzrost dobrobytu i demokratyzacja życia społecznego, nowy kult kompetencji i nauki wykluczają możliwość obrony dawnej dogmatycznej ideologii i opartych na niej działań. Godne „dobrowolne” odejście bez rozliczenia z dawnych błędów wydaje się wielu ludziom najlepszym rozwiązaniem. Władze zaś wyraźnie unikają rozprawy z dawnym maoistowskim aparatem, uderzono tylko w jego najwyższe ogniwa, w przywódców poprzednich etapów. Rozprawa sądowa nad „bandą czworga” była tego najbardziej spektakularnym elementem.

Innym ważnym czynnikiem jest wyraźnie zarysowany podział „kadry” na dwie orientacje: eksponentów i realizatorów rewolucji kulturalnej, reprezentantów poprzedniego całkowicie błędnego „kursu lewackiego”, mających swe główne oparcie w aparacie partyjnym i propagandowo-ideologicznym, i na szacunku godnych wykonawców polityki premiera Zhou Enlaia (Czou En-laja), otoczonego prawdziwym i szczerym masowym kultem. Ci ostatni mieli swe pozycje głównie w aparacie państwowym, szczególnie w administracji szczebla centralnego. Po czystkach związanych z eliminacją grupy Lin Biao (Lin Piao), także armia i wywodząca się z niej kadra w dużym stopniu zachowała prestiż i szacunek społeczny. To właśnie armia poparła powrót Deng Xiaopinga do władzy i reformy. W rezultacie tylko część kadry została boleśnie uderzona przez zmianę kursu politycznego, właśnie ta najbardziej konserwatywna i dogmatyczna, część zaś, szczególnie ze średniego pokolenia, uzyskała ogromne możliwości sukcesów zawodowych typu menadżerskiego albo administracyjnego (choć uwalnianie się od dawnych wyobrażeń i przyzwyczajzeń jest procesem trudnym i powolnym).

Drugim fundamentalnym procesem społecznym jest odejście od zasad egalitaryzmu. W modelu socjalizmu biurokratycznego państwo nie jest wprawdzie zdolne zaspokoić wszystkich potrzeb swych poddanych, ale to im nieustannie obiecuje i w jakiejś mierze to realizuje, podejmuje w tym kierunku rozmaite, zwykle mało skuteczne wysiłki. Likwiduje za to albo bardzo ogranicza możliwości poprawy swej sytuacji przez własną pracę i inicjatywę; dokonuje się to zatem niemal wyłącznie w drodze rozmaitych nadużyć, przez działalność sprzeczną z obowiązującym teoretycznie systemem albo pozaprawną (indywidualną albo grupową). W rezultacie społeczeństwo nie jest wprawdzie egalitarne, ale nierówności są ograniczone, często noszą piętno nadużycia i całe społeczeństwo cierpi biedę oraz przeróżne niedostatki. Zdrowa działalność ekonomiczna i współzawodnictwo są bowiem uniemożliwiane.

Reforma chińska ogranicza coraz bardziej tę nadopiekuńczą fikcję państwa, a troskę o zaspokojenie różnorodnych potrzeb po-

zostawia obywatelom oraz różnym autonomicznym organizacjom według zasady: pracujesz więcej i lepiej, to masz więcej. W ten sposób reforma w rolnictwie stworzyła od razu duże kontrasty społeczne. Jedni potrafią dobrze organizować pracę na roli, szybko dostrzegają nowe możliwości rynkowe, inni nie są wystarczająco przedsiębiorczy i żyją nadal na dawnym poziomie lub nawet nieco gorzej, nie umiejąc dostosować się do nowych warunków. Jedni dorobili się już traktorów, maszyn i samochodów, a inni ledwo wiążą koniec z końcem. Dotyczy to nie tylko rodzin wewnątrz jednej wsi, ale i całych wsi a nawet regionów, jedne mają przecież bardziej, a inne mniej sprzyjające warunki.

Te nowe problemy usiłuje się rozwiązywać dwójako. Po pierwsze zaleca się administracji lokalnej pomoc najbardziej potrzebującym rodzinom przez fachowe porady, nisko oprocentowane kredyty albo mobilizowanie sąsiadów do pomocy. Propaguje się zasadę „dorobiłeś się sam, to pomóż innym”. Zawsze jednak chodzi tu o pracę własną, która ma dawać lepsze rezultaty. Na pewno jednak część rodzin nie utrzyma się na swobodnym rynku rolnym. Nie każdy nauczy się prowadzić hodowlę kaczek, ryb albo wydajny sad. Po drugie rozmaite potrzeby społeczne, dawniej zaspokajane bezpośrednio przez państwo albo przez podległe mu jednostki, przerzuca się na barki autonomicznych jednostek gospodarczych, na pracodawców. Tak na przykład szkołę ma opłacać zakład pracy zatrudniający rodziców albo komuna, do której teoretycznie należy uprawiana przez nich ziemia. Jednak świadczenia dla pracowników są ograniczane przez obiektywne możliwości danej jednostki gospodarczej. Przedsiębiorstwa często nie mają środków, choćby chwilowo. Ponadto w wypadku wielu małych przedsiębiorstw prywatnych typu rodzinnego opłaty spadają na ojca — właściciela zakładu albo gospodarstwa na wsi w związku z praktyczną reprivatyzacją rolnictwa. Szkoły, które także przeszły na rozrachunek własny, nie mogą jednak czekać na rozstrzygnięcie tych wszystkich sporów i na pieniądze. Prasa chińska donosiła o dramatycznych wręcz przypadkach odmawiania dzieciom nauki do czasu, gdy rodzice lub przedsiębiorstwa nie uregulują płatności. Sytuację pogarsza ubóstwo dopiero odtwarzanej administracji lokalnej i jej słabości kadrowe.

Władze państwowe, nie chcąc powracać do poprzednich metod totalnego administrowania, zalecają pomoc wzajemną całych wsi i regionów, tworzenie więzi współpracy i wzajemnych korzyści. Na przykład miasto bogatsze może inwestować w biedniejszym, łącząc pomoc z poprawą zaopatrzenia własnego rynku. Łączy się kapitały, tworzy rozmaite spółki i przedsiębiorstwa mieszane. Jest jednak jasne, że rozwój kraju nie może być równomierny, podobnie jak awans i postęp gospodarczy poszczególnych rodzin oraz jednostek. Zaakceptowanie owych nierówności

zostało jednak uznane za klucz do rozwoju całego kraju i podniesienia stopy życiowej społeczeństwa jako całości. Odnoszę wrażenie, że roszczenia i niezadowolenie z obecnego stanu rzeczy mają jednak zasięg bardzo ograniczony i nie stanowią problemu politycznego; postępy reformy w ośrodkach miejskich mogą jednak zmienić tę sytuację. Zapewne kierownictwo polityczne zdaje sobie sprawę z tych niebezpieczeństw i dlatego zachowuje ostrożność w reformowaniu istniejącego przemysłu i miast.

Zastosowano także pewien bufor ideologiczny, łagodzący wstrząs. Powtarza się nieustannie, że Chiny nie odchodzą od socjalizmu, a jedynie przechodzą do wydajnego modelu „chińskiego”. Zatem państwo nie wyrzeka się całkowicie swych funkcji opiekuńczych i dbałości o zaspokajanie wielorakich potrzeb obywateli, a jedynie zmienia metody działania. Stąd pojawiły się dyskusje o ideałach socjalizmu u klasyków marksizmu, o zasadach tego ustroju itp. Wydaje się jednak, że społeczeństwo odnosi się do tych rozważań dość obojętnie i mają one nader ograniczony krąg zainteresowanych uczestników. Wiąże się to z dość powszechną ucieczką od ideologii i kompromitacją społeczną działań na niej opartych. Owe dyskusje teoretyczne są jednak z pewnością interesujące i warte byłyby uważnego śledzenia. Jedynym dotychczas modelem „socjalizmu marksistowskiego” był przecież model totalnego upaństwowienia całego życia społecznego; Chińczycy pokazują, że wcale tak być nie musi. Jest to tym bardziej interesujące, że nawet samorządowy z nazwy model jugosłowiański nie zapobiegł uformowaniu się Nowej Klasy analizowanej przez Džilasa, jaką model chiński zdaje się eliminować trwale.

Aby przedstawić tu obraz Chin nie wydał się nazbyt optymistyczny, trzeba dodać kilka uzupełniających uwag. Po pierwsze, przeprowadzane reformy wciąż spotykają się ze znacznym oporem wewnątrz aparatu władzy, który je bojkotuje bądź hamuje i wypacza. Nawet wojskowi, którzy poprzednio poparli Deng Xiaopinga, teraz zajęli pozycje zachowawcze. Stąd proces reform jest powikłany, a same one wcale nie są konsekwentne i ich kontynuowanie wcale nie jest przesądzone. Po drugie, wiele z tego, co zostało powyżej opisane jest zaledwie tendencjami rozwojowymi, nie zaś dokonaniem. Stopień zaawansowania reform w rozmaitych dziedzinach nie jest jednokowy i występują tu, najogólniej rzecz ujmując, dwa modele sytuacyjne: przemiany realne wyprzedzają znacznie oficjalne decyzje i koncepcje (jak chociażby w sprawie komun ludowych), albo też słuszne koncepcje są wprawdzie ogłoszone i zaakceptowane, ale ich realizacja jest nader powolna (np. kształtowanie systemu prawnego). Społeczeństwo chińskie dopiero wkroczyło na drogę demontażu systemu neostalinowskiego, wyzwala się z niewoli fałszywych dogmatów, złudnych utopii i biurokratycznych ograniczeń, ale wcale nie jest pew-

ne, w jakim kierunku będą zmierzać dalsze przemiany. W historii „realnego socjalizmu” wiele razy słuszne zasady i deklaracje rozmięły się zasadniczo z późniejszą praktyką. Po trzecie wreszcie, obok zmian pozytywnych występują w Chinach rozmaite zjawiska negatywne, jak np. korupcja i nadużycia gospodarcze, ogromny rozwój przestępczości, naiwne zafascynowanie młodzieży zachodnimi modami i odrzucanie własnego dziedzictwa kulturalnego, obok tego pojawia się nacjonalizm itd. Przedstawienie tych zjawisk, jak też wypaczeń i zahamowań reform wymagałoby jednak odrębnego omówienia. Tu ograniczam się tylko do odnotowania kierunków zmian, które wydają się słuszne i zasadnicze.

Polskiego czytelnika interesuje z pewnością najbardziej kwestia, jak mogło dojść do takiego rozwoju wypadków. Jak każdy proces społeczny, rewolucja ekonomiczna ma wiele rozmaitych przyczyn i specyficznych uwarunkowań historycznych. Dwa czynniki wydają się jednak kluczowe. Pierwszym jest rewolucja kulturalna, a drugim specyficzna tradycja narodowa. Rewolucja kulturalna zburzyła poprzednio istniejący system biurokratycznego zarządzania; armia przejęła władzę, ale nie była w stanie ani chyba nawet nie chciała go odbudować. Ponadto zaś realizacja zasad komunistycznych w sprymitywizowanej i radykalnej wersji skompromitowała całkowicie te zasady, wyzwoliła całe społeczeństwo z ideologicznej niewoli utopijnej ideologii i obaliła różne mity, przede wszystkim mit „nieomyślnej partii” i „nieomyślnych przywódców”. Totalna państwowo-partyjna kontrola nad życiem społecznym i prywatnym stała się horrorem. W swojej warstwie krytycznej rewolucja kulturalna obaliła wiarę, że neostalinowski model rządów jest socjalizmem i otworzyła drogę do poszukiwań innego modelu. Wersja „społecznej kontroli i samorządności” lansowana przez Mao okazała się w praktyce systemem niespotykanego terroru i prześladowań. Obecna reforma idzie w zupełnie innym kierunku, określanym poprzednio jako „restauracja kapitalizmu”, ale jest poniekąd kontynuacją poprzednich wysiłków, tak samo zakłada niezbędność zlikwidowania władzy biurokratycznego aparatu nad społeczeństwem i gospodarką. Zatem, choć brzmi to paradoksalnie, najbardziej przyczynili się do powodzenia obecnych reform inicjatorzy rewolucji kulturalnej i ich szalone działania. Oddać też trzeba sprawiedliwość chińskiemu społeczeństwu; rewolucja kulturalna była rewolucją antybiurokratyczną, uaktywniła szerokie masy, zainicjowała np. tworzenie wolnych związków zawodowych, związków studenckich, umożliwiła strajki itp. Wprawdzie później wszystkie niezależne organizacje zlikwidowano, strajki stłumiono i zwalczono rozmaite formy prywatnych i grupowych „gazetek” (ściennych albo nawet powielanych i drukowanych), ale społeczeństwa nie dało się już ujarzmić. To prawda, że większość organizacji wtedy powstałych miała orien-

tację dogmatyczną, ale były też i inne. Ważne zaś nade wszystko było upowszechnienie się przekonania, że lud ma prawo podejmować własne działania polityczne, że może organizować się, krytykować i obalać biurokratów, wysuwać własne żądania polityczne i ekonomiczne. To zostało uznane przez władze i trudno się było z tego wycofać.

Nie mniej istotne są specyficzne tradycje. Z jednej strony są to tradycje pewnej nieufności do modeli zagranicznych, dążenie do ich ulepszania albo odrzucania i stare pragnienia osiągnięcia szybko standardu równego albo nawet wyższego niż w krajach europejskich. Były one leitmotivem nowożytnej myśli politycznej wszystkich niemal orientacji. Sama KPCh wielokrotnie podejmowała próby idące w tym kierunku, jak właśnie Wielki Skok i rewolucja kulturalna. Z drugiej strony żywe były w Chinach tradycje anarchizmu (w latach dwudziestych najsilniejszego nurtu rewolucyjnego), samorządności lokalnej i grupowej oraz prywatnej przedsiębiorczości. Nawet w najgorszym okresie rewolucji kulturalnej kwitła ona nielegalnie na terenach wiejskich. Chińskie zdolności do tworzenia przedsiębiorstw i rentownych interesów są znane w całym świecie. Sam widziałem Chińczyków, którzy kilka zaledwie lat temu przybywali do Europy z 5 dolarami w kieszeni, a dziś mają już własne dobrze prosperujące restauracje albo inne przedsiębiorstwa. Działalność gospodarcza i zdobywanie pieniędzy było przez stulecia dla znacznych odłamów społeczeństwa stylem życia i jego filozofią, były uznawane za wartości naczelną i traktowane jako sztuka otoczona szacunkiem, uprawiana z mistrzostwem i analizowana teoretycznie. Stąd też samo otwarcie możliwości działania dać tam mogło tak natychmiastowe rezultaty. Inną chińską tradycją intelektualną jest swoisty pragmatyzm, wyrażony najdobitniej w głośnym powiedzeniu Deng Xiaopinga: nieważne, czy kot jest biały czy czarny, ważne żeby łapał myszy, co odnosiło się do ówczesnych dyskusji o kapitalistycznym i socjalistycznym modelu gospodarczym. Dogmatyzm i „orientacja ideologiczna” miały w Chinach od dwu tysięcy lat nikłe wzięcie.

Już z powyższego skrótego opisu widać rozmaite paralele między sytuacją polską i chińską, choć oczywiście trudno mówić o prostych analogiach. Porównania te były zresztą dokonywane przez znających nasz kraj Chińczyków i sytuacja w Polsce budziła tam duże zainteresowanie. Pierwsze próby wydatnego rozwoju stosunków z Polską były podjęte przez Chiny jeszcze przed ogłoszeniem stanu wojennego i mogą być interpretowane jako wyraz życzliwego zainteresowania dla polskich reform posierpniowych, choć nie chcąc utrudniać naszej sytuacji międzynarodowej, nie nadawano im rozgłosu. Materialnym tego wyrazem były bezprocentowe kredyty, jakie Polsce zaoferowano latem 1981 roku i

dostawy mięsa, które dotarły w grudniu, w nowej już sytuacji, lecz były uzgodnione właśnie poprzednio².

Uważny czytelnik chińskich projektów reform i projektów reform diskutowanych w Polsce tak w kręgach Solidarności jak i wewnątrz reformatorskiego nurtu PZPR dostrzeże bez trudu liczne paralele, dotyczące tak zasad jak i szczegółów. Jest to rezultatem podobnej sytuacji wyjściowej: konieczności reform zbliżonego systemu post-stalinowskiego o tych samych głównych niedostatkach. Z drugiej jednak strony można zakładać istnienie pewnych inspiracji i zapożyczeń. Ogromną ilość materiałów publikowanych w Polsce tłumaczono na chiński i były one studiowane w kręgach elity politycznej. Polskie analizy krytyczne mankamentów systemu centralnego planowania i systemu nakazowego były przez niektórych ekonomistów uważane za najbardziej dogłębne. Zainteresowanie budziły koncepcje tzw. „sieci”, wypracowane przez przedstawicieli największych polskich zakładów przemysłowych, i wyraźne podobieństwa dostrzec można w programie reform przemysłu chińskiego. Jedynym właściwie elementem zasadniczo różniącym obie koncepcje jest nieporównanie mniejszy w Chinach nacisk na samorządność, ze względu na odgórne inicjowanie reform i odmienną sytuację polityczną.

Sytuacja w Polsce poniekąd nawet rzutowała na poczynania chińskie. Wśród elity politycznej w Chinach żywe były obawy, że narastające napięcia społeczne mogą doprowadzić do podobnej eksplozji gniewu społecznego i do pojawienia się tam rewolucyjnego ruchu zawodowego już w najbliższej przyszłości. Zakładano przy tym, iż chińska Solidarność może być znacznie mniej umiarkowana w żądaniach i że wypadki mogą przyjąć krwawy obrót. Być może obawy takie były celowo podsycane przez kręgi reformatorskie, by sparaliżować opór konserwatystów. Faktem

2. Chiny zaoferowały wówczas Polsce dostawy mięsa wartości stu milionów dolarów, którego wartość miała być spłacona po dziesięciu latach według bieżących cen rynkowych. Dla Chin w ich ówczesnej dość trudnej sytuacji ekonomicznej było to duże poświęcenie, traktowano to jako materialne potwierdzenie dawnej chińskiej przyjaźni dla Polski. Żądaniem strony polskiej było zachowanie całej operacji mięsnej w najgłębszej tajemnicy, na co strona chińska przystała. Z dużo późniejszych informacji podanych przez *Politykę*, bez sprecyzowania czasu ani warunków kontraktu, zdaje się wynikać, że w nowych warunkach stanu wojennego Chiny zmniejszyły tę pomoc i ograniczyły kredyt. Dla prawdy historycznej należy dodać, że od wielu lat Chiny dążyły do rozwoju stosunków z Polską, co bynajmniej nie było wyłącznie elementem manipulacji w rozgrywce z ZSSR, a raczej było traktowane jako najłatwiejszy pierwszy krok do normalizacji stosunków z całym blokiem. Wszelkie wysiłki chińskie idące w tym kierunku były jednak zawzięcie odrzucane przez Moskwę, która narzuciła krajom sojusznicy politykę zamrożenia wszelkich stosunków z Chinami. Dodać pragnę, że ów kredyt mięsny był rezultatem wysiłków prywatnych niewielkiej grupy osób, które zainicjowały i zdołały przeprowadzić całą sprawę przekonawszy do niej czynniki rządowe.

jest, iż mimo dość ubogiej i bardzo ostrożnie sformułowanej informacji w prasie oficjalnej, wydarzenia w Polsce i ruch Solidarności były w Chinach szeroko znane (głównie dzięki rozgłoszom zachodnim), także wśród tak zwanych prostych ludzi. Zakres tej popularnej wiedzy o Polsce jest zdumiewający, jeśli uwzględnić oddalenie, wzajemną izolację itp. I, co jest nawet jeszcze bardziej zdumiewające, polski ruch reform wzbudził duże i życzliwe zainteresowanie także na Tajwanie, wśród społeczeństwa żyjącego w całkiem innym systemie, tyle że również autorytarnym, gdzie Polska była naprawdę krajem bardzo mało znanym w ciągu ostatnich dziesięcioleci. Zatem reperkusje polskiego ruchu reform w świecie chińskim mają wiele aspektów. Przykład Polski ukazał tam zupełnie nową drogę inicjowania reform w systemie rządów monopartyjnych.

Na zakończenie tych rozważań można sformułować dwie zasadnicze konkluzje.

1. Program reform realizowanych obecnie w Chinach ma znaczenie nie tylko lokalne, ale uogólnia on i realizuje liczne postulaty i koncepcje wypracowane przez ruchy reformatorskie w wielu krajach „realnego socjalizmu”, inicjuje pojawienie się jego zupełnie nowej formy, która zdaje się zapewniać zdrowy rozwój gospodarczy i zaspokojenie różnorodnych potrzeb społecznych i politycznych.

2. Reformy chińskie idą znacznie dalej niż program przyjęty przez IX nadzwyczajny zjazd PZPR i są w istotnych punktach zbliżone z koncepcjami polskiej Solidarności oraz różnych grup radykalnych wewnątrz partii lub w kręgach zbliżonych do niej. Zatem głoszenie przez polską propagandę, że postulaty gruntownych reform miały u nas charakter antysocjalistyczny są bezpodstawne, jeśli bardzo zbliżony program realizować może wielka partia uznawana powszechnie, także przez PZPR, za komunistyczną.

Krzysztof GAWLIKOWSKI

Krzysztof GAWLIKOWSKI, urodzony w 1940 roku, studiował w Warszawie i Pekinie, do grudnia 1981 kierował Pracownią Dziejów Azji i Afryki Północnej w Instytucie Historii PAN w Warszawie. Obecnie wykłada w Istituto Universitario Orientale w Neapolu, najstarszym centrum orientalistycznym Włoch, historię chińskiej myśli politycznej. Jest autorem dwu książek wydanych w Polsce: „Chiny wobec Europy; reformy wojskowe XIX wieku” (1979) i „Nowa batalia o Konfucjusza” (1976) o życiu politycznym w ChRL, a także redaktorem kilku tomów studiów wydanych w Polsce i na Zachodzie.

Korespondencja z Rzymu

NIEOMYLNÓŚĆ PAPIEŻY

W artykule wstępnym pt. „Urząd papieski po dwóch soborach”, zatwierdzonym jak zwykle przez Sekretariat Stanu, autorytatywne pismo jezuitów *Civiltà Cattolica* (2 listopad 1985) rozróżnia pomiędzy nieomylnością papieża (*infallibilità*) a jej wynaturzeniami czyli „nieomylnizmem” (*infallibilismo*), na jaki choruje wielu katolików. Ta choroba, kult nieomylności, stanowi tendencję do rozciągania granic nieomylności papieskiej, proklamowanej w dziedzinie dogmatycznej przez Piusa IX na Soborze Watykańskim I w 1870 roku. Papież jest nieomylny tylko wtedy, kiedy przemawia *ex cathedra*, wykładając określoną prawdę, dotyczącą wiary i moralności. Papieże korzystali z tej prerogatywy bardzo rzadko. Ani Jan XXIII, ani Paweł VI i Jan Paweł II nigdy się do niej nie uciekali. Ostatni raz skorzystał z niej Pius XII w 1950 roku, kiedy ogłosił dogmat o Wniebowzięciu.

Opisując symptomy choroby „nieomylnizmu” organ jezuitów wymienia „serwilizm”, „papolatrię”, „nadmowny bizantyzm”, „centralizm kurialny” oraz „mentalność dworską”. Sprawozdawcy watykańscy identyfikują obciążonych tą mentalnością z należącego do integrystycznej organizacji *Comunione e Liberazione*, którym dziekan włoskiego laikatu, b. rektor Uniwersytetu Katolickiego prof. G. Lazzati, zarzuca, iż stanowią specyficzny kościół w łonie Kościoła, a ich kultura zakłada „krótkie spięcie pomiędzy wiarą a rozumem”. Niektórzy watykaniści przypisują „mentalność dworską” również środowiskom polskim.

Artykuł wykazuje ciągłość eklezjologiczną od Vaticano I do Vaticano II i stara się przyczynić — poprzez cytaty z pism znanych teologów — do oczyszczenia oblicza ewangelicznego papieża z naleciałości czysto świeckich i politycznych. I stwierdza, że po Pierwszym Soborze Watykańskim doszło do tego, że Papież „pojawił się samotny, zbyt samotny wobec Boga, zaangażowany w swym sumieniu w podejmowanie bardzo poważnych decyzji dla Kościoła i dla świata. Zaangażowanie dramatyczne”.

Wbrew różnym polemicznym głosom nieuzasadniona jest interpretacja, że artykuł w dwutygodniku jezuitów świadczy jakoby o krytyce wobec stylu rządzenia Jana Pawła II, o „wyzwaniu” pod jego adresem ze strony krnąbrnych jezuitów. Wiadomo, że zasadnicze teksty w *Civiltà Cattolica* podlegają przeglądowi i aprobachie Sekretariatu Stanu i są zharmonizowane z linią pontyfikatu. Nastąpiło to również w obecnym przypadku, co po-

twierdził dyrektor czasopisma. Oczywiście nie umniejsza to wcale sensacyjności tego tekstu.

Moim zdaniem, odróżniając uroczyste nieomylnie wystąpienia papieskie w sprawach doktrynalnych od jego wypowiedzi na tematy religijne, społeczne bądź kulturalne, podlegające dyskusji, artykuł postuluje niejako i sankcjonuje uprawnione istnienie opinii publicznej w Kościele. Chodzi o uniknięcie ryzyka, które sprowadza się do supremacji bezkrytycznych *yes men'ów*. Na to ryzyko każdy papież, a więc i Jan Paweł II (być może nawet jeszcze w większym stopniu), jest narażony. Chodzi o to, że dla właściwej projekcji charyzmatu papieskiego należy przyhaczyć gorliwość chwalców i integrystów. Prawomocność krytyki, prawo do różnienia się zakłada jednak, co uwypukla organ jezuitów, „szacunek synów dla ojca”.

Artykuł ma jeszcze jeden wymiar, a mianowicie ekumeniczny. Triumfalizm, papolatria, tendencje centralistyczne, utrudniają na pewno dialog ekumeniczny, zwłaszcza z protestantami, rozczarowanymi, że nadzieje otwarte przez Drugi Sobór Watykański nie spełniły się. Jest szczególnie znamienne, że artykuł ukazał się trzy tygodnie przed nadzwyczajnym zgromadzeniem Synodu Biskupów, zwołanym przez Papieża dla ponownego przeżycia i prze-myślenia Drugiego Soboru. To samo pismo jezuitów zamieściło w poprzednim numerze artykuł (który również uzyskał *placet* Stolicy Apostolskiej) na temat kolegalności episkopalnej, której wykładnikiem są krajowe Konferencje Biskupów, a szczególnie wyraz stanowi Synod. Przypomniano, że patriarcha maronicki z Antiochii, Paul Pierre Meouchi, postulował w 1969 roku utworzenie stałego Synodu (*Sinodo permanente*) wyposażonego w głos decydujący, a nie jak dzisiaj tylko doradczy. Ten sam postulat zgłosił ostatnio w wywiadzie dla rzymskiego dziennika *Il Tempo* metropolita ukraiński z Kanady, Hermaniuk. Pismo jezuitów przewiduje rozwój kolegalności (co odpowiada demokracji w terminologii świeckiej) w kierunku zmiany regulaminu Synodów i większej władzy powierzonej im przez Papieża.

Pozostaje konieczność sprecyzowania istotnego aspektu omawianej problematyki. Fakt, że w całym swym nauczaniu — jak twierdzi w wywiadzie dla Radia Watykańskiego jezuita G. De Rosa, współautor omawianego artykułu — Papież nie jest nieomylny, nie oznacza, że musi się mylić, ponieważ nie korzysta z charyzmatu nieomylności. Trzeba zakładać, że może się mylić, jeśli chodzi o „gestię Kościoła”. I dlatego należy mu się w tej dziedzinie nie „akt wiary, lecz posłuszeństwo, religijny szacunek i przede wszystkim miłość”, ponieważ także w rządzeniu Kościołem „jest wspierany Duchem Świętym, aczkolwiek nie w tym wymiarze, jaki go czyni nieomylnym”.

Na jeden, szczególnie istotny *passus* głośnego artykułu, komentatorzy nie zwrócili uwagi. Koncepcja papieżstwa przechodzi ewolucję, staje się coraz bardziej „chrystocentryczna”, przewyciężając „maksymalistyczną orientację eklezjocentryczną”. Jest to „nowa droga papieżstwa”, która zaczyna się od encykliki *Redemptor hominis*. I w tym tkwi sedno rzeczy.

Mass media i pontyfikat: post scriptum

Sprawa „kolumny papieskiej, rozprowadzanej przez koncern prasowy *News America Syndicate* — o czym pisałem w numerze październikowym — wywołała tak wielkie wzburzenie i protesty ze strony dziennikarzy akredytowanych przy Watykanie, że jej inicjator, milioner Ruppert Murdoch, musiał wycofać się z całej operacji edytorsko-handlowej. Jak się okazało kardynałowie Gagnon i Strickler rozmawiali wprawdzie w Watykanie w tej sprawie a *titolo privato* z redaktorem tej kolumny Alfredem Blochem, ale nie podjęli żadnych zobowiązań (do których nie byli zresztą powołani). Następny z kolei komunikat watykańskiego biura prasowego stwierdza wyraźnie, że Stolica Apostolska nie ma nic wspólnego z tą inicjatywą. Jest bowiem rzeczą „niedopuszczalną, by imię Ojca Świętego było używane w podpisie dziennikarskim i wciągane do transakcji o charakterze komercyjnym”. R. Murdoch, po spotkaniu z arcybiskupem J. Folley'em, przewodniczącym papieskiej komisji dla społecznych środków przekazu, oświadczył, że zapowiedziana kolumna będzie zwykłym montażem papieskich tekstów z podaniem źródeł dokonanego wyboru fragmentów, nie zaopatrzona w tytuł „Obserwacje” i podpis Papieża oraz oczywiście bez żadnego *copyright*. Tym samym cała sprawa, sztucznie rozdmuchana, pękła jak bańka mydlana. Alfred Bloch nie zarobił pieniędzy na jakie liczył, a żydowskie koła odzegnują się od niego jako rzekomego eksperta problematyki stosunków pomiędzy katolicyzmem i judaizmem.

Po całej tej aferze pozostało wrażenie jeszcze jednego symptomu konfliktowej sytuacji na odcinku stosunków pomiędzy pontyfikatem a *mass media*'mi. Gdyby nie istniejące napięcia, p. Murdoch i jego doradca p. Bloch nie wpadliby na pomysł, który w rezultacie okazał się poroniony. Wprawdzie przytoczony już komunikat watykański uspakajająco stwierdza na zakończenie, że Jan Paweł II „parokrotnie odnosił się z przyjaźnią do wszystkich dziennikarzy, potwierdzając, iż docenia serdecznie ich codzienną pracę”. Równocześnie jednak były zastępca dyrektora *L'Osservatore Romano* pisze na łamach rzymskiej gazety *Il Tempo* o „trudnych stosunkach pomiędzy Kościołem i *mass media*'mi” i wyjaśnia dlaczego Kościół ma dziś „złą prasę”. A Hans Urs von Balthasar, słynny teolog z Bazylei, w sążnistym wywiadzie dla katolickiego miesięcznika *30 Giorni*, przy okazji ataku na poglądy niemniej sławnego teologa Hansa Künga i teologa brazylijskiego, franciszkanina L. Boffa, nie oszczędza *mass mediów*, widząc w nich „coś bardzo niebezpiecznego”, a w kulturze współczesnej nawet „aspekty niemal demoniczne”. Sprawa nie jest więc zamknięta i zapewne znów da o sobie znać w związku ze zbliżającym się nadzwyczajnym Synodem Biskupów.

Dominik MORAWSKI

Pisane 12 listopada 1985

Afryka jest głodna : co robić?

Głód panujący obecnie w wielu krajach Afryki, a szczególnie w Etiopii, ruszył sumieniem zachodnich, sytych społeczeństw. Wiele się o tej klęsce mówi, sporo się pisze, a nawet śpiewa! Dużo się też płaci...

Co jednak przeciętny obywatel Zachodu wie naprawdę o niedostatkach żywnościowych czarnego kontynentu? Gdzie tkwią korzenie tych niedostatków, jak się z nimi walczy? Prasa, radio i telewizja tłumaczą, że wystarczy przekazać na konto bankowe takiej i takiej instytucji trochę (jak najwięcej) dolarów, marek, czy franków, by zapobiec śmierci głodowej tysięcy murzyńskich dzieci, no i uspokoić własne sumienie.

Ogólnie wierzy się, że ponieważ w przeszłości słyszało się jedynie o głodnych Hindusach, a nie Murzynach, więc obecna katastrofa w Afryce jest zjawiskiem przejściowym, spowodowanym po prostu brakiem opadów tam, gdzie zwykle jest dużo deszczy. Więc, że jednorazowa jałmużna pozwoli afrykańskim ludom przetrwać trudny okres, a gdy deszcze znowu spadną — a spadną na pewno — mieszkańcy czarnego lądu natychmiast wrócą do dostatku i stanu sytości! Że po prostu powtarza się biblijna opowieść o siedmiu latach tłustych i siedmiu chudych...

Czy takie rozumowanie jest słuszne? Czy istotnie rzucenie na czarny kontynent nawet wysokiej jałmużny w postaci pieniędzy i żywności rozwiąże tam problem niedoborów w wyżywieniu? A jeżeli nie, to co trzeba zrobić, by zabezpieczyć miliony ludzi przed śmiercią głodową? Ochrona bliźnich przed taką śmiercią jest chyba naszym moralnym obowiązkiem.

Wydaje mi się, że próbując rozwiązać problem głodu w Afryce, należałoby przede wszystkim poznać jego istotne przyczyny, a także jego formy. Bo tak samo zabija brak pożywienia w ogóle, jak na przykład niedobór białka w obfitych zdawałoby się pokarmach.

W świetle tego co wiemy dziś o afrykańskich problemach wyżywienia, musimy przede wszystkim i to bardzo stanowczo podkreślić fakt, że głód w Afryce nie jest zjawiskiem przejściowym, że istnieje od wielu lat i że z każdym rokiem się pogarsza. To stwierdzenie będzie odpowiedzią na pytanie, czy jednorazowa akcja charytatywna będzie skuteczną w definitywnym zwalczeniu klęski głodowej w Afryce. Jest coś tragicznego w tym, że etiopskie dziecko uratowane dziś od głodowej śmierci dzięki transportowi żywności z Kanady, umrze mimo wszystko z głodu za dwa, trzy czy dziesięć lat, jeżeli czegoś się nie zmieni, nie zrobi...

A czy można coś zrobić, coś zmienić, by raz na zawsze odegnać widmo głodu z czarnego kontynentu?

Zastanówmy się najpierw, dlaczego afrykańscy Murzyni jedzą i nie dosyć ilościowo i źle jakościowo.

Jak wszędzie na świecie, tak i w Afryce uprawa roli zabezpiecza jej mieszkańcom podstawę wyżywienia. (Pamiętajmy, że prawie żaden z afrykańskich krajów nie jest w stanie zakupić gdzie indziej brakującej mu żywności). Produkcja rolna zależy między innymi od powierzchni obszarów uprawnych, od urodzajności ziemi, od stabilności klimatycznej, od regularnego nawodnienia, od unowocześniania gospodarki rolnej.

Już problem powierzchni obszarów uprawnych jest bardziej złożony, niż się na pierwszy rzut oka wydaje. Trudno powiększać produkcję rolną, gdy ubywa ziemi. Tymczasem wiemy dziś doskonale, że Sahara pożera co roku tysiące hektarów ziemi, kiedyś uprawnej. Czy można zatrzymać ten zatrważający marsz saharyjskich piasków?

Kiedyś, w towarzystwie holenderskiego geologa, Gerarda D., przelatywałem nad południowym skrawkiem Sahary w Republice Mali. Wystartowaliśmy z Tombuktu starym dwusilnikowym Douglasem, z którego malijscy piloci długo usiłovali wykrzesać nieco młodzieńczego animuszu. Lecieliśmy wolno i nisko. Zaraz za Tombuktu, które w średniowieczu było wielkim ośrodkiem handlowym, pełnym fontann i zieleni, a dziś jest małą, glinianą wioską, żyjącą z płynącego obok Nigru, zaraz więc za Tombuktu rozpoczęły się niekończące się złote piaski. Z niewielkiej wysokości, na jakiej utrzymywał się nasz samolot, widać było wyraźnie rysujące się piaskowe „fale”, dosłownie zasypujące graniczącą z pustynią sawannę Sahelu. (Sahel, nazwa określająca sawannę leżącą na południe od Sahary). Pytałem mego towarzysza, czy można zatrzymać zalew tego straszliwego, piaszczystego oceanu. Gerard odrzekł, że w teorii tak, ale na razie skutecznych metod nie opracowano. Rozmowa ta toczyła się w 69-tym roku. O ile mi wiadomo, do dziś nie opracowano skutecznych metod.

Natomiast widziałem, jak w suchym sezonie mieszkańcy Sahelu podpalali trawy, by wypłoszyć i łatwo upolować chroniące się w wysokich trawach zwierzęta. Niszczyli w ten sposób i tak karłowate, rosnące tu i tam drzewa, zwęglając cienką warstwę humusu i tym samym ułatwiając ekspansję Sahary.

Problem terenów uprawnych przedstawia się inaczej w środkowej Afryce, pokrytej jeszcze dziś tropikalną, wilgotną dżunglą, poprzecinaną niezliczonymi korytami płynących przez lasy rzek. Jeżeli leżąca w tej części Afryki wioska potrzebuje nowych terenów pod uprawę manioku, to po prostu wypala w dżungli nowe pola. Na szczęście do dziś gęstość zaludnienia w afrykańskim, tropikalnym lesie jest niska, dzięki czemu szkody ekologiczne wynikające z pożarów leśnych nie są wielkie. Ludzie tam żyjący na ogół odżywiają się dobrze, są zdrowi i... jak w całej Afryce mają wysoki przyrost naturalny. Jeżeli więc teraz wypala się

„trochę” dżungli, to co będzie, gdy liczba ludności — korzystającej zresztą z wielu zdobyczy nowoczesnej służby zdrowia — w krótkim czasie się podwoi i potroi? Czy nie należy oczekiwać wkrótce systematycznego niszczenia lasów i w konsekwencji zmian ekologicznych, których znaczenia dla życia na całym afrykańskim kontynencie nie da się przewidzieć.

Pod koniec lat 60-tych przeprowadzałem studia nad sytuacją sanitarną krajów, leżących w dorzeczu Nigru (Mali, Górna Wolta, Niger, Benin, Nigeria, Kamerun, Czad, Wybrzeże Kości Słoniowej). Wędrując po tych krajach, prowadząc wiele badań w terenie, studiując statystyki, doszedłem do wniosku, że chorobą dokonującą szczególnie wielkich spustoszeń w tej części Afryki, i to zarówno pod względem zdrowotnym, jak gospodarczym, jest rodzaj włośnicy zwanej oncocerkozą. Nieleczona, choroba ta doprowadza do ślepoty. W owym czasie na 4 miliony mieszkańców Górnej Wolty było 40 tysięcy chorych na oncocerkozę i 4 tysiące niewidomych. Otóż oncocerkoza przenoszona jest przez muszkę, zwaną „simuli”, która żyje w pobliżu rzek. Stąd angielska nazwa choroby: „river blindness” — ślepotą rzeczną. Z obawy przed zakażeniem ludność opuszcza względnie żyzne ziemie w pobliżu rzek i przenosi się na suche tereny Sahelu, tracąc wielkie obszary uprawnej ziemi.

Ekspansja Sahary, groźba zmian ekologicznych, wpływających z niszczenia lasów, choroby — wszystkie te czynniki sprawiają, że rezerw ziemi pod uprawę Afryka nie posiada.

Pisałem dotąd wyłącznie o naturalnych czynnikach, warunkujących produkcję żywności w Afryce. Przyczyny zależne od ludzkiej woli odgrywają jednak niemniejszą rolę w wygłodzeniu Afryki.

W latach 60-tych dawne afrykańskie kolonie uzyskały niepodległość. Nowopowstałe państwa prawie wszystkie przeszły przez okres destabilizacji i wojen domowych, których wiele toczy się do dzisiaj. Czytaliśmy w prasie o zabójstwach politycznych, o pobieraniu zakładników w czasie rebelii w północnych prowincjach Kongo (obecny Zair) w 1964 roku. Nigdy jednak nie doniesiono o ilości wymordowanej przez rebeliantów ludności wiejskiej. Nie bawiono się wtedy w statystyki. Nie informowano też o całkowitym zdezorganizowaniu gospodarki w tej części Afryki, której produkcja żywności nigdy potem nie osiągnęła poziomu sprzed rebelii.

Liczne krwawe walki polityczne, bunty, wojny szczepowe, destabilizując wiele młodych państw, niszczyły ich strukturę gospodarczą, a przede wszystkim zagrażały życiu ludności wiejskiej, prowokując jej masową ucieczkę do miast. To osłabiło oczywiście produktywność wsi, tworząc jednocześnie nieznaną poprzednio w Afryce lumpenproletariat, który stawał się kolejnym czynnikiem destabilizującym, i który w dodatku trzeba było karmić.

W Ugandzie, kraju, którego łagodny klimat i urodzajna ziemia pozwalają na zupełnie wyjątkowy rozwój produkcji rolnej, ciągłe walki polityczne, krwawy reżim Amin Dada, walki międzyszcze-

powe doprowadziły do wygłodzenia ludności równie skutecznie, jak uczyniła to wieloletnia susza w Sahelu.

Nie schodząca z ekranów telewizyjnych i szpalt gazet Etiopia jest najlepszym przykładem kraju, w którym koncentrują się wszystkie czynniki „głodowe”, naturalne i sprowokowane przez ludzi.

Od dwóch lat FAO (Organizacja Narodów Zjednoczonych, zajmująca się rolnictwem i produkcją żywności w ogóle) alarmowała opinię światową o grożącej z powodu wieloletniej suszy klęsce głodowej w Etiopii. Zresztą bez żadnej reakcji międzynarodowej. Z jednej strony kraje zachodnie nie miały wielkiego zaufania do reżymu w Etiopii, z drugiej strony prezydent Mengistu nie życzył sobie, by mieszano się w jego sprawy, zwłaszcza, że w 1978 roku oświadczył, że nigdy więcej głodu w Etiopii nie będzie.

Dopiero w 1984 roku, po dziesiątej rocznicy objęcia władzy przez obecny reżym, hucznie obchodzonej w Addis Abebie razem z delegacjami krajów wschodnich (koszt 30 milionów dolarów) Etiopska Partia Robotnicza zaapelowała o pomoc do światowej wspólnoty. Tymczasem susza i zależny od niej głód zebrały już 300 tysięcy ofiar.

Forsowna kolektywizacja rolnictwa, podobnie jak w innych krajach, gdzie ją wprowadzono, zniszczyła oczywiście tradycyjną strukturę rolną, nie tworząc w zamian żadnej rentownej organizacji produkcji żywności.

Kontynuowanie wojny przeciwko separatystom w Erytrei i w Tigre zmusza reżym etiopski do poświęcenia 46% budżetu państwowego na cele wojskowe (wojna kosztuje Etiopię pół miliona dolarów dziennie). Straszliwe zadłużenie kraju (około 3 miliardów dolarów, głównie za broń z ZSSR) skłoniło rząd do faworyzowania uprawy kawy, bawełny i innych produktów eksportowych, które wprawdzie łatwo się sprzedają, ale nie zabezpieczają żywienia ludności.

By odizolować rebeliantów, zmusza się ludność wiejską do opuszczenia prowincji separatystycznych. Ludzie deportowani do niezamieszanych im okolic będą zmuszeni przez lata żyć w całkowitej zależności żywnościowej od państwa. By uniknąć deportacji, 100 tysięcy osób wolało uciec do pobliskiego Sudanu, zwiększając i tak już dotkliwie trudności w wyżywieniu, istniejące w tym kraju.

W tej sytuacji naiwnością jest mniemanie, że kilkaset milionów dolarów, zebranych przez rozmaite organizacje charytatywne i ofiarowanych przez raz przynajmniej za darmo śpiewających piosenkarzy, rozwiąże definitywnie etiopskie problemy żywienia. Nie mówiąc już o tym, że nie mamy żadnej pewności, że przekazane przez tyłu ofiarnych ludzi miliony trafią istotnie do ludzi najbardziej potrzebujących. Przez ćwierć wieku, jakie spędziłem w Afryce, zbyt często oglądałem sprzedawane na rynku produkty, przeznaczone przez ofiarodawców do darmowego rozdania między potrzebujących.

Nie należy też zapominać, że Etiopia nie ma wcale monopolu na głód w Afryce. Głodna jest ludność całego Sahelu. Przez 7 lat głodowali Marokańczycy, bo susza wyjąłowała ogromne obszary, zmuszając część ludności wiejskiej do emigracji do miast. (Przypomnijmy sobie nie tak dawne krwawe rozruchy w Marokku!). Głoduje Uganda z powodu ciągłych walk trybalnych. Niedożywione są Ruanda i Burundi, bo choć te dwa kraje żyją od 20 lat w spokoju, to są za to, wyjątek w Afryce, przeludnione. Wskutek wojny domowej cierpią na niedostatki żywnościowe Angola i Mozambik, które do niepodległości eksportowały produkty spożywcze.

Na skutek zniszczenia w wielu krajach linii komunikacyjnych, czy to z powodu wojny, czy zwykłego niedbalstwa i korupcji, wiele produktów pierwszej potrzeby nie dociera do ludności, cierpiącej wskutek tego na przeróżne braki w pożywieniu. Dotyczy to dużej części mieszkańców Afryki, dla których jedynym źródłem niezbędnego dla rozwoju organizmu białka były solone ryby (makayabo), które zniknęły z rynków środkowej Afryki lub są niedostępne z powodu ich ceny. Miliony uchodźców uciekających przed aktualnym reżymem, przed rebelią, przed walkami szczepowymi, wielokrotnie pomnażają i tak poważne problemy zaopatrzenia tych krajów w żywność.

By poprawić tę katastrofalną sytuację, należałoby:

- Walczyć z suszą wszystkimi dostępnymi nam dzisiaj środkami (irygacja, niedopuszczanie do zmian ekologicznych, powstrzymanie naporu Sahary).
- Unowocześnić uprawę każdego skrawka ziemi.
- Walczyć z oncocerkozą i w ten sposób udostępnić pod uprawę utracone przyrzeczne obszary.
- Unikać wojen domowych i walk szczepowych, co pozwoliłoby na zmniejszenie budżetów wojskowych i znalezienie pieniędzy na inwestycje w rolnictwie i w edukacji.
- Nakłonić rządy niektórych państw przemysłowych, by w ramach pomocy dla Afryki przysyłały narzędzia rolnicze zamiast armat, i agronomów i nauczycieli zamiast żołnierzy i policjantów (w czym celuje Kuba, utrzymująca swe armie w niejednym państwie w Afryce, na jego naturalnie koszt).

Zdajemy sobie doskonale sprawę, że zrealizowanie tych kilku postulatów sprawiłoby już nieprawdopodobne trudności techniczne i dyplomatyczne. A pozostaje przecież najistotniejszy problem, bez rozwiązania którego żaden postęp w sprawach żywienia Afryki jest nie do pomyślenia.

Tym problemem jest przyrost naturalny. Musimy sobie otworzyć i stanowczo powiedzieć, że istnieje całkowita współzależność między głodem a przyrostem naturalnym.

Tam, gdzie nie ma i nie będzie niedożywienia, gdzie panuje względny dobrobyt, ludności przybywa w sposób galopujący. A ponieważ Afryka praktycznie nie dysponuje rezerwami ziem uprawnych — wróci niedożywienie. Jest to błędne koło doskonale zamknięte.

Wszystkie więc akcje zmierzające do poprawienia warunków życia w Afryce powinny być związane z jednoczesnym programem regulacji urodzin.

W chwili obecnej bardzo niewiele afrykańskich rządów wprowadziło realny projekt *family planning*. Ale nawet tam, gdzie on istnieje, tradycje, wierzenia i brak edukacji sprawiają, że wyniki są nikłe.

W konsekwencji stoimy przed niemożnością poprawy na dłuższą metę istniejącej w tej chwili tragicznej sytuacji.

Jan ORU

**ZOFIA ROMANOWICZOWA
„BAŚKA I BARBARA”**

Drugie wydanie offsetowe

Jan Bielatowicz — „Życie”, Londyn 1956:

... Najpiękniejszym wydarzeniem roku bieżącego w prozie emigracyjnej jest „Baśka i Barbara”. Rzadko się zdarza, aby książka znalazła uznanie tak powszechne. Sprawiała to i wieczność tematu (przymierze matki z dzieckiem), i jego aktualność (dziecko polskie na obczyźnie), i — przede wszystkim — piękna proza książki.

Stron 224.

Cena F. 65,00 + porto 10%.

Do nabycia u wydawcy:

„LIBELLA”

12, rue St.-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France

(książki wysyłamy na cały świat)
i w księgarniach polskich na emigracji.

Katalogi bezpłatne wysyłamy na każde żądanie.

MICHAŁ BUDNY

„WSPOMNIENIA NIEFRASOBLIWE”

Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej —

Polish Cultural Foundation, Ltd.,

9 Charleville Road, London, W14 9JL

Są to osobiste wspomnienia autora z okresu jego młodości, lat uniwersyteckich i służby na polskich placówkach dyplomatycznych w Waszyngtonie i Londynie w latach 1935-1945. Estetycznie wydana, książka zawiera 232 strony, indeks nazwisk, 37 ilustracji i 2 rysunki.

Do nabycia u wydawcy oraz w księgarniach polskich w Europie i Ameryce.

Kraj

**Czesław Bielecki skarży
gen. Kiszczaka**

Czesław Bielecki s. Franciszka
Areszt Śledczy Warszawa-Mokotów
ul. Rakowiecka 37
02-521 Warszawa

Warszawa, 7. VIII. 1985.

Prokuratura Rejonowa
Dzielnicy Warszawa - Śródmieście
Pl. Dąbrowskiego

DONIESIENIE

o czynie przestępczym popełnionym przez ob. Czesława Kiszczaka

W dn. 10 maja br. w czasie obrad Sejmu ob. Czesław Kiszczak pomówił mnie o to, że:

- jestem „wieloletnim agentem ośrodków dywersji politycznej”;
- „miałem (...) z polecenia CIA objąć (...) kierownictwo paryskiej Kultury”;
- uprawiałem „wrogą działalność, realizowaną na zlecenie mocodawców zachodnich”.

OSKARŻENIE

Wypowiedziane przez ob. Czesława Kiszczaka słowa są oszczerstwem, mającym na celu poniżenie mnie w opinii publicznej, co jest przestępstwem z art. 178 § 1 kk. Wnoszę prywatne oskarżenie do Prokuratury Rejonowej Dzielnicy Warszawa-Śródmieście z wnioskiem o rozpoczęcie w tej sprawie postępowania karnego. Oskarżony Kiszczak nie miał i nie ma żadnych dowodów na prawdziwość powyższych twierdzeń, a co więcej, nie ulegało dla niego wątpliwości, że są one pozbawione podstaw. Oto uzasadnienie.

Ob. Kiszczak wiedział, że jest prowadzone przeciwko mnie śledztwo z udziałem funkcjonariuszy podległego mu resortu i wiedział, że przedstawione mi przez prokuraturę zarzuty nie sugerują nawet takiego obrazu mojej osoby, jaki publicznie nakreślił. Jestem bowiem podejrzany o to, że „po 14. XII. 1981 wszedłem w porozumienie z osobami działającymi na rzecz obcej organizacji celem działania na szkodę interesów politycznych PRL” (art. 132 kk, do 5 lat pozbawienia wolności), że „założyłem i kierowałem

związkiem, którego istnienie i ustrój miały pozostać tajemnicą wobec organów państwowych" (art. 278 § 2 kk, do 5 lat) oraz że „w celu użycia za autentyczne przerobieniem 2 dowody osobiste" (art. 265 § 1 kk, do 3 lat). Zgodnie z przyjętą u nas wykładnią prawa „związkiem” z art. 278 jest każda struktura „Solidarności”, a „obcą organizacją” z art. 132 — każda jej zagraniczna agenda, współpracownik lub instytucja popierająca „Solidarność”, choćby składała się z samych Polaków i miała kontrolowane przez prawo źródła finansowania i status, wykluczające jakąkolwiek agenturalność. Wykładnię tę potwierdza fakt, iż już w liście gończym zarzucano mi wejście w porozumienie z Jerzym Giedroyciem z *Kultury* i współpracownikiem wydawnictwa CDN w Londynie Alexandrem Buttlerem. Nawet uwzględniwszy rozciągłość nowo-mowy, w której ob. Kiszczak formułuje swoje myśli, nie da się z przedstawionych wyżej zarzutów wyroić tych kalumni, jakie na mnie rzucił.

Nie wchodzi więc w grę wyłączenie przestępstwa ob. Kiszczaka spod odpowiedzialności karnej na podstawie zastrzeżeń zawartych w artykule 179 kk: gdy zarzut uczyniony publicznie jest prawdziwy (§ 2 ustęp 1) lub gdy sprawca działa w przeświadczeniu opartym na uzasadnionych podstawach, że zarzut jest prawdziwy (§ 2 ustęp 2). Można też wykluczyć sytuację, w której ob. Kiszczak działał w przekonaniu, że broni społecznie uzasadnionego interesu, co także zastrzega art. 179 § 2. Trudno bowiem przyjąć, że minister odpowiedzialny za Służbę Bezpieczeństwa nie wie, jak na stalinowskiej szpiegomanii i węszeniu za „wrogami ludu” wyszło i społeczeństwo (proces „szesnastu”, tysiące ofiar fingowanych procesów przeciw akowcom, aresztowanie prymasa Wyszyńskiego, że wspomnę tylko o najbardziej znanych sprawach), i sama władza: Spychalski i Gomułka pochowani zostali w końcu w Alei Zasłużonych, a nie w Alei Agentów.

Trzy pomówienia wymienione w moim doniesieniu rysują obraz agenta Czesława Bieleckiego vel Macieja Poleskiego, który wykonuje polecenia lub zlecenia a to mocodawców zachodnich, a to CIA, a to ośrodków dywersji politycznej. Teza o agenturalnym charakterze przeciwnika wewnętrznego, którą ob. Kiszczak przedstawił w swoim sejmowym *exposé*, świadczy, że czyn przestępczy na moją szkodę popełnił świadomie i z premedytacją. Jak wiemy, nawet w najlepiej zaplanowanym przestępstwie sprawca popełnia jednak jakiś błąd, uniemożliwiający potem dowolność interpretacji czynu. Błędem ob. Kiszczaka było użycie słów: „agent”, „polecenie”, „zlecenie”.

W odróżnieniu od oszczerzy jestem w tej szczęśliwej sytuacji, że moje sprawy wewnętrzne nie są tak rozległe, bym mógł coś przeoczyć (jak np. dwukrotny zamach na ks. Popiełuszkę lub skrytobójstwo Piotra Bartoszcze), a już tym bardziej ten istotny moment, gdy ktoś werbuje mnie jako agenta lub gdy CIA daje mi polecenie. Nawet w powszechnej korupcji aparatu władzy lat 70-tych nie przeoczyłem np. tego, że zabrakło bruku do budowy pomnika — kwatery zgrupowania AK „Żywiciel” na Cmentarzu Wojskowym, którą wraz z Zofią Milewicz projektowałem; co więcej, odnalazłem ten kamień na ogrodzeniach oraz cokołach domów jednorodzinnych generacji na Nowym Mieście i nie wysłuchałem polecenia inwestora — ZBOWiD-u, by zmienić z tego powodu projekt. Na moje żądanie musiano dostarczyć brakujący materiał, gdyż nie zgodziłem się na okaleczenie pomnika, który nie jest żyjących kombatantów ani moim pomnikiem, lecz tych, co polegli, żeby Polska była wolna i sprawiedliwa.

W odróżnieniu od ob. Kiszczaka, co powtórnie podkreślam, jestem człowiekiem wolnego zawodu i znajduję się w tej luksusowej sytuacji, że nikt nie wydaje mi poleceń z wyjątkiem strażnika więziennego w areszcie i kochanej kobiety na wolności. To, co robiłem — robiłem z własnej woli, a jedyny przymus, który mnie obowiązywał we współpracy z ludźmi, to mój własny przymus moralny oraz — jak w podanym przykładzie — dyscyplina twórcza niezbędna w architekturze podobnie jak w publicystyce. Brak do-

wodów na prawdziwość zarzutów ob. Kiszczaka jest prostą konsekwencją takiej postawy.

W przedmiocie przestępstwa objętego moim oskarżeniem można zatem wykluczyć wyjście pośrednie między odpowiedzialnością karną a wyłączeniem z niej zgodnie z zasadą: *non datur tertium sive medium inter duo contradictoria*. Jeśli bowiem z zasady tej wynika, że przeciętny obywatel jest w stanie postępować tylko zgodnie z prawem albo wbrew prawu, tym bardziej obowiązuje ona szefa Komitetu Rady Ministrów do Spraw Przestrzegania Prawa, Porządku Publicznego i Dyscypliny Społecznej.

W tym miejscu kończy się prawny aspekt sprawy, a zaczyna polityczny. Oskarżenie moje uzasadniam znaczną, jeśli nie — wysoką, szkodliwością społeczną czynu wynikłą ze stanowiska, z którego ob. Kiszczak wygłasza oszczerstwa w charakterze wyroków podanych do publicznej wiadomości, jakby śledztwo prowadzone przez urząd prokuratorski i niezawisły sąd były tylko instrumentacją decyzji politycznych. Szkodliwość omawianego tu czynu wielokrotnie przekracza deprawację wywołaną domową produkcją alkoholu, sprzedażą książek spod ludy czy odstępowaniem po wyższej cenie świeżo nabytego kompletu mebli (za to ostatnie przestępstwo na mocy rewizji nadzwyczajnej Ministra Sprawiedliwości pewien szeregowy obywatel ma właśnie odsiedzieć roczny wyrok, który sąd wymierzył w zawieszeniu). Presja polityczna na sądownictwo w ciągu 41 lat PRL okazała się istną plagą. Choć oskarżyciel publiczny w mojej i innych sprawie, płk Czesław Zbroja, zdaje się być odległy od tradycji płk. Zarako-Zarakowskiego i choć rzecznik rządu Jerzy Urban nie czuje się zapewne bezpośrednio spadkobiercą tradycji Wandy Odolskiej, sejmowe *exposé* ob. Kiszczaka operuje pojęciami i słownictwem z epoki stalinowskiej. A jak wiemy z dziejów totalitaryzmu, i w nim na początku było słowo.

Gdy w śledztwie grozono mi karą śmierci, traktowałem to jako rutynową presję SB; w słowach ob. Kiszczaka dostrzegam jednak pewne niebezpieczne *continuum*. Wszak Zdzisława Najdera skazano na najwyższy wymiar kary, dlatego, że sędziowie ulegli politycznej nagonce; czuli się przy tym bezkarni, gdyż „wieszali” tylko intencjonalnie, mogli powiedzieć, że nie mają krwi na rękach, bo gdyby skazany pojawił się w Polsce, musiano by go powtórnie prowadzić postępowanie karne. A jednak zapadł wyrok, który hańbi nasze sądownictwo i niezależna opinia publiczna w kraju i za granicą jednoznacznie dała temu wyraz. Jako dowód, że Najder był szpiegiem CIA pokazano społeczeństwu w TV jego biurko ze skrytką w podwójnej ścianie. W kraju, gdzie jest partyjno-administracyjna dwuwładza, gdzie w gospodarce i kulturze zawsze było podwójne życie, gdzie podział my — oni jest wszechobecny, dowodem zbrodni stanu jest zrobienie podwójnych ścian! Patrząc chłodno, ludzie władzy rzadko śledzą sami siebie, więc nie używają biurka z podwójnymi ściankami, ale rekompensują to sobie podwójną moralnością a w ekstremach — konspiracją w konspiracji.

Nie wiem, czy dojdzie w tej sprawie do rozprawy i czy dane mi będzie w niej uczestniczyć, ale już teraz wyrażam życzenie na podstawie art. 160 kk, by wyrok sądu w sprawie ob. Kiszczaka podany był do publicznej wiadomości. Wagę problemu określa fakt, że choć po obu stronach biegnącej przez społeczeństwo linii podziału zmieniają się ludzie, nie zmieniają się słowa, których używa władza, słowa przestępcze i bezkarne.

Czyn ob. Kiszczaka nie został dokonany w społecznej próżni. Od niemal 10 lat działa w kraju demokratyczna opozycja, choć nie uznana *de iure* — uznana *de facto*, a od zakończenia drugiej wojny światowej działa na Zachodzie niepodległościowe wychodźstwo polskie, które ją wspomaga. Takie są realia, że użyję ulubionego powiedzenia funkcjonariuszy MSW. Dzięki sąsiadom władz PRL nasza emigracja wojenna i powojenna osiągnęła już potencjał intelektualny oraz organizacyjny tej Wielkiej Emigracji, o której ob. Kiszczak i ja uczylimy się w szkole.

Gdyby nie określenie „na zlecenie”, skłonny byłbym przyjąć drugą część wyrażenia „mocodawców zachodnich” za wysiłek semantyczny oskarżonego. Gombrowicz, Miłosz, Giedroyc, Mieroszewski, Stempowski, Herling-Grudziński, Czapski, Wierzyński, Ciołkosz, Kołakowski dali i dają krajowi moc, która, jak w czasach Mickiewicza, Chopina, Czartoryskiego, Krasińskiego, Słowackiego, Norwida okazuje się silniejsza niż zakusy mocodawców wschodnich i zachowujemy pełnię narodowej tożsamości. Ale nie o nowe znaczenia słów chodziło oszczercy, lecz o płatną agenturę — psychologiczny, socjologiczny i polityczny absurd: ruch „Solidarności” jest po 5 latach bardziej zakorzeniony w społeczeństwie niż udało się to władzy po 41 latach sowiezacji. Narodziny tego absurdu są wytłumaczalne tylko w warstwie psychiatrycznej jako typowa projekcja polskiego komunisty, który wie, że jego ruch nigdy nie był autentycznie narodowy, i broniąc się przed obśmianiem przynosi tę wadę na swoich przeciwników politycznych. Oszczerstwa kierowane w stronę „Solidarności” są stare jak problem Wielkiej Emigracji. Działacze niepodległościowi byli i są oskarżani po to, aby lepiej, pewniej czuli się renegaci. W tę skomplikowaną sytuację lepszy wgląd mają publikowane u nas oficjalnie „Raporty szpiega” — polskiego agenta Ochrony, Potockiego, niż raporty agentów ob. Kiszczaka o mnie.

Wnosząc moje oskarżenie sędzę, że mam prawo żądać satysfakcji moralnej — podkreślam to, bo kodeks przewiduje karę do 2 lat pozbawienia wolności, ograniczenia wolności albo grzywny — za czyn, którym nieanonymowy przedstawiciel władzy wyodrębnił mnie spośród bezimiennych, uczciwych obywateli nadal wiernych ideom „Solidarności”.

W roku 1980 ta sama Prokuratura Rejonowa Dzielnicy Warszawa-Śródmieście zaniechała śledztwa w sprawie nie mniej oczywistej — przeciw funkcjonariuszowi SB, który w moim własnym mieszkaniu kazał mi się w celu przeszukania rozebrać do pasa, a następnie bił mnie pałką, korzystając z pomocy dwóch mundurowych milicjantów. Tyle że wówczas dowodami przestępstwa była obdukcja lekarska, świadkami — żona i 5-letni syn, a teraz dowody przestępstwa rozsiane były licznie w oficjalnej prasie i świadkami zostali posłowie sejmu. Dziś z kolei nie wiem, czy moje doniesienie o czynie przestępczym i oskarżenie w ogóle dotrze, choć jest pismem urzędowym, do Prokuratury Rejonowej. Jeśli tak się jednak stanie, nie moi lub obcy agenci to spowodują, a właśnie anonimowy, uczciwy obywatel. Jeden z tych, którzy słowo prawdy podają dalej niż sięga *Trybuna Ludu*, gdzie przeczytałem oszczerstwo ob. Kiszczaka, i dalej niż jego policja myśli.

Czesław BIELECKI

CZESŁAW BIELECKI OGŁASZA GŁODÓWKĘ

CZESŁAW BIELECKI DNIA 13 PAŹDZIERNIKA 1985 PRZESŁAŁ PONIŻSZY PROTEST NA RĘCE PŁK. WŁADYSŁAWA MONARCHY, PRZEWODNICZĄCEGO WARSZAWSKIEGO OKRĘGU WOJSKOWEGO I JEDNOCZEŚNIE ROZPOCZĄŁ GŁODÓWKĘ

PROTEST

Protestuję przeciwko pozbawieniu mnie uprawnień tymczasowo aresztowanego. W 1-szym rządzie protestuję przeciwko niedopuszczeniu do widzenia się z mymi dwoma synami 7 i 10 lat i to w ciągu 6-ciu miesięcy oraz przeciwko zabronieniu mi korzystania z książek z zewnątrz, o które prosiłem.

Małe bezprawie w stosunku do mnie, mianowicie przedłużenie mi aresztu w sprawie o sygnaturze akt VPN Śl. 17/85 łączy się z dużym bezprawiem na jakie pozwala sobie władza, to jest ze sposobem w jaki zorganizowano wybory — farsa głosowania.

Oddaję swój głos na przyznanie „więzniom sumienia” statusu więźniów politycznych.

Czesław BIELECKI

Ankieta PRON-u

WOJEWÓDZKA RADA PATRIOTYCZNEGO RUCHU ODRODZENIA NARODOWEGO

Niniejszym zwracamy się do Pana (Pani) z prośbą o wypełnienie ankiety — dotyczącej sposobu rozwiązywania najżywniejszych spraw mieszkańców naszego województwa.

Chcemy na podstawie opinii Państwa zagwarantować ruchowi autentyczny wpływ na ukształtowanie wojewódzkiego planu społeczno-gospodarczego na lata 1986-1990.

W deklaracji wyborczej PRON stwierdziliśmy, że w nadchodzących wyborach opowiemy się za tym, aby Sejm IX Kadencji kierował się wytyczną zrównoważonego rozwoju społecznego i gospodarczego, stosował politykę służącą coraz lepszemu zaspokajaniu potrzeb materialnych i kulturalnych naszego narodu.

Wykorzystajmy okres dzielący nas od dnia wyborów na dyskusję o sprawach istotnych dla społeczeństwa naszego województwa.

Ankieta jest anonimowa.

Metryczka na końcu ankiety służy wyłącznie do celów statystycznych.

Po wypełnieniu ankiety można zwrócić przedstawicielom PRON lub przesłać na adres: Wojewódzka Rada PRON — Wrocław, pl. Powstańców Warszawy 1.

Wypełniając — podkreśl właściwą odpowiedź lub wpisz własne wnioski.

ANKIETA

- Trudną sytuację mieszkaniową zamierza się poprawić poprzez:
 - systematyczny wzrost nowego budownictwa,
 - remonty i modernizację starych zasobów mieszkaniowych.
 Co należałoby preferować, remonty czy nowe budownictwo?
- Poprawie sytuacji mieszkaniowej służyć może także zmiana polityki mieszkaniowej. Czy akceptowałbyś rozwiązania prawne zapewniające:
 - ograniczenie powierzchni ponadnormatywnej powyżej 1 pokoju przez zagrożenie dokwaterowania lub zamiar mieszkania na mniejsze,
 - przejęcie przez organ administracji terenowej mieszkań lub części domów nie użytkowanych przez najemców lub właściciela dłużej niż 6 miesięcy.

3. W osiedlach mieszkaniowych we Wrocławiu i w innych miejscowościach występują w stosunku do normatywów braki takich urządzeń jak szkoły, przedszkola, żłobki, przychodnie, placówki handlowo-usługowe. Jaką politykę należałoby zastosować w najbliższym 5-leciu:
- maksymalizować budowę nowych mieszkań (uwzględniając dużą liczbę oczekujących na mieszkanie) kosztem ograniczenia wymienionych urządzeń towarzyszących,
 - uzupełniać w pierwszym rzędzie występujące braki kosztem zmniejszenia budownictwa mieszkaniowego.
4. Potrzeby w zakresie rozbudowy komunalnych urządzeń ogólnomiejskich są bardzo duże. Stojąc przed koniecznością ograniczenia noworozpoczętych inwestycji z czego Twoim zdaniem można w latach 1986-1990 zrezygnować:
- budowa nowych oczyszczalni ścieków,
 - obiektów poprawiających zaopatrzenie w wodę pitną,
 - z niektórych dróg i węzłów poprawiających wydolność układu komunikacyjnego,
 - zajezdni tramwajowych i innych baz zaplecza.
5. W przyszłym 5-leciu liczba dzieci w wieku 7-14 lat zwiększy się o 13 tysięcy. By nie pogarszać sytuacji w szkołach podstawowych trzeba wybudować ok. 500 pomieszczeń do nauki kosztem ok. 4 mld zł. Realizacja tego zadania wymaga ograniczenia budowy innych urządzeń infrastruktury społecznej.
- Czy Twoim zdaniem ograniczenia te mogą dotyczyć:
- żłobków
 - przedszkoli
 - przychodni zdrowia
 - obiektów kultury
 - urządzeń gospodarki komunalnej.
6. Pogarszaniu się warunków nauczania można także zapobiec innymi metodami, zmianami organizacyjnymi funkcjonowania szkół np. poprzez wprowadzenie 6-dniowego tygodnia nauki.
- Czy aprobujesz te formy, tak — nie, nie mam zdania.
7. Co Twoim zdaniem należałoby realizować w pierwszej kolejności dla poprawy bazy materiałowej w służbie zdrowia:
- stacja pogotowia ratunkowego
 - domy opieki społecznej
 - przychodnie i ośrodki zdrowia
 - doposażenie w sprzęt i aparaturę.
8. Jak przy obecnych warunkach lokalowych i kadrowych poprawić opiekę zdrowotną ludności:
- zwiększyć udział fachowego personelu służby zdrowia w krzewieniu oświaty zdrowotnej,
 - rozвивać akcję białych niedziel,
 - inne
9. Środki inwestycyjne planu terenowego przeznacza się w rolnictwie na:
- melioracje i budowę wodociągów wiejskich
 - elektryfikację wsi
 - gazyfikację wsi
 - budowę obiektów oświaty rolniczej
- k który z tych kierunków jest najważniejszy w Twojej miejscowości.

10. Jak sądzisz, czy dla poprawy obsługi klientów w handlu w obecnej sytuacji potrzebne jest w pierwszym rzędzie:
- zwiększenie ilości sklepów i pawilonów
 - zwiększenie ilości sprzedawców
 - większa sprawność obsługujących
 - inne
11. W jakich dziedzinach Twoim zdaniem można by inicjatywą społeczną i czynami poprawić warunki życia mieszkańców
12. Jakie sprawy powinny być rozwiązane w pierwszej kolejności w miejscowości w której mieszkasz
13. Jakie niedogodności i nieprawidłowości występują w Twoim osiedlu

Metryczka (dane zakreślić kółkiem)

- 1) Wiek: do 30 lat 31-40 lat 41-50 lat powyżej 50 lat
- 2) Stanowisko: robotnicze nierobotnicze
- 3) Płeć: mężczyzna kobieta
- 4) Przynależność do organizacji:
- PZPR SD ZSL ZSMP ZMW Związek Zawodowy PRON PAX ChSS PZKS ZBOWiD Liga Kobiet
 - nie należę do wyżej wymienionych.
- 5) Wpisz miejscowość w której mieszkasz. W wypadku Wrocławia dzielnicę

KSIĘGARNIA POLSKA W PARYŻU
123, boulevard Saint-Germain, 75006 Paris
Tel.: 43 26 04 42
Rok założenia 1833

NOWOŚĆ!

Kuchnia polska w języku francuskim:
„LA CUISINE POLONAISE”
T. i R. Zienkiewicz
(80 kolorowych zdjęć)
Cena: F. 150,00

Ponadto polecamy:
KSIĄŻKI POLSKIE
wydania zachodnie i krajowe, polonica francuskie
oraz książki w językach czeskim, rumuńskim,
węgierskim i kroackim wydane na Zachodzie.
Plakaty polskie, płyty i kasety.
Katalogi wysyłamy bezpłatnie.

Sprawy i troski

Transport do Polski

Od dawna nastała moda na pisanie pamiętników. Różni ludzie opisują swoje przeżycia, *hobbies* itd. Ja nie mam aspiracji literackich, aczkolwiek jako lekarz też jestem humanistą. I ja mam *hobby*. Od pięciu lat jestem transportowcem.

Słowo transport kojarzy mi się jednak z przykrymi wspomnieniami z dzieciństwa. Z krzykiem i niemieckim szwargotem, z rytmicznym stukotem wojskowych butów. A jednak od pięciu lat organizuję medyczną pomoc dla Polski, zwłaszcza dla dzieci. Czyli moje pierwsze *hobby* to ukłony do możliwych tego świata, do wszechwładnego przemysłu — jestem żebrakiem z wyboru. Bez kapelusza w rękę, ale z wyciągniętą dłońią. Obecny, egoistyczny świat nie rozumie tego. Rządzi nim Mamon. Dlaczego nie robić pieniędzy, jeżeli kogoś na to stać? Moje otoczenie nie jest w stanie tego zrozumieć. Wzruszenie ramionami, niekiedy milcząca aprobata, czasami słowa zachęty — to codzienne doświadczenia.

Poza tym potrzeba, żeby nikomu nie przeszkadzać, żeby codzienność leciała swoim biegiem, a nie cierpiała z powodu pomocy dla Polski. Ileż niepotrzebnych dodatkowych jazd, ukradzionych godzin wolnego czasu — i po co? Wreszcie mrówcza praca przygotowawcza dobiega końca. W wypełnionych magazynach piętrzą się sterty ładunku dla Polski, darów niemieckiego społeczeństwa. W ciągu pięciu miesięcy od wiosennego transportu otrzymaliśmy dary milionowej wartości. Drogocenne lekarstwa, środki opatrunkowe, jednorazowe strzykawki, igły, zestawy infuzyjne — wprost z taśmy produkcyjnej. Zaskakuje i cieszy wytrwałość i gotowość Niemców w przekazywaniu darów rzeczowych. Z kolei obcy lub zaprzyjaźnieni ludzie biorą urlopy na okres transportu, kończy się walka o zdobywanie ciężarówek za darmo, resztę trzeba płacić. Ale z czego? Datki pieniężne coraz mniejsze. Minęły czasy, kiedy konto dobroczynne przelewało się. Polska już nie jest modna. Zachód chce w spokoju odwiedzać lokale lub uczestniczyć w nudnych, niedzielnych *TV-Dinner*. Nikt nie chce zakłócać swego codziennego spokoju. A jednak dary są!

Radość zawiezenia cennych lekarstw, których brak w kraju — mać wiadomość, że w takim czy owym terminie nasz przyjazd jest niewygodny. W tym momencie przyjazd może być uważany za prowokację! Termin przyjazdu do Polski jest bardzo trudno ustalić. Stale, w każdym miesiącu jest jakieś święto: albo narodowe przed- czy powojenne, albo historyczne, albo opozycyjne, albo religijne, albo strajk, albo plenum KC, albo wybory. O tym, że nie jesteśmy filią Rockefellera nikt nie pamięta. Znowu stawia się sobie pytanie: po co to wszystko?

Tym razem były wybory. Pomimo, że w wywiadach nawet najwyższe instancje w Warszawie wspominają o niefortunnym położeniu geograficznym Polski, transportowiec stara się o tym nie myśleć. Dwa koniaki plus środki uspokajające na granicy zachodnio-wschodnich Niemiec nie zmniejszają uczucia lęku, nie dodają animuszu. Z jednej strony nasza bezsilność, z drugiej buta, zimno i biurokracja. Parogodzinne kontrole, praw tranzytu dla przejezdnych do Polski tu się nie przestrzega. Własnymi rękami wnosimy tony ładunku do kontrolnej aparatury rentgenowskiej. Czego szukają? Co ich to obchodzi? Znowu pojawia się uczucie, że jest się intruzem, nieposzonym przejezdnym, zmuszonym przez geografę używać wschodzioniemieckich dróg tranzytowych. Do tego zimno, zmęczenie.

Tym razem celnicy wschodnioniemieccy zmienili drogę tranzytową, nie uznali wstemplowanego przez konsula PRL punktu przekroczenia granicy niemiecko-polskiej w Zgorzelcu, lecz wstemplowali samowolnie w papiery celne — Forst/Olszyna. Musimy to zaakceptować. Po 8 godzinach podróży dotarliśmy do Forst. Po następnych niespodzianka była pełna. Polskie władze graniczne nie zgodziły się na wjazd, ponieważ wyznaczonym w wizie punktem przekroczenia był Zgorzelec. Mieli nawet rację. Paradoks polegał jedynie na tym, że według woli NRD trzeba było opuścić jej terytorium w punkcie oddalonym o około 100 km od punktu wjazdu, uznanego przez Polskę. Może Stanisław Lem w opowieści fantastycznej wymyśliłby jak to się robi.

Przez następne godziny tkwiłmy w strefie eksterytorialnej, z wszystkimi konsekwencjami tego położenia, jak na przykład niemożność telefonowania. Nasze uczucia humanitarne zaczęły słabnąć, w zamian budziła się agresja. Znowu zadajemy sobie pytanie, po co to wszystko. NRD okazuje się wielkoduszna i pozwala nam kontynuować podróż: ponowny wjazd do NRD, nowa wiza tranzytowa, przyznanie się do popełnienia nietaktu w stosunku do państwa zaprzyjaźnionego tzn. Polski no i po jakimś czasie osiągamy Zgorzelec.

Wreszcie Polacy. Wreszcie odczucie, że chociaż tu na granicy oceniamy nasze trudy, nasze 32-godzinne zmęczenie, że będziemy przyjęci jako chętnie widziani goście, przyjaciele, którzy pomagają choremu, w jakiś sposób dokładając cegiełkę dla tego kraju.

Kontrola musi być. To jest zrozumiałe. Ale jak, w jaki sposób, w jakim tonie? Staropolskie wychowanie uczyło mnie, że gościa traktuje się przynajmniej gościnnie. Jest odwrotnie. Czuję

się znowu jak intruz. Na pytanie czy otrzymamy pomoc do rozładowania 20 ton ładunku, by poddać się kontroli celnej (czasami pomagali żołnierze) pada odpowiedź: „przywieźliście, to sami rozładowujcie”. Przypomina mi się rozmowa z poprzedniego transportu, kiedy to przedstawiciel władzy wytłumaczył mi kryteria kontroli „tzw. darów”: po pierwsze podejrzane, bo mogą być rzeczy dla opozycji; po drugie może to na handel; a po trzecie jest to dyskryminacja naszej ojczyzny. Czy nie potrzeba mleka dla dzieci, lekarstw dla chorych, aparatury dla klinik, czy nawet ubrań dla uboższych? Auto ciężarowe, w którym były prywatne paczki musiało wracać do RFN pomimo charytatywnej zawartości. Akceptuję zarządzenie. Ale nie akceptuję faktu, że nie można z polskim urzędnikiem normalnie rozmawiać, że nie można szukać alternatyw, że trzeba się poddać uporowi czy przemocy władzy. Znowu narzuca się pytanie, dlaczego? Po 12 godzinach kontroli celnej ruszyliśmy dalej.

Dopiero konfrontacja z odbiorcami darów, uśmiech dzieci, pacjentów czy punktów charytatywnych przynosi nam odpowiedź na pytanie, dlaczego i po co? To jest ta motywacja, która pozwala zapomnieć co przykre i mobilizować się do następnego transportu.

Niedzielę wyborczą spędziliśmy w Warszawie. Nie byliśmy prowokacją. W drodze powrotnej NRD jednak nie zrezygnowało z dokładnej kontroli włącznie z rozkręcaniem karoserii samochodowej. Czego szukają? Marihuany? Szmuglu?

Dziś też jest niedziela. Spokój. Tak zwana złota jesień we Frankfurcie. Ciszę przerywa anonimowy telefon: „*Polen raus, Polaken raus!*” Dlaczego?

Moje rozgoryczenie i smutek przerywa dzwonek do drzwi. Z nieświąteczną wizytą zjawia się niemiecka lekarka z ogromną paką bardzo drogich i niedostępnych w Polsce zestawów urologicznych.

Krystyna GRAEFF

Frankfurt, 27 października 1985

List z Iraku

Kiedy przejeżdżałem przez bramę, zatrzymał mnie portier: — Jedziesz pan na kamp „B”? To weź pan dwu kolegów, oni są z „B”, nie mają czym wrócić.

Zgodziłem się. Koledzy okazali się bardzo pijani. Był piątek po południu, święto, odpoczynek. Kampowe baraki majaczyły niewyraźnie w gnanych wiatrem chmurach pyłu. Pod płotami, barakami, w poprzek dróg tworzyły się zasy jak u nas zimą. Tu jednak było lato, upał, sierpniowa parówka. Kto już koniecz-

nie musiał wyjść na dwór, zawiązał głowę chustką, jak to robią Beduini. Klimatyzatory buczały, wypluwając z siebie gorąco wewnątrz. W taką pogodę każdy siedzi u siebie, w cuchnącym przepoconymi łachami, niedopałkami tanich papierosów, kurzem i nieodomytym ciałem pokoju. Umeblowanie zdezelowane przez lata użytkowania: dwa łóżka, szafa, stół, krzesła, lodówka. Na ścianach gołe dziwki wycięte z gazet. Rozrywka polega na spaniu albo piciu wódki, którą w niezmiernych ilościach przywożą powracający z urlopów.

Polski „Dromex” od lat buduje odcinek autostrady między Nasiriją a Basrą, w szczerym polu chciałoby się powiedzieć, ale żeby to było pole! Jest to pustynia, pustka, która pożera dusze. Prawie trzytysięczną załogę dwu odległych od siebie o kilkadziesiąt kilometrów kampów stanowią operatorzy ciężkich maszyn budowlanych, mechanicy, wysoko kwalifikowani fachowcy, elita robotnicza, nie żadni tam łopaciarze. W kraju z takimi wszyscy się liczą. Zarabia się tam dużo, więcej niż w nadzorze. Tu nie. Tu stawki dla fizycznych są o wiele niższe niż w administracji, a warunki pracy o ileż cięższe. Na budowach w Polsce też jest się z dala od rodziny, ale przecież nie tak daleko. W każdej chwili można wpaść, zobaczyć, pogadać, pokochać. Tam jest się w otoczeniu swoim, zrozumiałym, tu wszystko jest obce. Nie ma nic, nic ładnego na co można był z przyjemnością popatrzeć. No tak, ale w kraju jest coraz gorzej i dlatego trzeba jechać. Ludzie nie boją się tutejszej wojny, rakiet i nalotów, niestrasne im bombardowania artyleryjskie w pasie przyfrontowym ani ciągle utarczki z partyzantką kurdyjską. Idą na wszystko. Korzystają z tego polskie centrale handlowe i dają najniższe stawki wynagrodzenia, ograniczają wypłaty za godziny nadliczbowe, a także — co jest szczególnie bolesne — limitują wielkość przekazów na prywatne konta dewizowe (tzw. transfer). Robią to, bo ludzie boją się zapomnieć o swoje.

— Nie podskakuj, bo pojedziesz do kraju — grozi kierownik, panienska w biurze i inni „umysłowi”. Kto wie, ile zabiegów kosztuje wyjazd, ten rozumie, że nic nie da się zrobić. Chyba że ktoś dostanie białej gorączki, nawymyśla szefowi albo naleje, tak też bywa, albo że się powiesi. Frustracje, podłość, rywalizacja. Alkohol. Marne życie, żeby odłożyć parę groszy. Podziały na lepszych i gorszych, często wymyślone, ale zawsze odczuwane. Administracja, dyrektorzy, inżynierowie, którzy trzymają się z daleka, demonstrują swoje przywileje: lepsze mieszkanie, praca w biurze, klimatyzowany samochód, a nie rozpalona od słońca kabina. Bełkot moich pasażerów potwierdza codzienne obserwacje, niestety, to prawda.

— No co ja mam robić — jeden z nich próbuje się jakoś usprawiedliwić. — Mamy telewizję, ale kto to rozumie. Filmy video po angielsku. To co, będę tam sterczał jak palant?

Przed laty Irak był dla naszego handlu zagranicznego prawdziwym Eldorado. Szły kompletne obiekty: kopalnia siarki w Mishraqu koło Mosulu, cukrownia, obiekty energetyczne, wytwórnie sy-

likatów, a także duże ilości samochodów, nie licząc drobniejszej sieczki towarowej. I to wszystko za gotówkę.

Polski kryzys uniemożliwił sprzedaż jakiejkolwiek technologii, nie tylko tej nowoczesnej, ale robiliśmy ciągle jeszcze duże projekty melioracyjne i drogowe, gdzie znaczny jest udział robocizny, a materiały są łatwe, miejscowe, cement, żwir, asfalt. Nasze centrale stopniowo przestawiały się na sprzedaż „czystej” siły roboczej, pracy wykwalifikowanych mechaników, monterów, operatorów, a także inżynierów, to, co się potocznie nazywa „handlem żywym towarem”. Ciągąca się od 5 lat wojna z Iranem spowodowała tu ograniczenie inwestycji. Iracki partner zaczął żądać długoterminowych pożyczek dla finansowania swoich projektów, a jednocześnie ma trudności w płatnościach bieżących. Poważne firmy światowe bardzo zredukowały swoje interesy, a na ich miejsce ruszyli południowi Koreańczycy i ludowi Chińczycy, oferując tanią siłę roboczą i coraz korzystniejsze *terms of trade*. Jest to sytuacja bardzo trudna dla doświadczonych, zasiedziałych i elastycznych partnerów. Polskę z jej doktrynerskim systemem handlu zagranicznego, przestarzałą ofertą i ideologiczno-politycznymi obsadami eliminuje to z rynku i chyba będzie trudno odwrócić tę tendencję w przyszłości. Z 15 tysięcy Polaków w roku 1982 pozostało około 6 tysięcy.

Zbliżał się 13 października, dzień głosowania. Już w sierpniu zrobiono spisy uprawnionych, a we wrześniu zaczęło się to, co nazwano kampanią wyborczą. Oczywiście nic z własnej inicjatywy, tacy gorliwi frajerzy dawno już wyginęli. Za wszystko ktoś gdzieś jest odpowiedzialny i jak ten ktoś da znać, to będziemy głosowali albo zbierali składki na pomnik bohaterskiego milicjanta albo łapali się lewą ręką za prawe ucho. Z KC przyjechał delegowany politruk i wkrótce odbyły się instruktażowe zebrania tzw. aktywu, to znaczy dyspozycyjnych urzędników i kierowników. Dyspozycyjnych, czyli takich, którzy bez żadnych skrupułów wykonają każde polecenie. Oczywiście nie robią tego dla jakiejś idei, idee są im całkowicie obce. Oni po prostu chcą mieć dobrze, lepiej niż inni, popierają władzę, bo ona im to zapewnia. Nawet nie muszą udawać, że kochają ruskich z tym ich socjalizmem.

W zebraniu przedwyborczym na kampie „Budimexu” w Abu Grebie wziął udział sam ambasador, który poza tym nie przepada za spotkaniami z tzw. światem pracy. Mowa okazała się drętwa ponad miarę i ludzie ulatniali się gromadnie z imprezy. Na innym kampie na zebranie stawiała się tylko administracja. Pracownicy, jak się potem tłumaczyli zdenerwowanym organizatorom, mieli inne zajęcia. W elektrowni Baiji kierownik polskiej załogi, zresztą znany kapuś, dopadł gdzieś jedną z krząjących ulotek „Solidarnościowych” wzywających do bojkotu wyborów. Groził surowymi konsekwencjami. Konsekwencja mogła być tylko jedna: odesłanie do kraju.

Koła zbliżone do ambasady — jak to się delikatnie formułuje — ogłosiły wielki sukces wyborczy: głosowało 90 % Polaków. Jeśli

to prawda, to jednak oznacza, że około 500 osób odważyło się nie głosować, a zważmy, że tu pracodawca ma kontrolę administracyjną nad każdym zatrudnionym nie przez 8 godzin jak w kraju, ale przez 24 godziny. Można to porównać z warunkami, jakie panują w koszarach. Więc może ten sukces wyborczy nie był taki duży, panowie?

I tak mija czas, z kurzem w ustach, w pocie upalnych godzin pracy, na marnym jedzeniu, w beznadziei odpoczynku, w oczekiwaniu na list z domu i na ciułaniu takim, że aż dusza skrzypi. Naprawdę, dokąd pójść, co ze sobą zrobić?

Może jeszcze najlepiej, najbardziej u siebie można się poczuć w kościele, na polskiej mszy co sobota. Przychodzą nawet ci, którzy w domu są mniej gorliwi. Śpiewa się: — Boże coś Polskę... racz nam wrócić, Panie — wielkim chórem męskich młodych głosów, co w kraju nie jest rzeczą częstą nawet dziś.

Z daleka przyjeżdżają całe wycieczki na pasterkę, na wspólny śpiew kołęd. Na Wszystkich Świętych Polacy zbierają się tłumnie na cmentarzu alianckim, paląc świece i ozdabiając groby rodaków narodowymi barwami. Starania o to, by mieć w Iraku na stałe polskiego księdza poparło podpisami przeszło cztery tysiące osób. Była to jedyna naprawdę spontaniczna akcja naszej społeczności, szkoda, że po dwu latach zakończona tylko połowicznym sukcesem. Wyczekiwany ksiądz nie potrafił ludzi polubić, zebrać dokoła siebie, uznać ich wartość, dać im, czego oczekiwali — poczucie, że są czymś więcej niż siłą roboczą, że są ludźmi, którzy mają swoje życie duchowe, jedyne i niepowtarzalne. Szkoda.

Pobyt za granicą odzwyczajają od domu, ale myśli się ciągle o powrocie. Pieniądze zbiera się właśnie po to. Najczęściej celem jest mieszkanie, samochód, a jak nie starczy, to przynajmniej zespół tele-radio-video. Niektórzy marzą o własnym warsztacie albo chociaż szklarni. W zależności od sytuacji można odłożyć od 300 do 600 dolarów miesięcznie na własnym koncie dewizowym w Polsce. Im dłużej tego dobrego, tym więcej się wysiedzi, a w kraju już czekają ogłoszenia w gazetach: „Powracającemu zza granicy sprzedam...” (rozumie się za dobre zachodnie pieniądze), czekają też spryciarze oferujący kokosowe interesy w zamian za lokatę kapitału, państwowe dewizowe „Pewexy”, „Baltony”, „Polmoty”, a także przedstawicielstwa zachodnich firm samochodowych. Łamigłówa co kupić, jak sprzedać, żeby było więcej złotych za dolara, żeby dłużej bronić się przed biedą, żeby najmniej oddać czerwonemu pod szyldem urzędu celnego, wydziału finansowego czy jeszcze jakimś innym.

Praca na państwowej posadzie przyniesie kilkanaście razy mniej niż się tu odkłada, choć te nasze stawki takie marnie. Trudno będzie przyzwyczaić się na nowo, ale się wraca, bo powrót nadaje dopiero jakiś sens tej naszej poniewierce na arabskich saksach.

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Cała Moskwa nie przestaje się dziwić: Michaił Gorbaczow tak sobie, bez żadnego uprzedzenia, jak pierwszy lepszy obywatel sowiecki, przyszedł z żoną do teatru? Obejrzał „Wujaszka Wanię” i zdawał się bardzo zadowolony. W tym miejscu wypada chyba przypomnieć, że coś podobnego już się kiedyś zdarzyło: w 1918 do tego samego teatru i na tę samą sztukę przyszedł Lenin. Po przedstawieniu zwrócił się do dyrektora teatru z lekką wymówką: teatr dobry, aktorzy też dobrzy, tylko dlaczego takie sztuki grają? Leninowi nie spodobał się „Wujaszek Wania”, bo brakowało mu niezbędnego optymizmu, woli zwycięstwa, ufnego spojrzenia w przyszłość.

I kto śmie mówić, że władza sowiecka się nie zmienia? Już nawet Czechow jej się podoba. Przykroiła go na swoje kopyto i cytaty z autora „Wiśniowego sadu” zdobią dziś nawet obozy koncentracyjne. Więźniowie mogą docenić słowa Czechowa: „W człowieku wszystko powinno być przyjemne — i wygląd zewnętrzny, i odzież” — które widnieją na ścianach baraków.

Wróćmy jednak do naszego wielbiciela „Wujaszka Wani”. Gorbaczow zapragnął natychmiast podzielić się swoimi wrażeniami z dyrektorem teatru; niestety, ten był mocno podpity i niezdolny do rozmów. Niezrażony generalny sekretarz zatelefonował następnego dnia. Dyrektor MCHAT-u czekał. Rozmowa obu panów jest dziś na ustach wszystkich. Jest to jedna z tych rozmów, którymi wstawił się niegdyś Stalin. Gorbaczow pochwalił przedstawienie, teatr i aktorów, uspokoił rozmówcę — możecie pracować, jesteście na dobrej drodze. Rozmówca skorzystał z okazji, aby się pożalić: sztukateria odpada, dach trzeba pokryć... Zwykle sowieckie skargi. W odpowiedzi usłyszał: poczekajcie trochę, rozkręć koło rozpędowe, a wtedy...

Słowa te rozeszły się po całym Związku Sowieckim: dajcie nowemu generalnemu sekretarzowi trochę czasu, rozkręci koło rozpędowe, a potem zajmie się codziennymi sprawami, życie się poprawi.

Koło rozpędowe to — jak objaśnia słownik — „ciężkie koło maszyny o masywnym obwodzie, umieszczone na wale maszyny dla zabezpieczenia równomiernych obrotów wału”. Słowa Gorbaczowa są więc i wyrzutem pod adresem poprzedników, którzy dopuścili do zatrzymania maszyny, i obietnicą wprowadzenia jej w ruch, i wreszcie powrotem do tradycyjnego wizerunku generalnego sekretarza jako Wielkiego Sternika.

Pierwsze drgnięcia puszczanej w ruch maszyny dają się już odczuć. Kampania antyalkoholowa wydała pierwsze owoce: wystarczy oskarżyć sąsiada, męża, podwładnego a nawet przełożonego o pijaństwo, aby obwinionego aresztowała milicja, by jego sprawa była rozpatrywana na zebraniu, by wyrzuceno go z pracy albo wysiedlono. Sprzedawcy w sklepach monopolowych wzywają milicję, aby się pozbyć natrętnego klienta. Prowadzenie samochodu jest dziś bardziej ryzykowne aniżeli lot w kosmos.

Znakiem czasu jest planowanie przyszłości. Programy i plany ogłaszane są ostatnio dosłownie codziennie, poczynając od uchwał KC KPZS z okazji 68-jej rocznicy Rewolucji Październikowej, zawierających zadania na najbliższe półrocze, poprzez projekt nowego statutu partii, który ma być uchwalony w lutym 1986 roku i „kompleksowy program” rozwoju ekonomicznego ZSSR do 2000-go roku aż po program KPZS, wytyczający drogę do komunizmu.

Na dziesiątkach nabitych drobnym druczkiem kolumn gazetowych powtarzają się te same hasła, stereotypy, frazesy, odmienne w nieskończoność, hipnotyzujące inkantacje, apele, magiczne zaklęcia. Wszystko to powiedziano już sto razy i powtarza się po raz sto pierwszy: uwspółcześnia się i dostosowuje do nowych potrzeb środki — Cel pozostaje ten sam.

Pierwszym był program rosyjskiej partii socjaldemokratycznej, uchwalony w 1903 roku. Program ten stawiał sobie zadanie-maksimum: zmianę kapitalizmu na socjalizm drogą rewolucji socjalistycznej. Nie minęło czternaście lat, a w Rosji obalono kapitalizm. W 1919 roku partia Lenina, zwana w tym momencie Rosyjską Partią Komunistyczną, uchwaliła następny program. Tym razem chodziło o zbudowanie społeczeństwa komunistycznego na terenie byłego imperium carskiego. Program z 1919 roku zawierał — po raz pierwszy — rozdział poświęcony rewolucji światowej. Instrumentem, organizującym rewolucję proletariackie na całym świecie miał być Komintern, utworzony latem 1919 roku. Drugi program partii uważał za konieczne „natychmiastowe” wprowadzenie dyktatury proletariatu na całym świecie. Miał to być warunek zbudowania społeczeństwa komunistycznego.

Trzeci program KPZS uchwalono w 1961 roku. Program ten podsumowywał czterdzieści lat działalności partii, podkreślając jej główny rezultat: całkowite, ostateczne zwycięstwo socjalizmu w ZSSR. Program podkreślał: KPZS prowadziła i doprowadziła narody sowieckie do socjalizmu nie z jakichś tam egoistycznych pobudek. Nie! Był to podarunek dla całej ludzkości: „Ludzkość dostała istniejące rzeczywiste społeczeństwo socjalistyczne i sprawdzoną w praktyce naukę o budowie socjalizmu. Droga do

socjalizmu została przeprowadzona. Zmierza nią już wiele narodów. Wcześniej lub później wkroczą na nią wszystkie narody”.

W czasie gdy wszystkie narody miały zmierzać do nieuchronnego socjalizmu, Związek Sowiecki miał — pierwszy — dojść do komunizmu. Nikita Chruszczow, który przedstawił program na Zjeździe partii, kategorycznie stwierdził, że nastąpi to za dwadzieścia lat. Tak ścisłe ustalenie terminu było błędem niecierpliwego Nikity. W miarę jak ZSSR zbliżał się do wyznaczonej daty, wzrastała potrzeba nowego programu. Został on obecnie opracowany i będzie uchwalony w lutym 1986.

Pierwsza część czwartego programu nosi tytuł „Przejsście od kapitalizmu do socjalizmu i komunizmu główną treścią obecnej epoki”. Wynika z tego, że losem naszej epoki jest nieuchronna i niepowstrzymana (kto powstrzyma bieg historii?) przemiana całej kuli ziemskiej w królestwo komunizmu. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości, bowiem „władza wyzyskiwaczy” została już obalona „w szeregu krajów” Europy i Azji, a „tym samym [będzie] i w Ameryce”. W programie z 1961 roku o Ameryce jeszcze nie było mowy.

Przedstawiając projekt programu na plenum KC, Michaił Gorbaczow podkreślił: „Program to jasna i precyzyjna informacja o tym, do czego partia zmierza i o co walczy” (*Prawda* z 16 października 1985). Trudno temu zaprzeczyć. Program istotnie jasno i precyzyjnie formułuje, czego partia chce zarówno w kraju jak za granicą.

Druga część programu poświęcona jest sprawom wewnętrznym. Partia, nauczona doświadczeniem Chruszczowa, nie podaje terminu zakończenia budowy komunizmu, zapewnia jednak, że uciec nie ma dokąd — komunizm musi nastąpić. W tym celu trzeba przede wszystkim — jak lubił mówić Stalin — dogonić i przegonić przodujące kraje kapitalistyczne. W nowym programie brzmi to tak: przekształcić gospodarkę ZSSR w najnowocześniejszą i najsprawniejszą na świecie; osiągnąć najwyższy poziom światowy wydajności pracy, jakości i wydajności produkcji. O tym, co należy zrobić, aby „dogonić i przegonić” program rozpisuje się długo, mgłnie i niezrozumiale. Za to Gorbaczow wyraził to własnymi słowami, krótko i wyraziście: „Nasza partia powinna mieć silną politykę społeczną, obejmującą wszystkie dziedziny życia człowieka — od warunków pracy i bytu, zdrowia i odpoczynku do stosunków społeczno-klasowych i narodowościowych”.

Stalin wiedział co mówi, kiedy na bankiecie zwycięstwa wygłosił swój słynny toast: „Wznoszę toast za prostych ludzi, za ‘śrubki’, które wprawiają w ruch nasz wielki mechanizm państwowy”. „Śrubka” wydaje się koniecznym warunkiem zwycięstwa socjalizmu-komunizmu. Gorbaczow to rozumie i powtarza słowa Stalina w zmodernizowanym wariacie: „wszystkie dziedziny życia człowieka”.

Straszne proroctwo Zamiatina, Jedyne Państwo, w którym ludzie są numerami, a życie każdego numeru jest od A do Z

kontrolowane przez państwo, zostało wpisane w nowy program KPZS.

W części międzynarodowej czwarty program partii wychodzi z założenia, które w czasach Chruszczowa nie było możliwe. „Historycznym dokonaniem socjalizmu — czytamy — jest ustanowienie równowagi wojskowo-strategicznej między ZSSR i USA”. Jak wiadomo, zasadę równowagi uchwalono w latach 70-tych między Moskwą a Waszyngtonem.

Opierając się na uznanym przez Stany Zjednoczone, a zatem przez cały niesowiecki świat, statusie jednego z dwu wielkich mocarstw, Związek Sowiecki ustami Gorbaczowa formułuje zasady swej polityki międzynarodowej: „Otwarcie mówimy o celach naszej polityki międzynarodowej i drogach do ich osiągnięcia. W tym sensie nasza polityka jest łatwa do przewidzenia, nie ma w niej zagadek ani niespodzianek”. Generalny sekretarz definiuje ją tak: „Jest to polityka oparta na leninowskiej idei pokojowej koegzystencji dwóch przeciwstawnych systemów”.

Jeśli zastanowić się, co ma na myśli Gorbaczow, sowiecka polityka zagraniczna jest rzeczywiście łatwa do przewidzenia i konsekwentna. Wychodzi z założenia, że w świecie istnieją dwa przeciwne sobie, czyli wrogie ustroje, które — założenie drugie — mogą ze sobą współistnieć. Tekst programu zawiera naturalnie poza tą leninowsko-gorbaczowską formułą również komentarz do niej.

Istnieją dwa ustroje, lub, jak lubią pisać autorzy podręczników komunizmu naukowego, „dwa światy, dwa systemy”. Istnieją zatem wrogowie i przyjaciele. Wróg się przez ostatnie ćwierć wieku nie zmienił. W 1961 roku KPZS oświadczała: „Amerykański imperializm... pełni rolę żandarma świata”. Nowy program stwierdza: „Fortecą międzynarodowej reakcji jest imperializm USA”. Moskwa poczuła się tak szalenie dotknięta, że Reagan nazwał ZSSR „imperium zła”, że prezydent Stanów więcej nie osmielił się tego powtórzyć. Ale „marksisci-leninowcy-gorbaczowowcy” czują się uprawnieni do mówienia o „fortecy reakcji” — ich formuła jest przecież wynikiem „analizy naukowej”.

Wróg jest oczywisty. Równie oczywiste są przyjaciele. Program z 1919 roku widział w całym świecie tylko jednego przyjaciela republiki sowieckiej — międzynarodowy proletariat. W 1961 roku, a co dopiero dziś — przyjaciół mamy bez liku. Przede wszystkim „bratnie kraje socjalistyczne”, w których władzę sprawują „partie komunistyczne i robotnicze”. Rozdział poświęcony „współpracy z krajami socjalistycznymi” wielokrotnie używa słowa „integracja”. KPZS „postuluje dalsze pogłębienie socjalistycznej integracji ekonomicznej”, „integracja ma... sprzyjać postępowi...”, „należy usiłować rozwój integracji...” itd., itp. Niewinny matematyczny termin nabrał od lat 70-tych złowieszczonego politycznego znaczenia. To wtedy właśnie w słownikach obok neutralnej definicji „integracja — zjednoczenie części w całość” pojawił się i już nie zniknął przykład użycia słowa: „socjalistyczna integracja ekonomiczna”. „Krótki słownik polityczny” z 1983 roku wprowadza subtelne rozróżnienie między „integracją socjalis-

tyczną" (dobrą i postępową) a „integracją kapitalistyczną" (złą i reakcyjną). Obecnie „zjednoczenie części", czyli poszczególnych gospodarek państw socjalistycznych, w jedną gospodarkę socjalistyczną wpisane zostało do programu KPZS.

Głównym sojusznikiem w walce o ustanowienie komunizmu na całym świecie jest wspólnota socjalistyczna. Drugim — kraje wyzwolone, pośród których szczególnymi przyjaciółmi są „państwa o orientacji socjalistycznej w Azji, Afryce i Ameryce Łacińskiej".

Poza tymi dwoma sojusznikami, których można nazwać „wewnętrzny", istnieją sojusznicy zewnętrzni, tzn. znajdujący się na terenie niesowieckiego, wrogiego obozu: komunistyczne i robotnicze partie w krajach kapitalistycznych, ruchy narodowo-wyzwoleńcze (jeśli rzecz jasna kierują nimi „siły postępu") oraz bojownicy o „pokój i rozbrojenie", czyli pacyfiści.

Krótko mówiąc: „Agresywnej polityce imperializmu przeciwstawia się rosnący potencjał sił pokoju". Przyznając jednak konieczność walki na śmierć i życie aż do zwycięstwa, czyli do likwidacji kapitalizmu, program KPZS z naciskiem przypomina o konieczności „pokojowej koegzystencji państw o różnych systemach społecznych". Ta sprzeczność wynika z immanentnego kłamstwa, które jest wprogramowane w ideologię komunistyczną. To jednak nie tłumaczy wszystkiego. Celem sowieckiej polityki zagranicznej rzeczywiście jest pokój — pokój sowiecki.

Ideolodzy sowieccy rozumują logicznie: „przyszłość należy do socjalizmu", głosi program KPZS. Wobec tego kapitalizm, który „uniemożliwia wyzwolenie od wyzysku i niesprawiedliwości", zamyka drogę rewolucji i „zgodnemu z prawami historii wynikowi rozwoju społecznego" — stara się „eksportować" kontrrewolucję i „siłą zatrzymać i odwrócić bieg dziejów". Związek sowiecki nie może na to pozwolić, zdecydowanie się temu przeciwstawia, broniąc w ten sposób „zgodnego z prawami historii rozwoju świata". Jeśli kraje kapitalistyczne, a przede wszystkim „forteca reakcji" przestaną ingerować w historyczny proces, można będzie „pokojowo współistnieć", „wymieniać osiągnięcia nauki i techniki, wartości kultury". Jeśli państwa kapitalistyczne zgodzą się na *pax sovietica*, będą mogły w spokoju i bez wojny dożyć do swego historycznego końca; termin, jak obliczono naukowo, upływa w bieżącym stuleciu.

Gorbaczow mówi prawdę: polityka zagraniczna ZSSR jest jasna, a jej cele oczywiste. Nie widzą ich tylko ci, którzy nie chcą ich widzieć. Dwa tygodnie przed publikacją programu KPZS w gazetach pojawiły się uchwały KC z okazji rocznicy rewolucji. Zawierają one główne wytyczne polityki sowieckiej na najbliższe miesiące. Jeśli chodzi o politykę zagraniczną, to po raz pierwszy od pięciu lat uchwały zawierają orędzie do narodów: walczyć o powrót odprężenia. *Détente* wraca na porządek dnia. Równocześnie do listy „gorących punktów", przez które przebiega front walki między „potencjałem sił pokoju" a „reakcją" (Nikaragua, Afryka Południowa, Namibia) doszedł rejon Oceanu Spokojnego.

Widocznie Moskwa uznała, że sytuacja na Filipinach dojrzała do tego, by zwrócić na nie baczniejszą uwagę.

O tym, że uchwały KC są właściwie rozkazami bojowymi świadczy opublikowana niedawno w Paryżu książka Pierre Juquin „Samokrytyka". Juquin, członek Biura Politycznego KPF od 1979 do 1985 roku, przeżywa ostatnio jakieś duchowe rozterki. W „Samokrytyce" były członek Biura Politycznego gorąco broni komunizmu i partii, ale krytykuje jej obecnego generalnego sekretarza, Georges'a Marchais. Najciekawsze są fragmenty poświęcone rozmowom między Marchais a kierownictwem sowieckim podczas spotkania w Moskwie w styczniu 1980 roku. Towarzysz Marchais wysłuchał analizy sytuacji międzynarodowej, po czym spytał z komunistyczną prostotą: „Znaczy mamy rozkaz anulować decyzję NATO [o rozmieszczeniu Pershingów w Europie]?" Towarzysz Ponomariow wyjaśnia: „Bardziej realistyczne byłoby powiedzieć: 'nie dopuścić do praktycznej realizacji uchwały'". Marchais pojechał do domu wykonywać rozkaz.

Piszę niniejszy przegląd w przeddzień spotkania Gorbaczowa z Reaganem w Genewie. Czytelnicy *Kultury* przeczytają go po zakończeniu rozmów „na szczycie". Jednak już dziś można bez najmniejszego ryzyka błędu powiedzieć, że Gorbaczow w każdym przypadku wyjdzie ze spotkania zwycięsko. To on wybrał pole bitwy — rozbrojenie, fałszywy problem, który pozwala Związkowi sowieckiemu przystrajać się w szaty „obroncy pokoju". Jeśli Reagan zgodzi się (w jakiegokolwiek formie) na rezygnację z programu „strategicznej inicjatywy obronnej", zwycięstwo Gorbaczowa będzie spektakularne. Jeśli prezydent Stanów Zjednoczonych nie ugnie się pod szantażem (co zrobił np. Carter, rezygnując z broni neutronowej) Gorbaczow przystroi się w szaty obrońcy ludzkości, któremu „podlegacz wojenny" uniemożliwił dobrą robotę.

Przemawiając 7 listopada z mauzoleum do zebranych na Placu Czerwonym wojsk, minister obrony ZSSR marszałek Sokołow uprzedził przyszłego rozmówcę Gorbaczowa: „Nie pozwolimy naruszyć równowagi wojskowo-strategicznej między Związkiem sowieckim a USA". Był to wymowny apel o *pax sovietica* na całym świecie.

Adam KRUCZEK

11 listopada 1985

Kronika niemiecka

XIV-wieczne organy w krakowskim Kościele Mariackim wymagają pilnie remontu. Chodzi o sumę ok. 25 tysięcy dolarów i tyle właśnie ma przynieść kolekta, przeprowadzona w ewangelickich i katolickich kościołach partnerskiego miasta Krakowa — Norymbergi. ■ Bogato ilustrowana książka Petera Auricha *Der deutsch-polnische September 1939 (Niemiecko-polski*

wrzesień 1939) z przedmową prof. Gottholda Rhode doczekała się trzeciego wydania w oficynach *Westkreutz Verlag* (Berlin/Bonn) i *Ilma Verlag* (Kelkheim/Taunus). Jest to opis losów niemieckiej mniejszości przed i podczas wojny. ■ Na XXXIV Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Mannheim prestiżową nagrodę im. Josefa von Sternberga za najlepszy film dokumentalny otrzymał Andrzej Fidyk za obraz pt. *Prezydent*. Jeden z pięciu *Dukatów* (tak nazywają się nagrody na festiwalu) przypadł w udziale Piotrowi Dumale za film animowany *Łagodna* według opowiadania Dostojewskiego. Natomiast Wiesław Saniewski został wyróżniony nagrodą *Krytyki Międzynarodowej (FIPRESCI)* za najlepszy film fabularny, za jaki uznano *Nadzór*. ■ W kolońskim miesięczniku *Die politische Meinung* ukazały się wiersze Lothara Herbsta w tłumaczeniu Zbigniewa Kullasa. ■ Morska platforma wiertnicza eksploatowana przez NRD, Polskę i Sowiety natrafiła 50 mil na północ od Łaby na złoża ropy naftowej. Na razie są to zaledwie próbne odwierty, jako że w/w państwa nie posiadają na Bałtyku urządzeń wydobywczych. ■ W Szczecinie odbył się III Krajowy Zjazd Stowarzyszenia „Wisła-Odra” (przewod. Edmund Męglewski). Na Zjeździe referat wygłosił ks. dr bp Stanisław Stefanek — sufragan diecezji szczecińsko-kamieńskiej. Na tej wyjątkowo anty-RFN-owskiej masówce protestowano przeciwko „przejawom rewizjonizmu polityczno-terytorialnego w RFN” i apelowano do członków i sympatyków stowarzyszenia o „masowe przybycie do urn wyborczych i o głosowanie na kandydatów PRON”. Czy bp Stefanek też? ■ Na Festiwalu Warszawskiej Jesieni dużą atrakcją stał się występ *Chóru Rozgłośni Radiowej* ze Stuttgartu pod dyktando Helmuta Franza. Zespół wykonał cztery dzieła Gyorgy Ligetiego i utwór szwajcarskiego kompozytora Gerarda Żinstaga — *Trauma*. Bardzo ciepło przyjęte zostało przez słuchaczy prawykonanie utworu pt. *Lux aeterna* młodego polskiego kompozytora Pawła Szymańskiego. ■ PP „Orbis” w oparciu o porozumienie z konsulem Republiki Federalnej Niemiec uzyskał od 1 października br. upoważnienie do prowadzenia pośrednictwa wizowego dla obywateli PRL wyjeżdżających indywidualnie do RFN. Pośrednictwo wizowe prowadzą biura okręgowe PP „Orbis” w Warszawie, Katowicach, Wrocławiu, Poznaniu, Krakowie, Łodzi i Szczecinie. ■ Na dorocznym zjeździe zachodniemieckiego *PEN-Clubu* w Saarbrücken przypomniano o konieczności prowadzenia działalności humanitarnej na rzecz więzionych pisarzy sowieckich, polskich i czechosłowackich. Prezes niemieckiego *PEN-u*, Werner Schwarze, przedstawił dokumentację, z której wynika, że obecnie na całym świecie więzionych jest 433 pisarzy. Jedną z uchwalonych rezolucji domaga się uwolnienia znajdujących się w Sowietach w więzieniach, szpitalach psychiatrycznych, łagrach i na zesłaniu pisarzy i umożliwienia im swobodnego wykonywania zawodu. Więzieni w Sowietach pisarze — Gunars Freymanis i Wiktor Rafalski zostali przyjęci w poczet honorowych członków niemieckiego *PEN-Clubu*. ■ Za pośrednictwem kolońskiego biura *Polorbisu* do końca września br. wyjechało do Polski 97 tys. turystów. Ogółem polskie wize uzyskało do końca września 220 tys. obywateli RFN. 50 % przyjeżdżających do Polski indywidualnie — to reprezentanci pokolenia powojennego, z tego 25 % — do 25 roku życia. Z początkiem przyszłego roku zostanie uruchomiona filia *Polorbisu* w Hamburgu. ■ Przewodniczący *Ziomekstwa Ślązaków* i deputowany do *Bundestagu* Herbert Hupka (CDU) został przewodniczącym *Rady Nadzorczej* rozgłośni radiowej *Deutsche Welle*. ■ Stefan Askenazy, polski pianista, ceniony odtwórca dzieł Chopina, zmarł w Rolandseck k/Bonn w wieku 89 lat. ■ *Instytut Socjologii* w Mannheim przeprowadził szczegółowe badania opinii publicznej. Za najbardziej godnego zaufania obywatela RFN uznali własnego prezydenta, na drugim miejscu znalazł się *Sąd Konstytucyjny*, na trzecim... policja. Respondenci nie mają zaufania do prasy, radia i telewizji. Z ankiety wynika, że blisko 40 % *Zielonych* i ich sympatyków gotowych jest do stosowania metod, które

w opinii ogółu uchodzą za nielegalne. Ankieta dowiodła, że skala wartości i ocen współczesnego Niemca jest bardzo zróżnicowana; wartości na wskroś tradycyjne występują obok wartości nowych. Niezwykle wysoko oceniają respondenci wiarygodność policji, *Bundeswehry* oraz sądów, czyli instytucji tradycyjnie symbolizujących zasadę porządku i ładu. Większość ankietowanych jest przeświadczona, że zasada wolnej konkurencji musi być zachowana, gdyż bez niej nie można sobie wyobrazić sprawnego funkcjonowania gospodarki wolnorynkowej. ■ Sława Lisiecka (Łódź), tłumaczka literatury niemieckiej, została wyróżniona *Nagrodą Fundacji im. Roberta Boscha*. Lisiecka przełożyła na język polski poezję i prozę m.in. Ingeborg Bachmann, Thomasa Bernarda, Eliasza Canettiego, Hansa Magnusa Enzensbergera, Güntera Grassa i Petera Härtlinga. Uroczyste wręczenie nagrody odbyło się w siedzibie *Niemieckiego Instytutu Literatury Polskiej* w Darmstadtzie. ■ Mianowany przez Watykan wizytator apostolski arcybiskupstwa Wrocław w RFN, Winfried Koenig, zaprzeczył stanowczo pogłówni kardynała Glempa, że w RFN podsyca się w sztuczny sposób tęsknotę przesiedleńców za ojczyzną — głównie przez związki wypędzonych. W. Koenig podkreślił, że „duszpasterstwo wypędzonych w zdecydowanym stopniu przyczyniło się i nadal przyczynia do zintegrowania wypędzonych, do rezygnacji z użycia przemocy, że dialog, pokój i pojednanie są ich szczególnym życzeniem, choć nie rezygnują z głoszenia prawdy”. ■ W Bonn podpisano bilateralne porozumienie między PRL i RFN dotyczące refinansowania spłat polskiego zadłużenia. Porozumienie bazuje na wielostronnych ustaleniach dotyczących spłaty zadłużenia polskiego, uzgodnionych i podpisanych z *Klubem Paryskim* 15 lipca bież. roku. Porozumienie z RFN dotyczy kredytów gwarantowanych, których płatność przypadała na lata 1982-1984 i przewiduje, że należności te, wynoszące 3 mld marek, spłaci Polska w latach 1990-1995. ■ W liście do szefa frakcji *CDU/CSU*, Alfreda Dreggera, przewodniczący *Związku Wypędzonych*, deputowany *CDU*, Herbert Czaja, domaga się od rządu bońskiego zapewnienia ochrony praw niemieckich na „obszarach po wschodniej stronie Odry i Nysy”. ■ W *Domu Związku Pocztowców*, w miejscowości Branenburg (Bawaria), odbyła się zorganizowana przez monachijski *Niemiecki Związek Zawodowy (DGB)* sesja poświęcona *Polskim rewolucjom 1944-1985*. Ze strony polskiej występowali: dr Witold Pronobis, historyk; B. Zurek, b. członek *Komitetu Strajkowego w Stoczni im. Lenina* w Gdańsku; Wiesław Wawrzyniak, dziennikarz (wszyscy mieszkają i pracują obecnie w Monachium). Sesja wzbudziła spore zainteresowanie wśród niemieckich związkowców. ■ Wśród odznaczonych organizacji polonijnych z okazji XXX-lecia PRL-owskiego *Towarzystwa POLONIA* znalazł sędzię również *Związek Polaków ZGODA* z siedzibą w Bochum (RFN). ■ Rektor *Uniwersytetu* w Mannheim przyjął 13 studentów z Bydgoszczy, którzy zostali zaproszeni przez miejscowe *Miejskie Koło Młodzieżowe*. Członkowie mannheimskiego *Koła* odwiedzają Polskę corocznie od 1969 roku, natomiast młodzi Polacy otrzymali paszporty dopiero w tym roku. ■ W düsseldorfskim wydawnictwie *Erb Verlag* ks. prof. Franciszek Blachnicki wydał homilię i wyważania z lat 1982-1984 ks. Jerzego Popiełuszki pt. *An das Volk (Do Narodu)*. ■ Dwie pozycje swego repertuaru zaprezentował na *Festiwalu Teatru i Muzyki* we Wschodnim Berlinie gdański *Teatr Wybrzeże: Pułapkę* Tadeusza Różewicza oraz *Już prawie nie* według Jerzego Andrzejewskiego. ■ Biskupi ewangelicy w NRD oskarżają swoje władze w Pankow: Polityka prowadzona przez rząd NRD nie uczy młodego pokolenia poczucia odpowiedzialności i samodzielności. Młodym ludziom uniemożliwia się nawiązywanie osobistych kontaktów z ich rówieśnikami nie tylko w RFN, ale nawet w innych państwach bloku. ■ W poznańskim salonie *BWA* pokazano prace dwóch twórców młodego pokolenia z RFN: Petera Basselera i Giso Westinga, zaliczonych nad Renem do wyjątkowo uzdolnionych artystów. ■ PRL sprzedała w ub. roku do RFN 100 tys. ton jeźmienia, 12 tys. ton gęsi i kaczek,

6 tys. ton mięsa i 2 tys. ton dziczyzny. ■ Polskie książki i periodyki wydawane na Zachodzie oraz w niezależnych podziemnych oficynach w kraju były prezentowane aż na czterech stoiskach podczas tegorocznych XXXVII Międzynarodowych Targów Książki we Frankfurcie n./Menem. Na trzech oddzielnych, ale sąsiadujących ze sobą stoiskach wystawiały książki następujące wydawnictwa: *Institut Literacki* z Paryża (łącznie z projekcją filmów *video* i mikrofilmów roczników *KULTURY* i *ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH* do roku 1984 włącznie), *Polonia Book Fund Ltd.* (Londyn) i *Editions Spotkania* (Paryż). Na czwartym zbiorowym stoisku (na wszystkich znakomita frekwencja!) publiczność mogła oglądać najnowsze pozycje wydane przez: *Aneks, Kontrę, Puls, Odnowę, Veritas* (Londyn); *Kontakt* i *Zeszyty Literackie* (Paryż); *Archipelag, Pogląd, Veto* (Berlin Zachodni); *Polonia* (Chicago); *Independent Polish Agency* (Lund). *Polska Fundacja Kulturalna* (Londyn) prezentowała swoje publikacje na stoisku *Editions Spotkania*. Razem z podziemnymi oficynami w kraju pokazano łącznie 138 nowych tytułów. Polskie niezależne stoiska wzbudziły spore zainteresowanie wśród licznie przybyłych na Targi dziennikarzy. Wywiady i sprawozdania nadsyłały radiostacje: *Norddeutscher Rundfunk, Bayerischer Rundfunk, Hessischer Rundfunk* (w języku niemieckim) i *Radio Free Europe, Radio France Internationale, Voice of America, BBC* i *Deutschlandfunk* (w języku polskim). W tym roku w Targach wzięło udział 6.440 wydawnictw reprezentujących dorobek edytorski 77 krajów świata (92 tys. tytułów stanowiły nowości). ■ Jak wynika z oficjalnych źródeł sowieckich, tereny ZSSR zamieszkuje w chwili obecnej 1.936.214 osób narodowości niemieckiej. Obywatele sowieccy niemieckiego pochodzenia żyją głównie w Kazachstanie, w rejonie Ałtaju, w zachodniej Syberii i na Uralu. W Karagandzie mają swój własny teatr. W Moskwie, w Kazachstanie i na Ałtaju wychodzą niemieckojęzyczne gazety. W Ałma-Acie, Frunze i Karagandzie nadawane są niemieckojęzyczne programy radiowe i telewizyjne. W niektórych regionach w szkołach podstawowych już od pierwszej klasy uczy języka i literatury niemieckiej. ■ Galowym przedstawieniem *Córki zle strzeżonej* Frederica Ashтона rozpoczął występy gościnne w *Stadttheater Heilbronn Ballet Teatru Wielkiego* w Warszawie. Orkiestrą *TW* dyrygują Maciej Gawin-Niesiołowski i Agnieszka Kreiner, a w rolach głównych występują Kama Akuciewicz, Renata Smukała, Bogdan Cholewa i Łukasz Gruciel. ■ Stanisław Kantorski, radca *Ambasady PRL* w Kolonii w liście do grożącego głódówką Edwarda Chwojko (Polak zamieszkały w Hamburgu): „Przestrzegamy Pana, że ewentualne podjęcie przez Pana próby strajku głodowego przed gmachem Ambasady zostanie przyjęte jako próba wpłynięcia siłą na decyzje władz krajowych i całkowicie przekreśli (podkreślenie Kantorskiego — A.J.Ch.) możliwość ewentualnego wyjazdu żony w przyszłości”. Edward Chwojko głodował przed Ambasadą PRL w Kolonii przez trzy tygodnie, niestety bez skutku. ■ Wystawę obrazów olejnych Andrzeja Piwarskiego (Essen) otworzył w *Ośrodku Szkolenia im. Marii Lindenhof* w Dorsten burmistrz tego miasta, Heinz Ritter. ■ W Düsseldorfie wznowił działalność *Klub im. Romka Strzałkowskiego*. Przewodniczący Klubu, Lech Jan Jamka, zorganizował m.in. spotkanie z doc. dr. Łukaszem Czumą z *Katolickiego Uniwersytetu* w Lublinie. Prelekcji Czuma przysłuchowało się ok. 50 Polaków. ■ *Lazarus-Hilfswerk*, organizacja humanitarna z siedzibą w Hürth k/Kolonii, wysłała do Polski w ciągu ostatnich pięciu lat 250 transportów z żywnością, odzieżą i lekarstwami o łącznej wartości ponad 20 mln marek. Oficjalna prasa w PRL milczy na ten temat. ■ W teatrze *Kammerspiele* w Düsseldorfie odbyła się premiera sztuki Toma Kempniskiego — *Duet na jeden głos* w reżyserii Krzysztofa Zanussiego. Autorem scenografii jest Ewa Starowiejska. ■ Władysław Bartoszewski objął na rok akademicki 1985/1986 gościnną profesurę na *Wydziale Historii i Nauk Społecznych Katolickiego Uniwersytetu* w Eichstätt (Bawaria). Jest to jedyny

w Europie uniwersytet katolicki kregu języka niemieckiego. ■ We Fryburgu Br. *Gemeinschaft zur Förderung von Studienaufenthalten polnischer Studenten in der Bundesrepublik Deutschland* (w skrócie: Stowarzyszenie fundujące pobyty stypendialne polskim studentom w RFN) wspólnie z *Colloquium Politicum* tamtejszego uniwersytetu zorganizowały dwudniowe sympozjum na temat *Listy, układy — normalność?* (z okazji 20-lecia wymiany listów polskich i niemieckich biskupów). Głos zabierali ze strony niemieckiej: dr Paul Frank, b. podsekretarz Stanu w *Auswärtiges Amt*, Eduard Neumeier, publicysta, doświadczony korespondent zagraniczny prasy RFN w krajach Europy Wschodniej oraz prowadzący dyskusję prof. Bernd Martin, historyk dziejów najnowszych z uniwersytetu we Fryburgu. Ze strony polskiej: prof. Władysław Bartoszewski i publicysta katolicki — Kazimierz Wóycicki; odczytano też tekst referatu prof. Bohdana Cywińskiego. Impreza spotkała się ze znacznym zainteresowaniem publiczności. ■ Friedrich Zimmermann, boński minister *Spraw Wewnętrznych*: „Władze polskie winny przyznać etnicznym Niemcom w Polsce te same prawa, jakie posiadają Polacy w RFN. Przyczyniłoby się to nie tylko do zbliżenia niemiecko-polskiego, ale stałoby się także wypełnieniem zobowiązań wynikających z *Aktu Końcowego*, podpisanego również przez Polskę w Helsinkach”. ■ Nowy popis pani Marion hr. Dönhoff w hamburskim *Die Zeit*: „Mamy do czynienia z prawdziwie nowym Sejmem, w którym pozostało zaledwie 15% dawnych posłów i w którym zasiadać będzie 80 posłów niezależnych”!

Andrzej J. CHILECKI

ODPOWIEŹ NA LISTY CZYTELNIKÓW

J.L., D.L., J.K., T.W. (list zbiorowy) i R.V. (Kolonii, RFN), Dot. „Kroniki niemieckiej” (*Kultura* nr 10/1985. Str. 103) (*Informacja na temat dyskusji na Uniwersytecie Kolońskim*).

Zasługi dr. Hansa Henninga Hahna, jako wydawcy książki Jerzego Holzera — *Solidarności 1980-1981* w języku niemieckim są mi znane. Pisałem o nich w „Kronikach” dwukrotnie (*Kultura* nr 4/1985 i nr 9/1985). Z treści notatki o wiecu i dyskusji na *Uniwersytecie Kolońskim* nie wynika bynajmniej, że dr H. H. Hahn sympatyzuje z *Zielonymi*. Oczywiście, że określenie „członek federalnego politbiura *Zielonych*” (chodzi o Lucasa Beckmanna) miało charakter nie tylko żartobliwy, ale i ironiczny. Dość w tej partii bowiem komunistów pozostających pod wpływem Moskwy oraz lewaków wszelkich barw i odcieni. O rezygnacji *Zielonych* z odbycia podróży do Polski i innych perypetiach wizowych wzmiankowałem kilkakrotnie (ostatnio: *Kultura* nr 9/1985). Powiązania kolońskiej *Grupy Roboczej „Solidarności”* z *Zielonymi* datują się nie od wczoraj. Na ulotkach i plakatach wydanych przez *Grupę Roboczą* z okazji wiecu na *Uniwersytecie Kolońskim* widnieje czarno na białym: *Die Veranstaltung wird unterstützt von der Bezirksgruppe Innenstadt des Kreisverbandes Köln der Grünen (Impreza jest popierana przez Grupę Zielonych — Grupę Dzielnicę Śródmieście Okręgu Kolonii)*. Podkreślam raz jeszcze, że frekwencja w wielkiej auli *Uniwersytetu Kolońskiego* była bardzo słaba. Na uroczystość z okazji 5-lecia powstania NSZZ „Solidarności” kolońska *Grupa Robocza* i *Zieloni* potrafili wspólnymi siłami zwołać zaledwie 50-60 zainteresowanych (bardziej krytyczni obserwatorzy ocenili ilość uczestników na 35-40). Na marginesie chciałbym tylko przypomnieć, że *Zieloni* są w stanie zgromadzić przed bazami *US Army* często kilkanaście do kilkudziesięciu tysięcy demonstrantów... Natomiast przed ambasadą sowiecką w Bonn nie sposób dostrzec *Zielonych*, nawet pod-

czas takich akcji jak np. pikietowanie w sprawie Sacharowa. Być może Lukas Beckmann z *Federalnego Zarządu Zielonych* występuje naprawdę szczerze na rzecz współpracy z demokratyczną opozycją w Polsce, ale takich jak on można policzyć na palcach *lewej* ręki.

A. J. Ch.

SPROSTOWANIA

Do mojej „Kroniki”, zamieszczonej w listopadowej *Kulturze* wkradły się następujące błędy drukarskie (i inne): Na str. 102, 6 wiersz od dołu winno być: Dr *Richard Breyer* (a nie *Nichard*); Na str. 103 w 1 wierszu od góry winno być: *Józef A. hr. Raczyński* (a nie *Saczyński*) a w 21 wierszu nazwisko działacza *Zielonych* brzmi: *Schily* (a nie *Schilly*). Ponadto samoloty LOT-u kursują 7 razy tygodniowo na linii: *Warszawa-Frankfurt-Warszawa* (a nie *Warszawa-Hamburg-Warszawa*).

A. J. Ch.

PULS

Nr 26

W numerze: Karol LIBELT: *... Wolność druku*; Kornel FILI-POWICZ: *Wiersze*; Jan PROKOP: *Somosierra i Szlisselburg*; Lech DYMARSKI: *Trzy opowiadania*; Stanisław BARAŃCZAK: *Wiersze*; Andrzej KORASZEWSKI: *Książe*; *POJEDYNKI*: Adam Czerniawski — Stanisław Barańczak — Andrzej Drawicz; *PULS ROKU 1984*; Janusz ANDERMAN: *Stadion*; Sławomir MROŻEK: *Nauczyciele*; *PRZEGLĄD KULTURALNY I NIEKULTURALNY*; DRUGI BRZEG; ARCHIWUM EMIGRACYJNE.

Cena pojedynczego egzemplarza wraz z przesyłką:

£ 3.95 pocztą zwykłą; £ 4.75 pocztą lotniczą.

Prenumerata roczna (4 numery):

£ 15.00 pocztą zwykłą; £ 19.00 pocztą lotniczą.

Prenumerata dla bibliotek i instytucji jest droższa o 50 %.

PULS PUBLICATIONS

BCM Box 697, London WC1N 3XX, United Kingdom

NOWOŚCI:

EWA BIENKOWSKA: *Dane odebrane* (£ 4.75 + przesyłka).

PIOTR WIERZBICKI: *Lokaj i inne felietony* (£ 4.50 + przesyłka).

GEORGE ORWELL: *Eseje* (£ 6.75 + przesyłka).

KAZIMIERZ PODLASKI: *Litwini, Białorusini, Ukraińcy* (£ 4.00 + przesyłka).

PIOTR WIERZBICKI: *Myśli staroświeckiego Polaka* (£ 4.00 + przesyłka).

Kronika kulturalna

Kongres Kultury Polskiej na Obczyźnie

POSK, 14 września 1985 roku. Sobotnie popołudnie tego dnia zupełnie nie przypominało leniwych poskowych *weekend'ów*. W hallu i na wszystkich piętrach ogromnego gmachu Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego zawrzało od rozmów, serdecznych powitań, niespodziewanych spotkań po latach. Ponad 300 osób z 20 krajów przyjechało na Kongres Kultury Polskiej na Obczyźnie. Atmosfera uroczysta. Na otwarciu obrad przyjeżdża cały emigracyjny *establishment*. Poczucie niezwykłości udziela się większości obecnych. Uczestnicy Kongresu spoglądają z ciekawieniem na sąsiadów, na wizytówki wpięte w klapy marynarek i kostiumów, konfrontują je z listą zgłoszonych do obrad — pytają, czy aby na pewno Kołakowski przyjedzie, czy ktokolwiek widział już Barańczaka, wyrażają żal, że Miłosza znowu nie będzie. Wielkie nazwiska ocierają się o nikomu nic nie mówiące, ale u wszystkich narasta podniecenie, że tutaj, w samym centrum Londynu — w jednym miejscu i czasie — zebrała się tak duża grupa Polaków: uczonych i ludzi związanych z kulturą na emigracji. A więc nie należy niczego ważnego przegapić. Rozgorączkowanie, biegamy po siedmiu salach POSK-u, w których równolegle odbywają się wykłady siedmiu sesji — niewielu z nas w pierwszych godzinach trwania Kongresu rozgryza ten niezwykle organizacyjny orzech i kończy poszukiwania w jednej z trzech przytulnych kawiarni. Tam, z ołówkiem w ręku zakreślamy interesujące każdego z nas wykłady i imprezy na okrągły tydzień. Ktoś oblicza szybko, że dziennie przewidziano dla nas około 20 wykładów, jeden wieczór w teatrze lub koncert oraz jedną z sześciu różnych wystaw. Natychmiast powiało zmęczeniem, ale nie odebrało to nam wrażenia, że uczestniczymy w wielkim wydarzeniu w życiu polskiego uchodźstwa.

Następne dni kongresowych obrad ostudziły te silne emocje, zwłaszcza że należało sobie odpowiedzieć na pytanie zasadnicze: czy londyńskie spotkanie było istotnie ważne i potrzebne, co

z tego Kongresu pozostanie i przeniknie do kultury krajów, w których przyszło nam żyć i pracować.



Profesor Jerzy Zubrzycki z Australii chciał, ażeby Kongres w Londynie był swego rodzaju przedłużeniem i zakończeniem przerwanej w grudniu 1981 Kongresu Kultury Polskiej w Warszawie. Londyńczycy, którzy również o tym samym myśleli, stali więc wobec wspaniałej okazji, nadającej temu wydarzeniu wymiar symboliczny — przeniesienia odpowiedzialności za wolność kultury polskiej z wolności solidarnościowej na wolną Polskę na emigracji. Pierwszą myślą tamtego Kongresu było pojęcie kultury polskiej jako części składowej kultury uniwersalnej oraz próba syntezy tego, co zostało dokonane i czego nie dokonano w PRL. W ocenie prof. Zubrzyckiego tych właśnie elementów zabrakło w Londynie. „Kongres ten — powiedział — był zbyt emigracyjny, ale będąc emigracyjnym za bardzo patrzył wstecz, w bok, nie patrzył na dzisiejszą Polskę i na nasze obowiązki na emigracji wobec polskiej kultury i polskiej myśli społecznej, literackiej i filozoficznej. Zbyt dużo tu było wspominków, prac, które niczego nie wносиły do nauki, a były przysłowiowym 'otwieraniem otwartych drzwi'. Nie słyszałem wielu prawdziwie naukowych wykładów i nad tym boleje. Za tym idzie jeszcze inna konsekwencja — widziało się bardzo dużą rozpiętość modeli i poziomu myślenia, poziomu takich uczonych jak Kołakowski, Wandycz, Gella do poziomu ludzi, którzy się tylko ocierają o kulturę i mają do niej jakieś pretensje...”

Na londyńskim Kongresie zabrakło fundamentalnej odpowiedzi na pytanie, co my na emigracji możemy wnieść do kultury ogólnoświatowej. Wielu wybitnych naukowców żałowało, że wykład dr. Zdzisława Najdera „Co kultura polska może dzisiaj dać światu?”, który otworzył obrady, nie stał się centralnym punktem i nie był rozpatrywany w najdrobniejszych szczegółach na poszczególnych sesjach. A swoją drogą skoro już organizatorzy zdecydowali, że obrady otworzy dyrektor sekcji polskiej RWE, to powinni kopie jego inauguracyjnego odczytu rozesłać do wszystkich zgłoszonych uczestników z pewnym wyprzedzeniem czasowym. Dałoby to możliwość pogłębionej dyskusji i przyniosłoby większy pożytek naukowy. Dr Najder — o czym warto wspomnieć — dokonał próby nazwania 7 składników kultury polskiej, które zdaniem prelegenta są oryginalne i przyswajalne poza Polską — tym samym więc nakreślił ramy do dyskusji na temat dla nas niezwykle istotny. Nawoływali i nawiązywali do niej m.in. prof. Aleksander Gella, dr Danuta Mostwin i prof. Jerzy Zubrzycki, uważając, że problematykę Kongresu należy przenieść daleko poza londyńską gminę do zagadnień ogólnopolskich i ogólnoświatowych. Niestety, było to wołanie na puszczy. Zapomnieli organizatorzy, że spotkanie uczonych polskich mieszkających w 20 różnych krajach daje doskonałą okazję do wymiany doświadczeń, jak oni na swoim terenie popularyzują te

maty polskie, jakimi drogami docierają do odbiorcy, jaki wkład wnoszą do kultury krajów osiedlenia i kultury uniwersalnej. Chętnie wysłuchałabym, i wierzę że nie ja jedna, co mają do powiedzenia pod tym względem tacy ludzie jak Tadeusz Nowakowski czy Jerzy Pietrkiewicz. A tymczasem podczas obrad kongresu poruszano sprawy ważne: obronę praw człowieka w PRL, zagrożenie ekologiczne Polski, perspektywy gospodarki polskiej, wydawnictwa niezależne w PRL i tematy ogólne, wręcz podręcznikowe, jak wykłady o Armii Krajowej, Narodowych Siłach Zbrojnych, zwycięstwie polskim pod Warszawą w roku 1920! oraz zagadnienia, które znalazły się na kongresie jakimś niewiarygodnym cudem, np. „Tury i żubry w Puszczy Białowieskiej”.

Wydaje mi się, że trudno byłoby odeprzeć zarzut, że „Kongres nie był najlepiej zorganizowany pod względem merytorycznym”. Wprawdzie nie mogliśmy narzekać na brak wydarzeń, ale jak powszechnie wiadomo masowość dobra jest na meczu piłki nożnej, a nie w kulturze. „Nie znaleźli się tutaj [choćby figurują na liście uczestników] wybitni, sztandarowi intelektualiści emigracyjni — powiedział prof. Piotr Wandycz. — Z mojego amerykańskiego terenu zabrakło mi Miłosza, Weintrauba, Barańczaka, Cienciąły. W sekcji historycznej, do której byłem przywiązany, nie było historyków, a jedynie politolodzy. Wśród nich duża ilość nazwisk, które usłyszałem po raz pierwszy”. Niekompetencja i niefachowość wyróżniały organizatorów londyńskiego Kongresu. I tak na przykład sesję nowoczesnej historii Polski przygotował prof. Józef Jasnowski, który w jej ramach nie wygłosił żadnego odczytu [nie jest historykiem tego okresu], natomiast swoją pracę zaprezentował na sesji ogólnonaukowej. Niezrozumiałe więc dla mnie było pominięcie dorobku naukowego i doświadczenia takiego uczonego, eksperta od drugiej wojny światowej, jakim jest dr Józef Garliński, mieszkający przecież „pod bokiem”. Na Kongres zgłosiło się wielu przypadkowych ludzi bez znaczącego dorobku naukowego i osiągnięć w szeroko pojętej kulturze [o takich jest zawsze łatwiej], nie podjęto większych wysiłków, aby zainteresować nim prawdziwych reprezentantów nauki i kultury polskiej na obczyźnie. Zupełnie zdumiewającą rzeczą był brak ludzi związanych z Instytutem Literackim w Paryżu i *Kulturą*, bez których dorobek emigracji jest co najmniej mizerny. Siedzieliśmy więc — my uczestnicy londyńskiego Kongresu — w ciepłych salach pięknego POSK-u na mało ekscytujących wykładach, „gdybajac” od czasu do czasu, jaka to byłaby radość, gdyby tak w obradach uczestniczyli: Kazimierz Brandys, Maria Danilewicz Zielińska, Gustaw Herling Grudziński, Konstanty Jeleński, Czesław Miłosz, Jerzy Pietrkiewicz, Zofia Romanowiczowa, Adam Zagajewski etc. Rażącym niedopatrzeniem organizatorów był brak najpoważniejszych firm wydawniczych z Londynu i Paryża, wydających każdego roku ok. 200 tytułów. Na poprzednich kongresach [1957, 1970] polscy wydawcy prezentowali swoje osiągnięcia na poszczególnych stoiskach, dając obraz dokonań literackich i wydawniczych emigracji. Zastanawiałam się, dlaczego nie pokazano jej dorobku w obcych językach. Bro-

nimy swej przynależności do kultury i tradycji Zachodu, a dość lekkomyślnie pozbywamy się okazji do zmanifestowania naszych osiągnięć.

Sądzę, że ze wszystkich sesji Kongresu najlepiej wypadła sekcja literatury polskiej na obczyźnie, w której pracach uczestniczyli m.in. Józef Bujnowski, Bogdana Carpenter, Tymoteusz Karpowicz, ks. Bonifacy Miązek, Florian Śmieja, Nina Taylor, Tymon Terlecki. Prace Niny Taylor [Brytyjki zajmującej się literaturą polską] nt. dziedzictwa kresowego w naszej literaturze i Tymoteusza Karpowicza o „Homo Viator” w polskiej poezji na obczyźnie, niewątpliwie wejdą do większych publikacji krytyczno-literackich emigracji.

Na Kongresie wygłoszono kilka [ze 140!] wykładów, będących znaczącymi przyczynkami naukowymi. Dr Danuta Mostwin, której zarówno wykład jak i przewodnictwo w sesji było najlepszą wizytówką nauki polskiej na obczyźnie, sformułowała nowe pojęcie emigracji: „Emigracja jest procesem kulturowo-życiowym. Proces ten, adaptacji jednostki do nowych warunków otoczenia, wyzwala energię i w konsekwencji prowadzi do zmian kulturowych. Poprzez twórczy proces adaptacyjny: z jednej strony, przejmowania technologii nowego kraju, niektórych wartości struktury społecznej i dużo później filozofii kraju osiedlenia, a z drugiej strony, utrzymania świadomej, a bardziej jeszcze podświadomej lojalności i genetycznej zależności od wartości kultury polskiej, wytwarzają się nowe, pośrednie wzory postępowania, w których emigrant stara się pogodzić dawne z nowym i nagiąć niektóre z dawnych wartości do wymogów życia w kraju osiedlenia. W ten sposób tworzy się kultura Polonii: twór *in statu nascendi*, zbiór elementów różnych podkultur emigracyjnych z różnych krajów osiedlenia Polaków zmierzający w swej ewolucji do syntezy”. Dopełnieniem głównej myśli dr Mostwin był wykład prof. Zubrzyckiego nt. wielokulturowości, czyli „współzależności pomiędzy wielkością i składem jakościowym emigracji, a wkładem, który zakłada swobodny rozwój żywych kultur, grup mniejszościowych w krajach osiedlenia”. Kwestii obowiązków intelektualisty polskiego na obczyźnie oraz odpowiedzialności emigracji poświęcił wiele wystąpień prof. Aleksander Gella ze Stanów Zjednoczonych. „Wydaje mi się, że obowiązkiem intelektualisty na emigracji — powiedział — jest wznieść się ponad interesy kraju, w którym żyje. Mam na myśli fakt, że wchodzimy w epokę, która być może trwać będzie długo, tego wielkiego konfliktu pomiędzy światem kapitalizmu i światem socjalizmu realnego. My jako kraj średniej wielkości, żyjący na pograniczu jednego z mocarstw, jesteśmy z natury skazani na wielkie rozgrywki pomiędzy nimi. Chciałbym tutaj przypomnieć tę prostą sprawę, że nie możemy tylko słuchać tzw. pobożnych życzeń naszych czy zagranicznych polityków, ale sami musimy patrzeć, jak faktycznie przebiegają te wielkie światowe rozgrywki polityczne. I dopiero z tej perspektywy myśleć o tym, jak to ocalić naszą kulturę i jak rozszerzać zakres wolności w Polsce”.

W przeładowanym tematycznie programie Kongresu zabrakło

kilku kluczowych problemów: zagadnienia sowietyzacji Polski [wskazali na nie dobitnie uczestnicy strajku głodowego w Bieżanowie pod Krakowem, formułując litanię 9 boleści postępującej sowietyzacji] oraz sprawy losów Polaków na Wschodzie podczas drugiej wojny światowej. Myślę, że Kongres, który odbył się w Londynie powinien pokazać dorobek naukowy emigracji w zakresie tych badań, jakich w Polsce z powodu cenzury i autocenzury prowadzić nie można. Emigracja wyznaczyła sobie szczególną rolę w utrwalaniu tożsamości narodowej, w prowadzeniu badań nad nowoczesną historią Polski. Z pewnym smutkiem wypada stwierdzić, że aby się o tym przekonać, należy raczej sięgnąć do *Zeszytów Historycznych*, aniżeli do prac wygłoszonych we wrześniu w Londynie.

Sądzę jednak, że największe pretensje do organizatorów Kongresu mamy za to, że nie pokażą i nie opublikują jego dorobku w obcych językach. Na konferencji prasowej poprzedzającej jego inaugurację nie było żadnego przedstawiciela brytyjskiej prasy, ba, nawet jednego dziennikarza z lokalnej gazety! To, co niejednokrotnie piętnowaliśmy podczas obrad, a więc zaściankowość, emigracyjne getto, naszą parafianiszczynę — to wszystko obróciło się przeciwko organizatorom, którzy widzieli sprawę Kongresu w ramach polskości otaczającej, a nie polskości, która wnika w cywilizację i kulturę światową. Cytowane podczas jednej z dyskusji słowa Tymona Terleckiego, iż musimy wytrwać w kulturze europejskiej choćby na przekór jej samej, zabrzmiały w tym klasycznym polskim getcie w Londynie niezwykle obco i frazesowo.

Na zakończenie wypada zastanowić się, z jakimi wrażeniami opuszczaliśmy progi POSK-u. Czy pomiędzy 14 i 20 września uczestniczyliśmy w ważnym dla życia emigracji wydarzeniu?

Kongres Kultury Polskiej na Obczyźnie został przygotowany OGROMNYM WYSIŁKIEM SPOŁECZNYM EMIGRACJI, ale jego rezultat został w dużym stopniu zmarnowany przez nieudolność i niekompetencję organizatorów. Wyraźnie odczuwaliśmy, że jest on niejako testamentem odchodzącej, wrześniowej emigracji, próbą przekazania jej dorobku młodszemu pokoleniu, które — powiedzmy sobie szczerze — zjawilo się tylko na naprawdę udanych wykładach. Ale Kongres nie dał właściwie żadnej oceny tego dorobku, nie dokonał jakiegokolwiek syntezy myśli zaprezentowanych podczas jego obrad. Co po nim pozostanie?

Chyba tylko ślad w pamięci ludzkiej, że we wrześniu 1985 zebrała się w Londynie duża grupa Polaków — uczonych, ludzi związanych z kulturą i oświatą na emigracji, bo w 7 tomów materiałów pokongresowych jakoś nie wierzę.

Regina WASIAK

Zaćmiony sławą

(NOTATKI Z LATA)

Monet. Dlaczego chcę, dlaczego muszę o nim pisać? On już dziadek. Muzeum, jego posiadłość, jego ogród w Giverny. Bogata Amerykanka postanowiła ten ogród przywrócić do pierwotnego stanu. Wrażenie miałem dziwne: zachwyt nad ilością kwiatów, wybranych w swoim czasie i zgrupowanych przez Moneta. Japoński mostek na stawie, nenufary na wodzie, różowe i czerwone. W domu na ścianach japońscy malarze w reprodukcjach, Utamaro i inni. Ale co mnie zadziwiło, to to że po obejrzeniu ogrodu (była wyjątkowo piękna pogoda) wróciłem do ogromnych reprodukcji Moneta zawieszonych w hallu wejściowym: były świetne, wierne oryginałom, nawet grubość farby była w nich naśladowana.

Zastanowiło mnie, że reprodukcje zrobiły na mnie większe wrażenie niż sam ogród. Ogród zdał mi się kopią z Moneta, o ileż słabszą! Na ścianach ogromny pejzaż, którego połowa to głęboka ultramaryna — czerń wody z tymi nenufarami różowymi i czerwonymi — a druga połowa oślepiająco żółta — o ile pamiętam, było to najprościej światło słoneczne, padające na drugą część stawu. Kopia ogrodu? Ależ nie, to widzenie artysty, który ma oko słońcu podobne i który z tego pejzażu daje esencję swych przeżyć. Stąd arcydzieło.

Dlaczego nigdy o Monecie nie pisałem (poza opisem odkrycia impresjonizmu przez Pankiewicza i Podkowińskiego podczas wielkiej wystawy w 1889 roku)? Ten opis w mojej książce jest ważny, bo jest to najprościej dokładnie przez samego Pankiewicza opisane spotkanie dwóch pierwszych impresjonistów polskich z dziełem Moneta. Dla mnie Monet narodził się razem z odkryciem malarstwa. Wszystkie wpływy impresjonistyczne i post-impresjonistyczne zaczynały się od niego. Cézanne jest nie do wyobrażenia bez Moneta. Więc dlaczego o Monecie milczałem? Gra tu rolę zaćmienie sławą. W 1924 roku, kiedy Monet jeszcze żył, ale dla mnie już istniał tylko jako daleki dziadek, naraz odkryłem wszędzie trzecio- czy dziesięciorzędne wpływy jego kwiatów. Nawet u trzeciorzędnego fryzjera paryskiego, do którego poszedłem się ostrzyć, tapety na ścianach były w kwiaty pod Moneta; już wtedy wszystkie parawany, firanki, a przede wszystkim abażury były w kwiatkach i kwiatkach. To były ciągle jakieś karykatury Moneta, jakby ideał za szybko dotknął bruku. Przystałem widzieć Moneta z dostateczną uwagą.

W okresie paryskim nasz kolega malarz, Rostworowski, wybrał się do Giverny, żeby się pokłonić staremu mistrzowi, który

malował do końca, chociaż w ostatnich czasach, po nieudanej operacji katarakty, miał pono jedną czterdziestą wizji jednego oka. Ze zgorzaniem myślę dzisiaj, że nie tylko nie wybrałem się wtedy do Giverny z Rostworowskim, ale nawet tę jego podróż uważałem za dziwaczną i nieaktualną. Monet umarł w kilka miesięcy później.

Niedawno odwiedziłem Giverny, dom Moneta i jego ogród. I naraz znów zachłysnąłem się, po iluż latach po raz pierwszy, tą przebogata naturą Moneta, tymi stosami krzewów i kwiatów na jego niezliczonych płótnach. Ale na to, żeby je zobaczyć musiałem zapomnieć o wszelkich kwiatach pod Moneta i o wszystkich impresjonistach na kuli ziemskiej. To zaciemnienie malarza przez jego niezliczonych następców jest zastanawiające, bo jest to jeszcze jedna forma uległości wyższej formy przed niższą. Chyba można powiedzieć, że Monet był największym czy jednym z największych malarzy swojej epoki, że był malarzem genialnym.

Józef CZAPSKI

75-ciolecie Jana Dunin-Karwickiego

Jan Karwicki obchodził niedawno w Sydney 75-tą rocznicę urodzin. Grupce przyjaciół i najbliższych współpracowników przyjemnie było obserwować znakomitą formę Karwickiego, który właśnie zajęty był organizowaniem demonstracji przeciwko układowi jałtańskiemu.

Jan Dunin-Karwicki jest wydawcą i redaktorem *Wiadomości Polskich*, najstarszego pisma polskiego w Australii. Pismo założone zostało w czasie wojny przez ówczesnego konsula generalnego RP, śp. ministra Sylwestra Gruszkę, na użytek niewielkiej wówczas Polonii. Był to powielany biuletyn informacyjny, który po cofnięciu uznania rządowi RP został oddany pod opiekę tutejszej organizacji o szumnej nazwie Polskie Towarzystwo Demokratyczne, po której odziedziczył je Związek Polski.

Karwicki spędził lata wojny w Oflagu Murnau. Po jej zakończeniu był oficerem łącznikowym rządu RP, po cofnięciu mu uznania pracował w UNRRA i IRO, a potem wyjechał do Australii.

Wiadomości Polskie przechodziły różne koleje losu i borykały się z trudnościami zarówno na polu redaktorskim, jak i finansowym. Karwicki podjął się prowadzenia pisma dla Związku, a po pewnym czasie zawarł umowę dzierżawną i od tego czasu prowadzi je sam i jest od jakiegokolwiek organizacji niezależny tak pod względem redakcyjnym, jak i finansowym.

Polonia australijska, licząca ok. 120.000 osób, do których dodać należy kilka tysięcy Polaków w Nowej Zelandii, może sobie pozwolić na dwa pisma — *Wiadomości Polskie*, które sprzedają ok. 5.000 egzemplarzy, i *Tygodnik Polski* (Melbourne) o podobnym nakładzie.

Oba pisma dorobiły się własnych komputerów do składania 'w domu', co niewątpliwie przyczyniło się do uzdrowienia ich sytuacji finansowej.

Redakcyjna linia Karwickiego jest bardzo nieskomplikowana — jest

to nieustepliwa postawa niepodległościowa bez żadnych kompromisów. Od czasu „Solidarności”, a także pod pewnym wpływem młodzieży świeżo przybyłej z kraju, pismo poświęca niezmiernie wiele miejsca przedrukowi z podziemnej prasy krajowej i pism emigracyjnych. W środowisku takim, jak antypody australijskie, łatwiej jest znaleźć talent za pomocą redakcyjnych nożyc, niż otwierając łamy lokalnej twórczości, nie zawsze mogącej się równać z prasą polską w Europie lub Ameryce. Na terenie lokalnym Karwicki jest bardzo ostrożny i stara się nie wywoływać sporów, ale nie zawsze mu się to udaje. Ma on wyraźną — i odwzajemnioną — awersję do endecji, która czasami próbuje „pochwylić rząd dusz”. Zachowując lojalność wobec ośrodka londyńskiego, ma Karwicki zrozumiałe wątpliwości odnośnie niektórych „ambasadorów”, reprezentujących ten ośrodek z mniejszym lub większym powodzeniem, ale z wielkim namaszczeniem. Zaś inflacja orderowa wywołuje kpiny u niego — i nie tylko u niego.

Stosunki z duszpasterstwem polskim są dość delikatne, szczególnie od czasu, gdy doświadczeni księża dominikanie, kapucyni czy misjonarze z Chin zastąpieni zostali przez księży Chrystusowców, którzy w pismach nie zamieszczają swych komunikatów. Nie wiadomo, jaki jest powód tego bojkotu; być może zbyt bezkompromisowa linia jest dla nich krępująca. Niedawno taki komunikat wpadł w ręce Karwickiego. Zapowiadano wieczór dla uczczenia pierwszej rocznicy zamordowania bohaterskiego księdza Popiełuszki. W programie był odczyt o nim i... zabawa taneczna. Telefoniczne protesty redakcji księdza nie przekonały. Różne dawał odpowiedzi: „A, to było dawno temu”... „Od Polaków inaczej pieniędzy wy dostać nie można, jak tylko tańcami...” itp. Karwicki bez wahania zaatakował to niesłychane stanowisko i drukuje listy protestacyjne. Podobnych starć z polskimi księżmi było zresztą kilka. Również stosunki z naszą emigracyjną „nomenklaturą” nie są najlepsze. Przywódcy chętnie by położyli rękę na piśmie, bo to i wpływy, a ostatnio i pieniądze. Poza tym nikt krytyki nie lubi, a cóż dopiero prowincjonalne kacuki w bardzo prowincjonalnym kraju.

Ale solenizant humoru nie traci i nadal dobrą robotę robi, utrzymując tę placówkę kultury polskiej na antypodach, a to chyba najważniejsze.

Ryszard KRYGIER

W A W E L
PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA
w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Książki

W sojuszniczym gułagu

Co nie istnieje na papierze, zaciera się w pamięci zbiorowej. Doświadczenie gułagów stało się udziałem setek tysięcy, może milionów Polaków. Gdyby jednak zgromadzić świadectwa spisane przez ofiary masowych aresztowań i deportacji na wschód, to okazałyby się, że lista nie byłaby zbyt długa, szczególnie w porównaniu z licznymi relacjami b. więźniów obozów niemieckich. Ten brak równowagi w literaturze obozowej jest, jak powszechnie wiadomo, wynikiem restrykcyjnej polityki wydawniczej PRL, gdzie tematyka łagrowa jest obłożona anatemą. Ale nawet na Zachodzie ten rozdział najnowszej historii Polski nadal czeka na badania naukowe, a materiałów źródłowych w postaci dokumentów, wspomnień naocznych świadków, zapisków, listów i in. nie ma tak wiele. W ostatnich latach wydano zaledwie kilka książek poświęconych tej tematyce. Mam na myśli publikacje, które wykraczają rangą i poziomem poza przejmujące, ale nie zawsze umiejętnie spisane pamiętniki. Wśród tych, które ze wszech miar warto przeczytać, znajdują się m.in.: zbiór relacji dzieci polskich *W czterdziestym nas, matko, na Sybir zesłali...*, na podstawie dokumentów złożonych w archiwach Instytutu Hoovera, w opracowaniu i wyborze Jana T. i Ireny Grossów, *Wszystko co najważniejsze* Oli Watowej z opisem m.in. warunków życia na zesłaniu w Kazachstanie oraz przymusowej paszportyzacji Polaków, oraz *Kazachstan* Marii Januszkiewicz. Wymienione tytuły dotyczą czasów wojennych. Natomiast relacje ludzi, którzy wrócili z obozów sowieckich w charakterze „repatriantów” w okresie odwilży, są nadal wielką rzadkością.

Wydana przed kilku miesiącami książka Wiktorii Kraśniewskiej *Po wyzwoleniu... (1944-1956)** stanowi więc wydarzenie, ponieważ dokumentuje los więźniów polskich aresztowanych w ostatniej fazie wojny lub po jej zakończeniu. Relacja Kraśniewskiej urywa się pod sam koniec 1955 roku. W tym sensie jej

* Instytut Literacki, Paryż 1985, str. 269, cena: F. 95,00.

książka mogłaby stanowić trzeci tom trylogii, której lekturę należałoby rozpocząć od *Wielkiej czystki* Aleksandra Weissberga-Cybulskiego (lata trzydzieste) i *Innego świata* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego (okres wojenny). Otrzymałibyśmy w ten sposób polski odpowiednik *Archipelagu Gutag*.

Wartość omawianej książki polega jednak nie tylko na jej warstwie dokumentalnej. *Po wyzwoleniu...* jest także pasjonującą lekturą dzięki cechom osobowości autorki: śmiałości, energii, uporowi, a przede wszystkim darowi obserwacji i zamiłowaniu do konkretności. Założeniem Kraśniewskiej nie było spisanie przeżyć osobistych. W książce, nad którą pracowała pięć lat z przerwami, chciała odtworzyć życie codzienne najpierw w więzieniu, a potem w obozie sowieckim: jak się tam żyło i jak umierało. Autorka odwołuje się do wspomnień własnych, ale jej książka świadczy też o dużej znajomości literatury przedmiotu. Pisząc swoje świadectwo w Polsce z perspektywy czasu, 20 lat po powrocie z Syberii, sięgnęła również do wcześniejszych relacji i na ich tle przedstawiła swój punkt widzenia. Mogła dzięki temu porównać warunki panujące w łagrach w czasie wojny i po jej zakończeniu. Otóż obozy sowieckie, jak wynika z jej uwag, są instytucjami działającymi poza czasem. Zmieniły się aliansy, wybuchły nowe wojny, zmarli wielcy i pomniejsi tyrani, ale byt gułagów pozostał niewzruszony. Owszem, 1948 rok oznaczał dla niektórych łagierników polskich powrót do Polski, ale jednocześnie innych więźniów zesłano w tym czasie do obozów o jeszcze surowszym reżimie. Ci, którzy z niepojętych dla siebie przyczyn nie znaleźli się w transportach do Polski, mieli tym dotkliwsze poczucie beznadziei: ponieważ świat uznał *status quo* w Europie, nie można już było liczyć ani na rząd w Londynie, ani na pomoc aliantów. Cóż z tego, że ich izolacja od świata nie była już tak szczelna, jak to opisuje Józef Czapski w *Na nieludzkiej ziemi*. To, co do nich docierało, odbierało im resztkę złudzeń. Wieści dochodzące z Polski stanowiły dodatkowy szok dla ludzi, którzy myśleli o swoim kraju w kategoriach przedwojennych i nie mogli wręcz pojąć nowej rzeczywistości. Z drugiej jednak strony przepływ informacji był bardzo ograniczony. W *spectagrach* obowiązywał zakaz korespondowania z osobami mieszkającymi poza terytorium Związku Sowieckiego. Była natomiast biblioteczka obozowa. Kraśniewska odnotowuje też na plus w porównaniu z warunkami wojennymi opanowanie pelagry w łagrach, choroby niemal równoznacznej z wyrokiem śmierci. Ale racje żywnościowe i normy katorżniczej pracy pozostały właściwie bez zmian. Ponadto w *spectagrach* więźniów stawał się numerem — odbierano mu nawet prawo do nazwiska.

Po wyzwoleniu... nie jest jednak relacją cierpiętniczą. To swego rodzaju przewodnik po sposobach przetrwania, sposobach zgodnych z normami etycznymi. Na tym właśnie polega siła tej książki. Stanowi ona dowód na istnienie ludzi, którzy nie poddadzą się nigdy i nikomu. W podobnym tonie pisze w więzieniu Adam Michnik. Pokonanie bariery strachu jest tu warunkiem wstępnym. Kraśniewska nie kreuje się zresztą na bohaterkę. To

prawda, że w czasie śledztwa bez ogródek wygarnia to, co myśli o „wyzwolicielach”. Z chwilą skazania jej energia ześrodkowuje się na przetrwaniu. Pomaga współwięźniom gdy tylko może, ale jednocześnie szybko uczy się technik przeżycia w łagrze, przede wszystkim znalezienia lepszej pracy, gwarantującej wyższe racje. Doświadczenie uczy ją, że należy się niekiedy stawiać nadzorcom. Gdy ma okazję — pije wódkę ze współwięźniami. To także dożądanie lekarstwa. Swoje świadectwo składa Kraśniewska mięsistym, pozbawionym patosu stylem. Ma język jędrny, z mnóstwem rusycyzmów, których używa nie tylko w celu uzyskania kolorytu lokalnego. Literacka polszczyzna nie dysponuje, na szczęście, pojęciami niezbędnymi do opisu rzeczywistości obozowej. Mocną stroną książki są realia: wygląd więźniów, ich ubiór, pożywienie, topografia obozów, wyposażenie i zaludnienie cel oraz baraków, narzędzia pracy, zawartość tobołków i drewnianych walizeczek stanowiących cały dobytek. Kraśniewska pisze nawet o latrynach, które zmuszały ich użytkowników do popisów ekwilibrystycznych w czasie mrozów. Z jej książki można się wiele dowiedzieć o warunkach pracy, o traktowaniu chorych, wyglądzie sali operacyjnej, trupiarni i wreszcie o grzebaniu zmarłych. Autorka pisze bez osłonek o fizjologii, bo przecież w obozie człowiek stawał się w końcu udręczonym ciałem.

Pod jej piórem jest to opis plastyczny. Operując szczegółem, autorka *Po wyzwoleniu...* potrafi w kilku zdaniach odtworzyć jakiś epizod w ten sposób, że się go widzi. Jej książkę zaludnia wielojęzyczny tłum więźniów pochodzących z różnych krajów Europy i Azji, nie licząc Związku Sowieckiego. Autorka zaznacza czytelnika z losami niektórych z nich. Każda z tych historii mogłaby się stać tematem osobnego opowiadania: o żołnierzu z frontu fińskiego skazanym na łagry, bo nie chciał się rozstać ze znalezionym w lesie różańcem, o młodej Rosjance, szkolonej na agentkę w Polsce, o jej rodaczce, uwięzionej tylko dlatego, że uniknęła rozstrzelania przez Niemców.

W całej książce Kraśniewska z uporem, konsekwentnie stosuje podział na „my, Europejczycy” i „Rosjanie”. Nie jest to wraz z jej szczególnie zapiekłej nienawiści do współwięźniów-Rosjan, a nawet do nadzorców. Jako zbiorowość Rosjanie częściej budzą w niej uczucie litości. Zebrane doświadczenia każą jej jednak sformułować kategoryczną opinię o przepaści, jaka dzieli Rosjan od Europejczyków. Rosjan po prostu wyklucza ze wspólnoty europejskiej, ponieważ — jej zdaniem — ich reakcje zbiorowe, pojęcie wolności, demokracji, koncepcja władzy, nie mają żadnych punktów stykowych z wartościami kultury zachodniej. Kraśniewska uważa, a nie jest w tym sądzie odosobniona, że w świadomości Rosjan państwo zastąpiło Boga. Zaobserwowana przez nią fatalistyczna bierność, z jaką zekowie rosyjscy przyjmują swój los, ich pokora przed autorytetem, gotowość do uwierzenia we własną winę i odbycia wyznaczonej pokuty, jest właściwie równoznaczna z postawą grzesznika wobec Boga. I na poddanie się woli państwa nie ma wpływu fakt, że ludzie skazują się pod byle jakim pretekstem, a całą machina władzy jest oparta

na jawnym kłamstwie. Jeśli przyjmiemy rozumowanie autorki za trafne, nie ma co liczyć na zmiany w Związku Sowieckim. Skoro taka jest mentalność „politycznych”, jak wielkie musi być wewnętrzne zniewolenie pozostałych obywateli? W tym sensie książka Kraśniewskiej stanowi pośrednio polemikę z Sołżenicynem, który podaje liczne przykłady odmiennych postaw wśród więźniów rosyjskich. Owszem, autorka *Po wyzwoleniu...* przytacza również historię buntu kobiet w Norylsku, już po śmierci Stalina (z przejmującym opisem krzyku kilku tysięcy więźniarek, które ratują w ten sposób od rozstrzelania więźniów) a jest to, jak dodaje, bunt, który stał się tematem legendarnych opowieści w gułagach, ale zbyt często powtarza na stronicach książki swój osąd generalny, by go nie odnotować. Wspomina też na potwierdzenie swoich racji znaczący szczegół: jej współwięźniarki-Rosjanki płakały na wieść o śmierci Stalina. Dla autorki *Po wyzwoleniu...* takie reakcje zbiorowe świadczą nie o latach, lecz wiekach urabiania społeczeństwa. Dlatego w jej mniemaniu władza sowiecka jest tylko kolejną emanacją władzy absolutnej, a „Bolszewistan” — dalszym ciągiem imperium. Do studiów nad aberracjami władzy, ciągle tej samej, choć w nowych przeobrażeniach, obóz pracy nadaje się doskonale, bo jest jakby zminiaturyzowanym państwem, soczewką skupiającą, gdzie wychodzi na jaw nie tylko przemoc, ale i sztywna hierarchia, absurdy gospodarcze, marnotrawstwo na oszałamiającą skalę, fałszowanie planów i statystyk. Książka Kraśniewskiej nie jest wyłączenie próbą zdefiniowania natury łagru, ale i państwa, które go stworzyło. Autorka rzadko wdaje się w rozważania historiozoficzne, niemniej jednak opis realiów prowadzi ją do pewnych wniosków natury ogólnej. Samo istnienie obozów nie jest dla niej żadną zagadką. Są, bo się kalkulują. Na początku lat pięćdziesiątych, jak wspomina, zaczęto gwałtownie rozbudowywać sieć łagrów. Znalazło się w nich wówczas ok. 10 milionów więźniów. Z ołówkiem w ręku autorka wylicza, że więzień zarabiał od 400 do 1.000 rubli miesięcznie, z czego dostawał najwyżej 80. Resztę odprawiano do skarbu państwa. Nawet po odliczeniu kosztów utrzymania i nadzoru zysk był nadzwyczajny. Dla trzeźwo myślącej osoby wniosek nasuwa się sam: „To w dużej mierze baza decyduje o istnieniu obozów, a nie nadbudowa”.

Autorka *Po wyzwoleniu...* w ciągu 12 lat wymienionych w tytule książki odsiedziała blisko rok w więzieniu swego rodzinnego miasta, wcielonego do ZSSR. Następnie deportowano ją na daleką północ. Była na Kołymie, w Norylsku, Dżeskesganie. Pracowała jako pielęgniarka, robotnica, specjalistka od norm w cegielni (ten okres wspomina z pewną nutą sympatii, bo przynajmniej praca była niezle zorganizowana i miała sens, a to już dużo w warunkach obozowych). Na koniec zesłano ją do kołchozu na Syberii, gdzie zrazu była robotnicą rolną, a potem zajmowała się buchalterią. Życie w kołchozie na tle warunków w łagrze było oczywiście dużo lepsze, ale opisanych przez autorkę absurdów tej instytucji nie sposób wymyślić — nie starczyłoby wyobraźni.

W trakcie lektury książki czytelnik dowiaduje się o podstawowych faktach z biografii autorki. Kraśniewska, jak można się domyślać z niedomówień, pochodzi z Wileńszczyzny. Aresztowano ją w 1944 roku za przynależność do AK. Była wtedy młodą kobietą, matką dwojga dzieci. W ciągu lat spędzonych w łagrach nie miała żadnych kontaktów z najbliższymi w Polsce. O okolicznościach aresztowania nie wspomina i daje zdawkową relację z samego procesu, bo nie widzi powodów, aby rozpisywać się o farsach. Została skazana z grupą 13 kolegów-akowców. Mężczyźni dostali po 15, kobiety po 10 lat więzienia z paragrafu 58, a na dodatek 5 lat pozbawienia praw obywatelskich. Stali się bowiem obywatelami sowieckimi.

Po wyzwoleniu... nie jest relacją chronologiczną. Autorka zastosowała podział tematyczny, traktując go zresztą dość swobodnie. Nie jest w końcu ważne, ile lat spędziła w jakim obozie. Natomiast fakt, że przetrucano ją z miejsca na miejsce, że wykonywała wiele różnych czynności, pozwolił jej na zapoznanie się ze specyfiką życia w wielkim obozie i małym, koedukacyjnym i kobiecym. Poznała też dokładnie panującą w łagrach obyczajowość. Rozdział zatytułowany „Miłość” — rozprawka socjo-psychologiczna o życiu erotycznym w łagrze, porusza temat praktycznie przemilczany w innych relacjach. Rewelacje Kraśniewskiej stanowią nie tylko nowy, nieznan element rzeczywistości obozowej. Z czysto literackiego punktu widzenia jest to najlepsza część jej książki. Zacytowane przez nią przykłady „życia małżeńskiego”, „na kocią łapę” i związków homoseksualnych budzą śmiech i trwogę. Miłosne przypadki niektórych par są tragicomiczne, innych tragiczne, jeszcze innych — odstręczające. Ale w końcu pozostaje dla nich wszystkich wielka litość.

W łagrach istniała także namiastka rozrywki: popisy taneczne, występy śpiewaków, nawet zabawy w dni wolne od pracy. Pito również wódkę, którą szmuglowano nawet do *spectagu*. Ta zresztą leje się wszędzie, jak Rosja sowiecka długa i szeroka. Kraśniewska opisuje m.in. kapitalną scenkę w kołchozowym sklepie monopolowym, gdzie zgodnie z przyjętym zwyczajem klienci podchodzą czwórkami do lady, składają się na litrową butelkę, którą ekspientka wprawnie rozlewa, a po wypiciu czwórka ustawia się na końcu kolejki i libacja trwa póty, póki większość czwórek nie zwali się na podłogę.

Polacy, zdaniem Wiktorii Kraśniewskiej, trzymali się na tej nieludzkiej ziemi dobrze. Byli solidarni, wypadki donosicielstwa wśród nich niemal nie zdarzały się, a przecież znajdowali się na samym dnie hierarchii. Adenauer mógł się upominać o jeńców niemieckich, ale rząd w Warszawie nie występował do swego wielkiego sojusznika w obronie obywateli polskich. Co więcej, autorka wspomina o wypadkach przekazywania Polaków przez bezpiekę w ręce MWD jeszcze w 1952 roku. Znałe jej więźniarki polskie zachowały godność i opór. „Gdzie szukać źródeł tej postawy? Nienawiść? Raczej chyba wzdarda, a może poczucie wielkiej kulturowej odrębności, poczucie pogłębiające się jeszcze w miarę nowych doświadczeń”.

A ta właśnie cecha najbardziej irytowała Dostojewskiego u polskich zesłańców opisanych we *Wspomnieniach z domu umarłych*. Więc to także się nie zmieniło?

Renata GORCZYŃSKA

Kwit z "Przechowalni ciemności"

„*Nic mnie nie uratowało. / ŻYJĘ*” — tak brzmiały ostatnie słowa wydanego w 1978 roku *Piątego zbioru wierszy* Ewy Lipskiej. W wierszu, którego pointą były te dwa zdania, chodziło o sytuację jednostki, obawiającej się śmierci lecz zarazem świadomej, że śmierć jest bądź co bądź wygodnym rozwiązaniem: „ratuje” przed życiem, przed odpowiedzialnością, przed ciężarem wolności. Ale w całym tomie chodziło i o coś więcej: nie tylko o egzystencjalną sytuację jednostki, ale i o historyczną sytuację cywilizacji. Również ona skazana jest na alternatywę: albo wolność wraz z nieodłącznym brzemieniem odpowiedzialności, albo rozwiązująca wszystkie problemy — zagłada.

Piętnaście zaledwie wierszy, składających się na wydany obecnie w podziemiu tomik *Przechowalnia ciemności**, wyrasta z tej samej alternatywy, ale przenosi ją na nowy grunt. Do tej pory Lipska była poetką rysującą dalekie analogie pomiędzy jednostką egzystencją a bytem cywilizacji. W obecnym tomie jako zwornik tych dwóch obszarów pojawia się obszar trzeci: doświadczenie określonej społeczności w określonym historycznym momencie. Jak zawsze, Lipska unika bezpośredniego nazywania faktów — spośród poetów pokolenia narodzonego po drugiej wojnie światowej właśnie ta autorka była zawsze najdalej od modelu poezji okolicznościowej czy poetyki „mówienia wprost”, przedkładając nad nie gatunek poetyckiej paroli i poetykę metaforycznej aluzji. A jednak już od pierwszych zdań pierwszego utworu czytelnik nie ma wątpliwości, że wiersze te mówią tym razem całkiem jednoznacznie o doświadczeniu Polski lat osiemdziesiątych:

*Obywatel małego kraju
urodzony nierozważnie na skraju Europy
powołany zostaje do rozmyślań o wolności.
Jako rezerwista nigdy się nad tym nie zastanawiał.
Przerywa poranne karmienie wieloryba
Wertuje słowniki.*

* Ewa Lipska, *Przechowalnia ciemności*. Wydawnictwo „Przedświt”, Warszawska Niezależna Oficyna Poetów i Malarzy, Warszawa 1985, str. 32.

*Parę razy w życiu
przejeżdżał przez wolność tranzytem.
Czasem zjadał lunch*

*i wypijał szklaneczkę soku pomarańczowego.
[.....]
Zawsze jednak wracał.
Do swojej kolekcji wielorybów.
[.....]
Do swoich osobistych obszarów wolności
po których spacerował
w kamizelce ratunkowej
z przewieszoną przez ramię
apteczką pierwszej pomocy.*

(„Obywatel małego kraju”)

Ogólne rozpoznanie sytuacji obywatela Polski u progu lat osiemdziesiątych dokonuje się tu środkami dla Lipskiej wysoce charakterystycznymi. Nie brak, z jednej strony, metaforycznych aluzji tłumaczących się aż nazbyt jednoznacznie: tak np. pod obrazem „wieloryba” nie można się nie dopatrzeć Lewiatana totalitarnego systemu (jedyne, co tę alegorię odświeża, to fakt, że Lewiatan jest najwyraźniej *obłaskawiony*, skoro można go, jak złote rybki w akwarium, „kolekcjonować” i „karmić”). Z drugiej strony wszakże niektóre inne chwytły stylistyczne, na pierwszy rzut oka niepozorne, zmuszają czytelnika do głębszej pracy myślowej i wyciągnięcia bardziej złożonych wniosków. Wieloznaczne okazuje się np. słowo „powołanie”. W pierwszym użyciu sprawia wrażenie, jakby „rozmyślenia o wolności” były *misją*, do której „obywatel małego kraju” jest szczególnie „powołany” — następną linijką wprowadza jednak odmienny sens „powołania”: okazuje się, że jest to *powołanie do wojska*. A więc — taki musi być wniosek interpretacyjny czytelnika — w „małym kraju” na uboczu Europy nawet do „rozmyślań o wolności” nie ma się naturalnego prawa; można być do nich jedynie „powołanym” jak do służby wojskowej, inaczej mówiąc: zmuszonym przez obiektywną, niezależną od jednostki sytuację.

Trafiamy tu w samo sedno tego, co wyróżnia tomik Lipskiej z produkcji poetyckiej ostatnich lat. Cechą szczególną tych piętnastu wierszy jest ich zogniskowanie na problemie jednostkowej wolności i odpowiedzialności w zetknięciu z Historią, rozumianą jako mroczna, nieprzenikalna, niezależna od naszej woli siła — jako tytułowa „przechowalnia ciemności” (motyw ciemności i czerni jest w ogóle w tomiku obsesyjny). Dominacja takiej problematyki znajduje swoje dopełnienie w konsekwentnej perspektywie lirycznej tych wierszy. Ich bohaterem jest z reguły szary „obywatel małego kraju”, który przez splot wypadków „powołany zostaje do rozmyślań o wolności” (lub o jej braku) i który nie bardzo daje sobie z tym zadaniem radę. Na mocy dalekiej ale wyraźnej analogii przypomina się tu Miłoszowy cykl z lat drugiej wojny światowej „Głasy biednych ludzi”, gdzie perspektywa liryczna opierała się na podobnej zasadzie podkreślania dys-

tansu między mówiącym bohaterem wiersza a jego autorem. Lipska również udziela jak gdyby głosu różnym bohaterom, którzy nie są z nią tożsami. Element dystansu narzuca się naszej uwadze dzięki temu, że dyskretnymi ale wyraźnymi środkami podkreślona zostaje naiwność czy ograniczoność psychiki bohatera. Dla niego cała treść wydarzenia historycznego sprowadza się do konstatacji: „Ci [...] zwyciężyli Tamtych” (z wiersza „Ostatni dyżurny”); historia jest nieprzeniknioną „przechowalnią ciemności” i w jej mroku nie wiadomo nic poza tym, że „Ciąg dalszy będzie tylko / następnym lamentem” (z wiersza „Zwierzenia emigranta”). Nie brak też środków bardziej subtelnych, charakteryzujących umysłowość mówiącego drogą pośrednią — nie tyle poprzez treść, ile przez styl jego wypowiedzi. Jednym z częstych zabiegów Lipskiej, służących temu celowi, jest np. infantylizacja wyobraźni mówiącego bohatera, przesylenie jego wypowiedzi dziecięcymi skojarzeniami:

*To nie jest bajka
z tysiąca i jednej nocy.
To jest noc.
Przechowalnia ciemności.
Mroczna spiżarnia
w której stoją
stoiki z czarną porzeczką.*

(„Przechowalnia ciemności”)

Widzenie rzeczywistości historycznej jako mrocznego zagrożenia jest więc perspektywą, z którą autorka niekoniecznie się utożsamia — dopuszczając takie widzenie do głosu i nie odbierając mu sugestywności, zarazem dyskretnie się od niego dystansuje. Dzieje się tak nie tylko poprzez podkreślenia ograniczeń tkwiących w stanowiskach bohaterów (a zatem częściowe pozbawienie ich pełnej wiarygodności), ale i poprzez odwrotność tego zabiegu — nadanie większej wagi i wiarygodności postawie poznawczej samej poetki. Jak do tego dochodzi? Lipska jest świadoma, że głównym terenem zmagania poety z rzeczywistością jest język. Również sytuacja historyczno-społeczna, jaka nastąpiła w momencie wprowadzenia stanu wojennego, przedstawia się jej jako — nie jedynie, ale przede wszystkim — wielka „awaria języka”, powódź zafatszowanych znaczeń:

*W kraju nastąpiła awaria języka.
Monterzy od wczesnych godzin rannych
usiłowali zatrzymać potoki słów.
Zatopione znaczenia opadały na dno.
Wyrazy traciły szyk.
Mowa zaczęła być zależna
od kilku generałów jednego nieboszczyka
w znaku skorpiona papugi
używanej do przenoszenia hasel*

*usłużnych językoznawców
nakręcających język na papiloty.
[.....]
Mówiono o wymianie głosek.
Gwałtownie ustawiano zapory mównic.
Na drzewach rozwieszano megafony.
Zajeżdżały wozy pancerne
z żonglerami słów,*

(„Z cyklu: Wielkie awarie [!]”)

Przytoczony fragment jest szczególnie wyrazistym przykładem zastosowania metody dystansu. Mówiącemu bohaterowi — jeszcze jednemu „obywatelowi małego kraju” — „awaria języka” przedstawia się jako kataklizm, zagarniający wszystko potop. Utajona w wierszu perspektywa samej poetki jest natomiast inna. Jej zdaniem — wyrażonym nie wprost, odczytywalnym tylko w przedsięwziętych operacjach stylistycznych — katastrofie języka można przeciwdziałać. „Zatopione znaczenia” można wydobyc na wierzch. I Lipska demonstruje praktycznie, jak to się robi: choćby tworząc ironiczne wariacje znaczeniowe na kanwie utartych frazeologizmów, takich jak „mowa zależna” („...zależna / od kilku generałów”), „wymiana głosek” („Mówiono o wymianie głosek” tak jak „o wymianie pieniędzy”) itp. Wypowiedzianemu na głos przekonaniu bohatera o tym, że kataklizm historii jest nieodwracalny, przeciwstawia się *nie wypowiedziane, ale demonstrowane praktycznie* przekonanie kreatorki bohatera — poetki — o tym, że krytyczny opór umysłu jest niezwalczony. Niech nas nie zmyli ciemna tonacja tomiku, deklaracje rozpaczki lub zniechęcenia, zawarta w ostatnim wierszu zapowiedź „wycofania się w głąb”. Słowa, które zdają się streszczać w sobie całą porażkę wolności:

*Kiedy zaczynaliśmy mówić
wspólnym językiem
odebrano nam mowę.*

(„Próba”)

— znajdują swoją przeciwwagę w milczącym założeniu, że poezja, przywracając ludziom odebraną mowę, na swój sposób przywraca im wolność.

Stanisław BARAŃCZAK

Szaja Ajzensztok i jego losy

Zawrzeć w jednej, niewielkiej zresztą książce losy trzech pokoleń Żydów w Polsce i ich powiązania z resztą społeczeństwa,

to zadanie niełatwe. Podjął się go Antoni Gołubiew. Oparł swą „udramatyzowaną kronikę” na balladzie Jana Kasprowicza o Szaji Ajzensztoku i tak też ją nazwał. Nie jest to ani powieść, ani dramat, ani nawet kronika w ścisłym tego słowa znaczeniu, ale są to raczej udramatyzowane losy tych ostatnich na ziemiach polskich pokoleń aż do wybuchu ostatniej wojny. (Wydawcą jest katolicki Społeczny Instytut Wydawniczy „Znak” w Krakowie).

Chociaż początek tej wojny kończy książkę Gołubiewa, to jednak w dużej mierze, jak autor sam wyznaje, wpłynęła ona na opisanie losów Szaji Ajzensztoka. Gołubiew pamięta płonące Wilno i gruzowisko Warszawy, wspomina Ponarskie wzgórze, miejsce straceń całej niemal ludności żydowskiej Wilna.

„Gdzieś w głębi uwierało odczucie jakby współwiny, współodpowiedzialności — było to nieuzasadnione, irracjonalne, nieomal histeryczne, ale musiało się rodzić wbrew woli, skoro się nie szło na Ponary tylko dlatego, że miało się 'aryjskich' przodków”.

Myśl tę Gołubiew rozszerza we Wprowadzeniu i zwierza się, że historia o Szaji Ajzensztoku jest jego utworem „najbardziej osobistym”. A komu znany jest bogaty dorobek pisarski Gołubiewa, nie może nie podejść do jego ostatniej książki inaczej, jak również osobiście.

Sam układ książki wprowadza nas w atmosferę tematu. Składa się ona z trzech „świeczników siedmioramiennych”, to znaczy z trzech części, z których każda zbudowana jest z siedmiu sekwencji. Jak wiadomo, siedmioramienny świecznik (menora), używany w religijnych obrzędach wyznania możeszowego, jest niejako symbolem żydostwa.

Dopiero w czasie pisania Gołubiew przekonał się, „jak bardzo oba światy — chrześcijański i żydowski — żyjące obok siebie na tejże samej ziemi, powiązane tysiącnymi węzłami i zależnościami, spotykające się wzajemnie na co dzień — w gruncie rzeczy oddzielone były nieprzebytym murem, dalekie, nieomal obce”.

Ambicją pisarza było wgłębić się w przyczyny tej obcości i wydawało mu się, chyba słusznie, że najlepiej odda tło i klimat tej polsko-żydowskiej rzeczywistości, jeżeli opíše losy jednej rodziny i skupi się „na życiu i tęsknocie kogoś jednego i małego, jakiejś drobniańskiej doli ludzkiej, pozornie dla ogromu świata nie mającej znaczenia”.

Szaja Ajzensztok jest synem drobnego kupca w Nowym Targu. Ojciec jego, wiecznie zagoniony „za grajcarem”, nie ma czasu i nie chce zajmować się narastającymi konfliktami politycznymi i społecznymi tej niewielkiej społeczności, w której żyje. Utrzymuje kontakty z otaczającym go światem, ale tylko o ile wiążą się one z jego osobistym życiem. Stworzył sobie własną filozofię niezajmowania stanowiska po żadnej stronie: nie obchodzą go ani orędownicy pracy organicznej, których reprezentuje Radca, cesarsko-królewski urzędnik administracji miasteczka, ani przeciwnicy wiedeńskiej biurokracji, do których należy miejscowy, na dorobku, Doktor. Obaj spotykają się często i wdają się w dyskusje. Mówią też o Żydach. Radca chciałby jedynie ograni-

czyć ich wpływy w gospodarce kraju, Doktor idzie dalej i, choć nie bez pewnej sympatii dla egzotyki żydowskiej, mówi o „naszym chałcaciarstwie” jako o żywiole obcym, który rośnie kosztem reszty ludności. Ojciec i Szaja mają okazję przysłuchiwania się czasem tym dyskusjom. Ojciec uczy syna, aby zapamiętał sobie te rozmowy, ale odciął się od tych spraw i szedł udeptaną żydowską drogą. Szaja nie potrafi. Szuka celu swego życia. Gnębi go tęsknota za czymś bardziej wartościowym, aniżeli dwa grajcare, które zbiera od każdego wozu, przejeżdżającego przez roгатkę nowotarską. Ojciec bowiem wydzierżawił to myto od magistratu i Szaja przez dziesięć lat, zimą i latem, dniem i często nocą, siedział przy szlabanie. A potem, przez drugich dziesięć lat pchał kramik na kółkach z lemoniadą i kwasem, z którego bardzo był dumny. Szaja ciągle jednak marzył o innym życiu, a przede wszystkim chciał zrozumieć, gdzie jest jego miejsce w świecie. Z jednej strony myślał, że ukojenie znajdzie w Ziemi Obiecanej, pod ścianą żydowskiego płaczu, a z drugiej — czuł bliżej nieokreślone przywiązanie do kraju swego urodzenia. Kiedy w przededniu pierwszej wojny światowej przez roгатkę przechodzi oddział strzelców, Szaja uważnie przysłuchuje się rozbieżności zdań, przechodzącej miejscami w spór, pomiędzy komendantem oddziału i Radcą. Komendant dąży do niepodległości Polski i chce o nią walczyć, a Radca pozostaje przy swej cesarsko-królewskiej orientacji. Szaja słucha z baczną uwagą. W pewnym momencie wykrzykuje z entuzjazmem: „Tatete!... Słyszysz?... Oni chcą jak powstańcy Bar-Kochby...” i widoczne jest, że z wielką sympatią odnosi się do strzelców. Ojciec gasi jednak zapał rozgorączkowanego Szaji: „Ja tobie mówię: Szaj! To ich gojowski interes”.

Pracę przy szlabanie przerwał wybuch wojny i Szaja odbywał służbę w austriackim wojsku. Spisywał się dzielnie. Otrzymał nawet medal za odwagę w ataku na wroga. Wraca do Nowego Targu pełen smutku, smutku wojny. Na wojnie, mówi, człowiek jest tylko numerem, liczbą, a Szaja wszędzie szuka człowieka.

W domu zastała go wielka niespodzianka. Podrósł jego najstarszy syn, Dawidek, który chce być Polakiem, a nawet deklamuje ojcu popularny wierszyk: „Kto ty jesteś? Polak mały”. Szaja, który w międzyczasie zrezygnował z podróży do Ziemi Obiecanej, nie potrafi jednak pogodzić się z dążeniami Dawidka i przestrzega syna: „Ty jesteś Żyd na drogach naszego wygnania. My nie mamy ojczyzny, my możemy tylko czekać, ciągle czekać...”. Niemniej wracają dawne myśli, częściowo pod wpływem ideałów Dawidka, dawna tęsknota, którą ma Szaja w sobie od dziecka. Idzie po poradę do przyjaciela górala, z którym razem przeżył całą wojnę. Zwierza mu się ze swoich tajemnych wątpliwości. Czasem w okopach wydawało mu się, że tam w górze „nad nami, nad Żydem, nad gojem i nad cesarzem, może jest jeden Pan”. Przyjaciel góral waha się. Nie jest pewien. Może jest góralski Pan Bóg i żydowski. „A może On jest jeden?” Szaja jednak cierpi nad decyzją Dawidka, który rwie się, „żeby zrobić tę Polskę”. Udręczony, cierpiący, rozgorączkowany, formułuje

swoje *credo*, i to jest jedno z najbardziej dramatycznych miejsc w książce Gołubiewa: „... widzę, że nie ma już dla mnie ucieczki, że nie mam już gdzie iść, do żadnej Jeruzalem, pod żadną ścianę płaczu, bo nasza żydowska ściana płaczu jest tu, w mojej piersi, w moim sercu, w moim żydostwie i wygnaniu”.

Dawidek i jego dwaj bracia wynieśli się z Nowego Targu i pewnego dnia przyjeżdżają do ojca na zasadniczą rozmowę. Ta końcowa część książki robi najmniejsze wrażenie, a postaci synów zarysowane są schematycznie, według z góry ustalonego wzoru i niekoniecznie wzięte są w całości z życia. Dawidek utrzymał się w swej polskości, a nawet przyjął chrzest i zmienił nazwisko z Ajzensztok na Żelaźnicki. Drugi syn jest komunistą, a trzeci — syjonistą, chce jechać do Ziemi Obiecanej przed przyjściem Mesjasza. Każdy z nich namawia ojca, aby zamieszkał z nim i sprzedał kiosk z lemoniadą. Wygląda na to, że wstydzą się swego ojca w kaftanie, z brodą i pejsami, który wędruje ze swym kramikiem, zarabiając parę groszy dziennie. Postaci synów nie przekonywują, są to raczej stereotypy, które co prawda obrazują główne linie trzeciego pokolenia w książce, ale jednak przecież pomiędzy tymi sztywnymi pierwowzorami istniała wielka ilość niuansów, które dodawały każdej jednostce z osobna kolorów życia.

Z drugiej jednak strony przyznać należy, że Gołubiew już we wprowadzeniu do książki wyjaśnił, że pisze raczej kronikę, albo nie-filmowy scenariusz, aniżeli powieść. Stąd nieco szkicowy charakter całej kroniki, która częściej pyta, aniżeli odpowiada, ale stanowi tworzywo do dalszych rozmyślań i rozważań. I w tym także leży ogromna wartość utworu.

Żydzi w dialogu utworu mówią w specjalnej tonacji (czyli jak to się mówiło „żydłaczą”) i nierzadko łamaną polszczyzną. Gołubiew, chcąc, w najlepszej zresztą intencji, przedstawić aktualne tło swej kroniki, jednak nieraz przesadza. Doskonałym przykładem właściwego umiaru w tej dość delikatnej sprawie jest Stanisław Vincenz, który doskonale wywiązywał się z zadania. Ciekawe, że gwara góralska w książce bynajmniej nie razi, chyba dlatego, że górale istnieją i jeszcze tak mówią, a społeczności żydowskiej, która tak mówiła, już nie ma. Może to być więc również subiektywne odczucie niejednego czytelnika, zrodzone z pamięci o tragicznej żydowskiej zagładzie.

Stary ojciec nie chce opuścić domu i synowie zostawiają go samego. Szaja żydowskim zwyczajem idzie na grób ojca, aby go zapytać „jaka jest droga żydowska”? Zwierza mu się ze swych wątpliwości i walki wewnętrznej całego życia. I wtedy z daleka odzywa się głos psalmisty, który go zapewnia, że Pan opiekuje się ludem Izraela i w nim jest jedyna ostoja. Szaja, spokojniejszy, zapewnia, że już teraz wie, gdzie jest jego Ziemia Obiecana. Domyślać się należy, że w jego wierze, w nim samym. Czytelnikowi znowu nasuwają się pytania, na które — z góry wiadomo — nie będzie odpowiedzi. Przez cały utwór jakby czerwona nicią ciągnie się przekonanie, że Żyd, każdy Żyd jest naznaczony przez Boga, że nie posiada ojczyzny, że nie ma po co żyć i umierać i

może tylko czekać, ciągle czekać na drogach swego wygnania. Tak sobie Gołubiew wyobrażał los żydowski. Oczywiście jest to tylko poetycka przenośnia. Żydzi w ciągu ich długiej historii nie istnieli zawieszani w próżni, odcięci od świata, a przynajmniej nie wszyscy. Jaki jest koniec i cel tego czekania? Jest to jeszcze jedno pytanie, na które w książce nie znajdujemy odpowiedzi. Prawdą jest tylko, że szli swą własną starotestamentową drogą.

Kiedy wybucha druga wojna światowa i wojska niemieckie zbliżają się do Nowego Targu, synowie chcą ojca zabrać z miasteczka i razem uciec przed hitlerowską nawałą. Szaja znowu odmawia i znowu zostaje sam. Nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa, które mu grozi. Hitlerowski żołnierz odrzucił podaną mu szklankę lemoniady z jednym tylko słowem „Jude”. Końca Szaji nietrudno się domyślić.

„Szaja Ajzensztok” poświęcony jest przyjacielowi autora, który nazywał się Saul Sarnaker. Jego sylwetce Gołubiew poświęca szereg stron w wprowadzeniu i pod koniec wyjaśnia: „Nie tylko ze względu na moje osobiste przywiązanie i miejsce, jakie zajmuje on do dzisiaj w mej pamięci, lecz także na myśl o hańbie dni, które spowodowały jego koniec, jemu właśnie dedykuję tę opowieść”.

Józef LICHTEN

Igraszki formy z tragedią

Hanna Krall (ur. w roku 1937) była reportażystką *Życia Warszawy* i *Polityki*, autorką zbiorów reportaży i głośnej książki o Marku Edelmanie — *Zdążyć przed Panem Bogiem*¹. *Sublokatorkę*², swoją najnowszą książkę, opublikowała w wydawnictwie emigracyjnym. O ile wiem, jej fragmenty miały być drukowane w nieistniejącym już krakowskim miesięczniku *Pismo* i nie ukażały się na skutek interwencji cenzury.

Przeczytałam najpierw *Sublokatorkę*, a potem dopiero książkę o Edelmanie, zniechęcona faktem, że to Hanna Krall, a nie Marek Edelman figuruje jako jej autor. Wyobrażałam sobie tę książkę inaczej, bardziej na podobieństwo zainspirowanego przez Miłosza *Mojego wieku* Aleksandra Wata.

Pierwsze strony *Sublokatorki* przypomniły mi Zofię Romanowiczową: skrajna subiektywizacja, liryczność i niepozabawiona kokieterii autoironiczność narracji. Przepieszczenie stylu bardziej uzasadnione w prozie autorki *Baški i Barbary*, nie licujące z tematem obydwu książek Krall. Ich forma jest łudząco do siebie

1. Hanna Krall, *Zdążyć przed Panem Bogiem*, WL, Kraków 1977 (pierwodruk w *Odrze* 1976).

2. Hanna Krall, *Sublokatorka*, „Libella”, Paryż 1985, str. 156.

podobna, z tą różnicą, że w *Zdążyć przed Panem Bogiem* mitygowana jest z konieczności wypowiedziami Marka Edelmana, często zresztą graficznie tak zacieranymi, że trudno odróżnić, kto mówi. W *Sublokatorce* metoda została doprowadzona do maniery. Jest to maniera służebna wobec koncepcji książki, tyle na jej dobro, którą jest identyczność opowiadającej i opowiadanej, narratorki i bohaterki, Polki i Żydówki. I służy jej, ale służy źle. *Sublokatorka* w swoim założeniu jest szlachetną mistyfikacją. Nie tylko literacką, także psychologiczną. Za dziesięć lat mało kto potrafi cokolwiek z niej zrozumieć, pomimo ważkości tematu i serdecznego zamiaru. Wielka szkoda, bo chodzi w niej także o wiedzę; historyczną i polityczną w niemniejszym stopniu niż psychologiczną.

Hanna Krall próbuje w *Sublokatorce* metodami najbardziej subiektywnymi zobiektywizować dwa światy: „ciemny” Żydów i „jasny” Polaków. Ma do tego prawo, bo jej własny los, czy też los *Sublokatorki*, był wystarczająco typowy. Ale od nadmiaru dobrej woli i wysiłku pęka w książce forma, a tym samym główne jej założenie, któremu forma została podporządkowana. Jedną z najlepszych stron książki (zdumiewające, że dotyczy to również *Zdążyć przed Panem Bogiem*) jest nieobecność antysemityzmu. To tylko wyostrza problem.

Forma narracji przyjęta przez autorkę dodatkowo zostaje zaciemniona przez nadrzędną dla książki formę listu, na pierwszych stronach wyraźną (i przypominającą znakomite słuchowisko Herberta *Listy czytelników*), później coraz bardziej zanikającą, z jednym niemrawym powrotem przy samym końcu książki. O adresacie dowiadujemy się, że ojcem jego był premier Sławoj-Składkowski, a ulubionym aktorem niejaki Zbigniew S., który w bliżej nieokreślonym paradokmentalnym filmie „udaje, że jest zaopatrzniowcem”. Posłużę się tym określeniem: *Sublokatorka* jest paradokmentalną powieścią i paraautobiografią.

Wyizolowany z szerszego tła, rozgrywany w kameralnych scenach i dość skąpych dialogach temat staje się podrzędny wobec formy i akrobatycznej psychologicznej koncepcji. Jest nim zaś próba zrozumienia całego kompleksu zagadnień, całej problematyki polsko-żydowskiej od ostatniej wojny, według Hanny Krall jest to możliwe tylko poprzez takie wczucie się w mentalność i psychikę drugiej strony, aż zatracona zostanie granica między osobowościami, pochodzeniem, rolami społecznymi. To jednak, co niemożliwe w życiu, nie zawsze udaje się w literaturze.

Problem „jasności” i „ciemności”, podstawowy według Krall dla zrozumienia różnicy między Polakami i Żydami, pojawia się już w bardzo drastycznym obrazie w *Zdążyć przed Panem Bogiem*. I dokładnie tym samym obrazem powraca w *Sublokatorce*. W książce o Edelmanie czytamy:

Na spotkanie z przedstawicielami partii jechał tramwajem, po raz pierwszy od wyjścia z getta jechał tramwajem i stała się z nim wtedy straszna rzecz. Zapragnął nie mieć twarzy. Ale nie dlatego, że ktoś zwróci uwagę na niego i go wyda, tylko poczuł, że ma odrażającą czarną twarz. Twarz z plakatu ŻYDZI — WSZY — TYFUS PLAMISTY. A tu wszyscy stoją

dookoła i mają jasne twarze. Są ładni, spokojni, mogą być spokojni, bo są świadomi swojej jasności i urody...

Pokazywali dziś w telewizji Krystynę Krahełską. Też miała jasne włosy. Pozowała Nitschowej do pomnika Syreny, pisała wiersze, śpiewała dumki i zginęła w warszawskim powstaniu wśród słoneczników... Cóż to za piękne życie i piękna śmierć. Prawdziwie estetyczna śmierć. Tylko tak należy umierać. Ale tak żyją i umierają piękni i jaśni ludzie. Czarni i brzydzący żyją i umierają nieefektywnie: w strachu i ciemności.

Wszystko co dobre i złe w *Sublokatorce* wywodzić się będzie — na szczęście nie z pełną konsekwencją — z tego przeciwstawienia. Ale prozą rządzą inne prawa niż poezją. Symbole (a w *Sublokatorce* jest ich znacznie więcej), które dobry wiersz z reguły jest w stanie udźwignąć, rzadko służą prozie.

To co w *Zdążyć przed Panem Bogiem* razi tylko miejscami — bo czytelnik zapada się jak w studnię w przeraźliwą treść książki — w *Sublokatorce* staje się manieryczne, i co gorsza minoderyjne. Książka o Edelmanie jest uczciwym — także dzięki stylowi, a nawet stylizacji — dochodzeniem do prawdy. Próbą wydobywania prawdziwej motywacji psychologicznej powstania w getcie, tej motywacji, która stała się najcięższym oskarżeniem strony polskiej, a o której nie ma potrzeby tu pisać. Są w niej sformułowania, także własne sformułowania Hanny Krall, które nieco z ukosa trafiają w sedno problemu. Na przykład kiedy Marek Edelman tłumaczy jej, na czym polegało umieranie w getcie:

Moje dziecko — mówi — musisz to wreszcie zrozumieć: to jest straszna rzecz, kiedy się idzie tak spokojnie na śmierć. To jest znacznie trudniejsze od strzelania. Przecież o wiele łatwiej się umiera strzelając, o wiele łatwiej było umierać nam niż człowiekowi, który idzie do wagonu, a potem jedzie wagonem, a potem kopie sobie dół, a potem rozbiera się do naga... — Już to rozumiesz? — pyta.

— Tak — mówię. — To tak. — Bo przecież o tyle łatwiej nam (podkr. moje — jkh) patrzeć na ich śmierć, kiedy strzelają, niż na człowieka, który kopie sobie dół.

„Założmy na chwilę — pisze H. Krall w *Sublokatorce* — że ja, narratorka, noszę nazwisko osoby będącej autorką niniejszej książki”. „Noszę nazwisko” nie zawsze oznacza „jestem tożsamością”. Konsekwencją — zamierzoną przez pisarkę — jest wzbudzenie w czytelniku podejrzenia (rosnącego w trakcie lektury), że narratorka, bohaterka, a być może także autorka są jedną i tą samą osobą. Wbrew zdrowemu rozsądkowi, wbrew samej intencji książki, w której chodzi w końcu o dojście do paru podstawowych i dość oczywistych prawd. Prawd dotyczących różnic, nie podobieństw. I wbrew wielu fragmentom książki pisanym tak realistycznie, że czytelnik nie może nie poczuć się zawiedziony, kiedy raz za razem dowiaduje się, że padł ofiarą sztuczki i kolejnej mistyfikacji.

W *Sublokatorce* prawie wszystko podane zostaje w wątpliwość albo po prostu ją budzi. Śmierć ojca narratorki w komorze gazowej Majdanka (najpierw uwierzytelniona narracją, potem

zanegowana), kolejne życiorysy majora Kralla, rzekomego ojca narratorki, nawet opowieść o Marii i Marcie, do których Jezus przychodzi w gościnę. (Sublokatorka i narratorka na zmianę noszą obydwa imiona). Jedna z wersji życiorysu majora kończy się opisem mieszkania, w którym ukrywała się Sublokatorka. I przyznam, że tak właśnie wyobrażałam sobie w całości książkę Hanny Krall:

Duże, mroczne mieszkanie Krallów było jednym z wielu w życiu naszej sublokatorki. Do każdego przychodziła z równie dużych i odchodziła w równie mroczne. Jak mówiła mi, wszystko było zadziwiająco podobne do siebie. Ten sam gabinet nieobecnego gospodarza, którego znało się tylko z powiększonych zdjęć — stał na nich wyprostowany i smukły, z wąsem i w rogatywce. Dalej — pokój chłopca, który nigdy nie nocował w domu, fortepian w salonie, dziadek, który godzinami nabijał tytoniem gilzy i przedwojenna, wierna służąca.

Lub jak ów wyśmienity, zniuansowany psychologicznie obraz domu dziecka, do którego Sublokatorka trafiła po wojnie (teraz, kiedy odczytuję ten fragment, wydaje mi się on upiększony literaturą, prawda była taka — i w tym cała groza — że potem byliśmy zupełnie normalnymi dziećmi):

Tylko trzy osoby nie mówiły nic i o nic nie pytały: ksiądz od czelady, pani od pszczoł i Julian Tuwim. Tak, Tuwim nie popełnił błędu pani Boguszewskiej i nie dał się tym cynicznym typom nabrać na ich powierzchowność siedmio- i dziesięcioletnich dzieci. Obrzucił je tylko jeden raz spojrzeniem, o coś zapytał i chyba się przestraszył czegoś, bo zaraz odszedł, pośpiesznie, nie odwracając nawet głowy. Kiedy później przyjeżdżał co niedzielę, próbowały różnych sztuczek (...), śmiejąc się przy tym bez troski, jak to dzieci, ale nic nie pomogło. Tuwim mijał je szybko, nie patrząc, biegł do niemowlaków i godzinami czytał im swoje wiersze.

Wszystkie historie opowiedziane w tej książce są autentyczne, także te opowiedziane w trybie przypuszczającym, bo każda z nich mogła się wydarzyć. Nieautentyczna, fikcyjna jest tylko teza, że dwa różne życia mogą się przydarzyć jednemu człowiekowi, że można istnieć w dwóch formach jednocześnie (pomijam wypadek Jekylla i Hyde'a, bo nie o to w książce chodzi). Aby tego dopiąć, aby w jakiś sposób uprawdopodobnić swój zamiar, autorka posługuje się narracją powieściową (na zmianę pierwszą i trzecią osobą), reportażem i dokumentami, to podważając, to uwierzytelniając literacką autentyczność swej książki. Ale jakkolwiek by było, jej druga osobowość — obojętne która — może istnieć tylko potencjalnie. I autentyczność jednej musi podważać autentyczność drugiej.

Na stronie 34, rozpoczynając pasjonującą opowieść o losach Bernarda R., Hanna Krall pisze: „Pragnę to wreszcie powiedzieć wyraźnie. Ja, córka majora Kralla, jestem jasnym wariantem losu mojej sublokatorki. (Czy może na odwrót, sublokatorka jest czarnym wariantem losu mojego). Zaś major Krall mógłby być wariantem jasności Bernarda Rajnicza”. (Chyba powinno być: jasnym wariantem...). To są wnioski, które należą do pedagogiki

literackiej. Gdyby problemy psychologiczne — a w związku z nimi narracyjne — nie były w *Sublokatorce* tak konsekwentnie zamazywane, czytelnik sam z łatwością wysnułby ten wniosek.

A jednak czasem udaje się zapomnieć tę programową podwójność i wysiloną intencjonalność. Bogate doświadczenie, wyostrożony zmysł obserwacji sprawiają, że w książce odnajduje się w skrócie to, co w Polsce od zakończenia wojny dla obydwu stron było najistotniejsze. Major Krall jest majorem Krallem, obojętne czy i w jaki sposób przeżył wojnę: jego los w każdej wersji jest typowy i prawdopodobny. Bernard R., obojętne kiedy i w jaki sposób los zetknął go z majorem, jest lwowskim Żydem z biednej rodziny, który w gimnazjum spotkał komunizm. I rzeczywiście jest ciemnym — czyli w świadomości Polaków zawsze mniej akceptowanym — wariantem majora Kralla. Najbardziej wiarygodnie splatają się ich losy podczas procesu majora, aresztowanego w roku 1947 „za organizowanie spisku przeciw władzy ludowej w Wojsku Polskim”. Przebieg procesu uwiarygodniony jest cytatami z dokumentów, które autorka zbiera w trakcie pisania książki (jest to więc dodatkowo rodzaj *work in progress*). Powołany na świadka Bernard R. zeznaje zgodnie z prawdą, czyli na korzyść majora (za co później otrzymuje naganę partyjną). I w ten sposób, pomimo „gdybania”, rozwija się w tej książce historia PRL-u, ułożona według losów dwóch par protagonistów: narratorki i sublokatorki, komunisty żydowskiego pochodzenia i polskiego majora. Gdyby ustawić je po przekątnej — Bernard i sublokatorka w jednej parze, major Krall z córką w drugiej — przez nie przebiegałby podział na „jasność” i „ciemność”. Ostrość tego podziału zostaje na szczęście zatarta przez uczciwość Bernarda i przez respekt majora dla jego uczciwości.

Powoli, ze straszonym mozołem, dochodzi w *Sublokatorce* do zamiany losów, a potem do utożsamienia Polki i Żydówki. Czytelnik domyśla się wreszcie — choć do końca książki nie może czuć się pewny — że cały czas miał do czynienia z jedną i tą samą osobą. Z jej losów Hanna Krall wyłuskuje dokładnie to, co potrzebne jej było do uzasadnienia swej tezy (i jest to teza słuszna, choć włos się od niej jeży i choć osobiście nigdy w pełni nie potrafię jej zaakceptować). Oto opis reakcji małej Żydówki w drugi tydzień Powstania Warszawskiego, kiedy obydwie dziewczynki wychodzą na podwórko. Świetny opis; moją nieufność wzbudza tylko umiejętność tak celnego sformułowania problemu przez dziecko):

Nagle zauważyłam, że z sublokatorką dzieje się coś dziwnego. Nie słuchała co mówią z głośnika, tylko zadzierała głowę i z niezwykle zadowoloną miną rozglądała się po obecnych. (...) Wierciła się, obserwowała reakcje ludzi, podchwytowała je, wymieniała uśmiechy, słowem brała żywy udział w zgromadzeniu. Z kolei postanowiła pójść na spacer. — Już strzelają — powstrzymywałam ją. Acha — potwierdziła sublokatorka i zobaczyłam na jej twarzy wyraźne zadowolenie. — Strzelają. Chodźmy. — Złapała mnie za rękę i zaciągnęła na sąsiednie podwórko. — Strzelają — powtórzyła znowu. — Do wszystkich...

Przełom psychologiczny w życiu Sublokatorki następuje w momencie, kiedy zaczyna trenować „jasność”. Początek treningu — co wydaje się naciągane — przypada na wypadki poznańskie. Przyczyna: niemożność odnalezienia wspólnoty z tłumem wiwatującym na cześć demonstrantów, poczucie samotności. Przepraszam za fachowy ton w sprawach tak bolesnych ale odnoszę wrażenie, iż trenowanie „jasności”, czyli decyzja bycia drugą stroną, należy raczej do okresu dzieciństwa i bardzo wczesnej młodości. W wieku, w którym Sublokatorka decyduje się przejść na stronę „jasnych”, ja i moi rówieśnicy trenowaliśmy odmiennosć, czyli naszą własną żydowskość i chętnie prowokowali obcością. (To tylko na marginesie, bo trudno wykluczyć że inni reagowali inaczej).

W gorących dniach marca '68 Sublokatorka przebywa w Moskwie. Jej *alter ego*, czyli narratorka, odbiera co wieczór telefony z zapytaniami o sytuację w kraju. I próbuje wyobrazić sobie strach innych ludzi: własnego ojca, dziadka Sublokatorki (który także zginął w Majdanku), Bernarda. I to jest w jakimś sensie apogeum tej książki; wbrew jej dziwacznej koncepcji i konstrukcji. Próba wczucia się w drugiego człowieka bez identyfikacji. Na ten temat pisał Grynberg w *Prawdzie nieartystycznej*; brutalniej, nie rozszczepiając słowa na czworo, bez cienia nadziei, że taka operacja w ogóle jest możliwa:

Zbyt wcześnie wszedłem w rolę nie-Żyda i jako „naturańczyk” wszedłem w nią tak dokładnie, że wyzyłem się wszelkich tradycyjnych nawyków żydowskich, lękowych i nielekowych. Stając się jednym z „Aryjczyków”, zbyt dokładnie ich poznałem, aby się ich bać. (...) Nie znaczy to, że nie boję się antysemityzmu. Boję się go tak, jak wszelkiego ludzkiego zwyrodnienia, czy bestialstwa. (...) Strach poczułem znacznie później, gdy zrozumiałem, co na moich oczach się stało. Strach ten, wraz z doświadczeniem życiowym, coraz bardziej we mnie wzrasta. (...) Boję się nie tylko antysemitów, ale w ogóle ludzi.

Problem „jasności” i „ciemności” pojawia się przy końcu książki jako autoterapia. Wniosek wydaje się oczywisty: „Terapia będzie prosta: żeby wyćwiczyć jasność, należy przeżyć czerń, porządnie i do końca”. Tak i mnie się zdaje. Tego uczą podstawowe zasady psychoanalizy, logoterapii Victora Frankla, który był więźniem Oświęcimia i potoczne ludzkie doświadczenie. Na moment znów rozdwojone, narratorka i Sublokatorka opowiadają sobie raz jeszcze dzieciństwo ukrywanej, czyli leczą pamięć pamięcią. I tak dochodzimy do 13 grudnia 1981, kiedy Sublokatorka po raz pierwszy odczuwa w sposób naturalny własną „jasność”, czyli wspólnotę z innymi. I choć moment wydaje się zbyt efektywnie dobrany (i naciągany do końcowego wniosku), sama teza wydaje się prawdziwa; doświadczyłam jej na własnej skórze w tym samym czasie, choć w innej geografii. Tyle — i tutaj się nie zgadzamy — że ja po raz pierwszy odczułam ją w sierpniu 1980 i że moja radość zamącona była wyrzutami sumienia.

Autoterapia nie sprowadza się na szczęście do definitywnego rozstania się w sobie z tą małą, ukrywającą się przed laty Żydówką. Mała odchodzi wprawdzie, ale odchodząc ostrzega, że zabiera ze sobą poczucie intensywności życia, dane tylko tym, których uratował cud albo przypadek.

Pora na pozytywną tezę, że wierność swojej roli ofiary — a w każdym razie wierność pamięci — może doskonale iść w parze z poczuciem wspólnoty z innymi. Tak i mnie się czasem wydaje. Ale książka kończy się gorzko. Warunkiem obopólnej akceptacji — zdaje się mówić Krall — jest poczucie wspólnego zagrożenia. Wracamy do fragmentu z warszawskiego podwórka, do ulgi odczuwanej na myśl, że wszystkim grozi to samo niebezpieczeństwo. W ostatnim fragmencie narratorka tak przemawia do Sublokatorki (w duchu):

„Możecie z nami być.

Wtedy dopiero, w naszym ponizeniu i strachu, kiedy strzelają do wszystkich.

No to macie sporo.

NARESZCIE MOŻECIE BYĆ Z NAMI”.

Bardzo to wszystko jest smutne.

Janina KATZ HEWETSON

Nadesłane nowości wydawnicze

- ORWELL (George). *Eseje*. Z angielskiego przełożyła Anna Husarska. Str. 291 i 13 nlb. (Wyd. Puls Publications, Londyn 1985).
- BIENKOWSKA (Ewa). *Dane odebrane*. Str. 179 i 5 nlb. (Wyd. Puls Publications, Londyn 1985).
- WIERZBICKI (Piotr). *Lokaj (i inne felietony)*. Str. 121 i 5 nlb. (Wyd. Puls Publications, Londyn 1985).
- WIERZBICKI (Piotr). *Myśli staroświeckiego Polaka*. Str. 98 i 5 nlb. (Wyd. Puls Publications, Londyn 1985).
- SKRZYPOSZEK (Christian). *Wolna trybuna*. Str. 378 i 2 nlb. (Wyd. Pogląd, Berlin Zachodni 1985).
- WOJNOWICZ (Włodzimierz). *Życie i niezwykle przygody żołnierza Iwana Czonkina*. Z rosyjskiego przełożył Władysław Doron. Str. 164 i 4 nlb. (Wyd. Polonia Book Fund, Londyn 1985).
- KARPIŃSKI (Jakub). *Polska; Komunizm; Opozycja. Słownik*. Str. 345 i 7 nlb. (Wyd. Polonia Book Fund, Londyn 1985).
- PROKOP (Jan). *Szczególna przygoda życia nad Wisłą. Studia i szkice literackie*. Str. 174 i 2 nlb. (Wyd. Polonia Book Fund, Londyn 1985).
- Jalta wczoraj i dziś. *Wybór publicystyki 1944-1985*. Str. 231 i 1 nlb. (Wyd. Polonia Book Fund, Londyn 1985).

- HELLER (Michał), NIEKRICZ (Aleksander). *Utopia u władzy*. Tom I. Przełożył z rosyjskiego Andrzej Mietkowski. Str. 301 i 3 nlb. (Wyd. Polonia Book Fund, Londyn 1985).
- ŁATYŃSKI (Marek). *Nie paść na kolana. Szkice o opozycji lat czterdziestych*. Str. 636 i 4 nlb. (Wyd. Polonia Book Fund, Londyn 1985).
- NOWAKOWSKI (Marek). *Wilki podchodzą ze wszystkich stron*. Str. 120. (Wyd. „Polonia” Bookstore and Publishers Co., Chicago USA, 1985).
- FOLEK (Tadeusz). *Vademecum prawne cudzoziemca w RFN (pobyt cudzoziemców, azyl polityczny, obywatelstwo, adopcja)*. Str. 270 i 2 nlb. (Wyd. Księgarnia „Wawel”, Kolonia, RFN, 1985).
- NOWAKOWSKI (Marek). *Tutaj całować nie wolno*. Str. 88. (Wyd. „Polonia” Bookstore and Publishers, Chicago USA).
- KELUS (Jan Krzysztof). *Piosenki prawie zebrane*. Str. 118 i 2 nlb. (Wyd. PFK, Londyn 1985).
- POSPIESZALSKI (Antoni). *Wiara szukająca zrozumienia. Eseje*. Str. 303 i 1 nlb. (Wyd. PFK, Londyn 1985).
- Napaść sowiecka i okupacja polskich ziem wschodnich (wrzesień 1939)*. Praca zbiorowa pod auspicjami Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie. Red. prof. dr J. Jasnowski i prof. dr E. Szczepanik. Str. 112. (Wyd. PFK, Londyn 1985).
- Polska 1985. Spojrzenie na gospodarkę*. Str. 81 i 7 nlb. (Wyd. Libertas, Editions Spotkania, Paryż 1985).
- KORWIN-SOKOŁOWSKI (Adam Ludwik). *Fragmenty wspomnień 1910-1945*. Str. 205 i 13 nlb. (Wyd. Editions Spotkania, Paryż 1985).
- GRABSKI (O. Ryszard Czesław). *Gdyby nie Opatrzność Boża... Wspomnienia zesłańca 1940-1955*. Str. 116 i 8 nlb. (Wyd. Editions Spotkania, Paryż 1985).
- ADAMCZYK (Rudolf). *Czyściec*. Str. 53 i 9 nlb. (Wyd. Editions Spotkania, Paryż 1985).
- KUCZYŃSKI (Józef, ks.). *Między parafią a lagrem*. Str. 91 i 4 nlb. (Wyd. Editions Spotkania, Paryż 1985).
- ZENCZYKOWSKI (Tadeusz). *Samotny bój Warszawy*. Str. 196 i 10 nlb. (Wyd. Editions Spotkania, Paryż 1985).
- CYWIŃSKI (Bogdan). *Rodowody niepokornych*. Str. 396 i 4 nlb. (Wyd. III, wyd. Editions Spotkania, Paryż 1985).
- TISCHNER (Józef, ks.). *Polska jest ojczyzną. W kręgu filozofii pracy*. Str. 192 i 8 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż 1985).
- VANIER (Jean). *Wspólnota miejscem radości i przebaczenia*. Str. 306 i 2 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż 1985).
- HARNIČEK (Martin). *Mięso. Z czeskiego przełożył Janusz Anderman*. Str. 94 i 2 nlb. (Wyd. Veto Verlag, Berlin Zach. 1985).
- KACZMARSKI (Jacek). *Mój zodiak*. Str. nlb. (Wyd. Independent Polish Agency, Lund, Szwecja, 1985).
- ROMANOWICZOWA (Zofia). *Baśka i Barbara*. Wyd. II. Str. 223 i 1 nlb. (Wyd. Libella, Paryż 1985).
- KOWALIK (Jan). *Krzyż Malika*. Str. 56. (Wyd. Sigma Press, Albany, USA, 1985).
- KORASZEWSKI (Andrzej). *Najślabsze ogniwo*. Str. 81 i 1 nlb. (Wyd. Arka-Jedność, Sztokholm 1985).
- MIERZYŃSKA (Zofia). *I odpuść nam nasze winy...* Str. 96 i 2 nlb. (Wyd. ZL Song, Chicago 1985).
- MIERZYŃSKA (Zofia). *Wakacjuszka!* (cz. III). Str. 61 i 1 nlb. (Wyd. ZL Song, Chicago 1985).
- 25 lat Fundacji im. Kościelskich w Genewie (1959-1984)*. Str. 44. (Wyd. Fundacja im. Kościelskich, Genewa 1984).
- Kalendarz „Dziennika Polskiego” 1986. Str. 173 i 3 nlb. (Wyd. Dziennik Polski, Londyn 1985).

- Almanach 1986*. Str. 361 i 1 nlb. (Wyd. Gwiazda Polarna, Stevens Point WI, 1985).
- GÖMÖRI (George). *Norwid o Mickiewicz — spojrzenie poromantyczne*. (Nadbitka ze „Studia Norwidiana” nr 1/1983, Warszawa, str. 71-80).
- Kalendarz Polonii światowej 1986. Str. 64. (Wyd. Polish „Domek”, Bethlehem Ct., USA, 1985).
- HENTCHEL (Kazik). *Liturgie polonaise*. Str. 187 i 7 nlb. Przeł. z polskiego Gabriel Meretik. (Wyd. Robert Laffont, Paryż 1985).
- BÖLL (Heinrich). *A l'occasion de sa mort — choix d'articles nécrologiques et le dernier interview*. Str. 63 i 1 nlb. (Wyd. Inter Nations, Bonn 1985).
- BRAUN (Jerzy, opr.). *Poland in Christian Civilization*. Str. 633 i 9 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1985, cena £24,60).
- Cross Currents. A Yearbook of Central European Culture* Nr 4. Wyd. L. Matejka i B. Stolz. Str. 452 i 4 nlb. (Wyd. University of Michigan, Ann Arbor 1985).
- ŚWIĘTOCHOWSKI (Tadeusz). *Russian Azerbaijan, 1905-1920. The Shaping of National Identity in a Muslim Community*. Str. 256 i 2 nlb. (Wyd. Cambridge University Press, Cambridge, cena £25).
- Journal Comparative Study of Civilization*, vol. I, 1985. Str. 122. (Wyd. Canadian Society for the Comparative Study of Civilizations, 1985).
- LERSKI (George J.). *Nonviolent Solidarity w: Poland's Solidarity Movement*, wyd. Loyola University of Chicago, 1984).
- JĘŚMAN (Czesław). *Zygmunt Sowa-Sowiński: The Miniatures*. Album. Str. nlb. (Wyd. Caldra House, Howe, Sussex, Wielka Brytania).
- LIPSKA (Ewa). *Auf den Dächern der Mausoleen. Gedichte*. Przełożyli Karl Dedecius, Peter Raina, Witold Wirpsza. Str. 66 i 6 nlb. (Wyd. Oberbaum Verlag, Berlin Zachodni 1983).
- MICHNIK (Adam). *Polnischer Frieden. Aufsätze zur Konzeption des Widerstands*. Przeł. Helga Hirsch. Str. 157 i 3 nlb. (Wyd. Rothbuch Verlag, Berlin Zach. 1985).
- ZAGAJEWSKI (Adam). *Stündlich Nachrichten. Gedichte aus zehn Jahren*. Str. 73 i 7 nlb. Przełożył Karl Dedecius. (Wyd. Oberbaum Verlag, Berlin Zach. 1985).
- Landkarte schwer gebügelt. Neue polnische Poesie 1968 bis heute*. Opr. Peter Raina. Przekłady: Karl Dedecius, Maria Kurecka, Peter Lachmann, Peter Raina, Witold Wirpsza. Posłowie Witold Wirpsza. Str. 133 i 3 nlb. (Wyd. Oberbaum Verlag, Berlin Zach. 1985).
- WAADE (Silvia). *Baracke 7. Frauenschicksale hinter Stacheldraht. Viele gingen den Weg nach Sikawa (1945/46)*. Str. 106 i 4 nlb. (Wyd. Westkreuz Verlag, Berlin-Bonn 1985).
- LAMMICH (Siegfried). *Der Popieluszk-Prozess. Sicherheitspolizei und katholische Kirche in Polen*. Str. 108 i 4 nlb. (Wyd. Verlag Wissenschaft und Politik, Kolonia 1985).
- SADYKIEWICZ (Michael). *Die sowjetische Militärdoctrin und Strategie*. Str. 203 i 1 nlb. (Wyd. Bernard und Graefe Verlag, Koblenz 1985).
- Desinformation um Solidarność*. Str. 30 i 2 nlb. (Wyd. Schweizerische Aktion für das Selbstbestimmungsrecht aller Völker, Zurych 1985).
- Ostdeutsche Gedenktage 1986*. Str. 273 i 7 nlb. (Wyd. Kulturstiftung der deutschen Vertriebenen, Bonn 1985).
- ORION (Jarosław). *Boh i religia (osnovni pytanja)*. Str. 407 i 1 nlb. (Wyd. Objednannia Ukrajinciw Ridnoji Wiry, Hamilton, Kanada, 1985).
- ORION (Jarosław). *1000-letnia chrystijanstwa*. Str. 40 i 2 nlb. (Wyd. „Widroźdzennia”, Australia 1983).
- KLIMA (Ivan). *Milenci na jeden den*. Str. 67 i 5 nlb. (Wyd. Rozmluvy, Londyn 1985).

- Rozmowy nr 5/1985. Str. 222 i 2 nlb. (Wyd. Rozmowy, Londyn 1985).
- POPIELUSZKO (Jerzy). *Sermones en Varsovia*. Przeł. Basili Girbau. Str. 234 i 8 nlb. (Wyd. Arin, Hiszpania, 1985).
- NOWAKOWSKI (Marek). *Raport o ratnom stanju*. Przeł. Biserka Rajčić. Str. 94 i 2 nlb. (Wyd. Bi-
- blioteka „Euroreworopa”, Belgrad 1984).
- MIŁOSZ (Czesław). *Arcképe és versei*. W: „Vigilia” nr 5/1985, Budapeszt 1985.
- BOJTAR (E.). *Mechanizm literatury (Puszkina i Esterhazy)*. (Nadbitka z „Studia Slavica Hung.”, XXVIII, 1982).

Nowości wydawnicze

TOM 404 — ADAM MICHNIK

Z DZIEJÓW HONORU W POLSCE

Wypisy więzienne

Próba analizy problemu honoru we współczesnej literaturze polskiej ilustrowana fragmentami utworów Zbigniewa Herberta, Hanny Malewskiej, Czesława Miłosa, Jana Józefa Szczepańskiego oraz Henryka Elzenberga i Witolda Kuli.

Str. 288.

Cena F. 95,00.

TOM 405 — JAN MUR

DZIENNIK INTERNOWANEGO

(GRUDZIEŃ 1981 - GRUDZIEŃ 1982)

Str. 200.

Cena F. 85,00.

W BIBLIOTECE « KULTURY »

TOM 409 — WIKTORIA KRAŚNIEWSKA

“PO WYZWOLENIU”... (1944-1956)

Wspomnienia młodej Polki, która po „wyzwoleniu” została zaarrestowana wraz z innymi Akowcami i następnie wywieziona do Związku Sowieckiego gdzie w więzieniu i łagrach przeżyła 12 lat. O cierpieniach Polaków wywiezionych do ZSSR po klęsce wrześniowej ukazały się setki książek i wspomnień, ale nie mieliśmy dotąd świadectwa tych których wywieźli „wyzwoliciele”. Wstrząsające wspomnienia Wiktorii Kraśniewskiej wypełniają tę lukę.

Str. 272.

Cena F. 95,00.

KRAJ — BLOK WSCHODNI

7-10-85

Nowe odkrycie polskiej gastronomii: *kotlety z chleba*. Oto przepis: suchy bochenek namoczyć w mleku, odcisnąć, przepuścić przez maszynkę razem z 4-5 cebulami. Do masy dodać 2 jaja, sól, pieprz, dokładnie wyrobić. Hormować kotlety i smażyć na rozgrzanym oleju aż się dobrze zarumienią. Doskonałe z każdym sosem.

20-10-85

Krakowski *Przekrój* podaje, że w miejscowości Klanjec w Jugosławii w galerii rzeźb znanego rzeźbiarza Augustyncica znajduje się rzeźba Marszałka Piłsudskiego na koniu z szablą w dłoni. Była ona zamówiona przez rząd RP w 1937 roku i miała być dostarczona we wrześniu 1939.

28-10-85

P. Jadwiga Sosnkowska otrzymała specjalny „złoty ekran 1984” za udział w cyklu programów telewizyjnych, poświęconych jej mężowi, gen. Kazimierzowi Sosnkowskiemu. ■ Tegoroczne nagrody literackie młodych im. Stanisława Piętaka otrzymali: Jan Tulik za tom wierszy pt. „Budzenie licha”, Krystyna Dulak za zbiorek „Nadpoprawdzie”, Edward Kubiszewski za powieść „Pochować w sierpniu” i Marek Obarski za powieść „Tańczący grono-staj”.

29-10-85

Zmarł w Krakowie, w wieku 79 lat, Tadeusz Hołuj, pisarz reżymowy i znany kolaborant.

7-11-85

Obrzydliwość. Jerzy Lobman zamieścił w *Trybunie Ludu* z 7 listopada br. poniższą pochwałę Jałty pt. „Naprawiacze historii”:

... „Nie jest prawdą, że Jałta i Poczdam to umowy wyłącznie czy głównie w sprawie Polski. Ale prawdą jest, że sprawa ta zajmuje w nich nie mało miejsca, że o ile my nie jesteśmy sprawą w tych umowach najważniejszą, to umowy te pozostają najważniejsze dla naszej pozycji międzynarodowej i samego bytu państwowego w jego nowym kształcie. Tyle razy udowodniano już, że w dzisiejszym świecie Polska istnieć może jako państwo znaczące tylko w systemie jałtańsko-poczdamskim i tylko w systemie zawartych przez nią sojuszy, iż powtarzanie tej argumentacji wydaje się zbędne. Jest to podstawa naszego bytu — z różną może argumentacją, ale uznana przez wszystkich uczciwych Polaków. Jeśli znajdują się ludzie, którzy tego nie chcą uznać, którzy na wszelkie możliwe sposoby występują się w tej sprawie Białemu Domowi, to trzeba stwierdzić, że niezależnie od tego czy przebywają za granicą, czy w kraju, niezależnie od tego w jakie się ubierają szatki, nie stanowią już „tendencji politycznej”, „opozycji”, czy czegoś tam jeszcze, lecz są zwyczajnymi agentami i współdziałają z wrogimi nam siłami. Historii oczywiście, podobnie jak ich mocodawcy, nie cofną. Układu realiów nie zmienią. Ale też nie są, nawet mylącymi się, politykami. Po prostu kolaborantami”.

16-11-85

Znany pisarz Leopold Buczkowski obchodził 80-tą rocznicę urodzin.

ZACHÓD — EMIGRACJA

15-9-85

W Chicago odbyła się uroczystość poświęcona pamięci Hallerczyków, którzy 65 lat temu zorganizowali się jako Stowarzyszenie Armii Polskiej w Ameryce.

1-10-85

W belgradzkim Teatrze Dramatycznym miała miejsce premiera sztuki Witolda Gombrowicza „Iwona, księżniczka Burgunda”.

14-10-85

Zmarł w Tel-Awii Michał Tonecki, dramaturg, autor scenariuszy filmowych i wielu słuchowisk radiowych. Jego sztuki teatralne „Hiob”, „Motyl”, „Klinika lalek”, „Otwórzcie okno, może ktoś wyskoczy” grane były w Polsce głównie w teatrach prowincjonalnych, natomiast słuchowiska radiowe zdobyły wielkie powodzenie międzynarodowe i emitowane były niemal przez wszystkie znaczące radiofonie świata. Czterokrotnie reprezentowały one polską radiofonię na festiwalu „Prix Italia” oraz radiofonię izraelską. Przyniósł autorowi wiele nagród, między innymi radia jugosłowiańskiego, katolickiego radia Hilversum, nagrodę roku 1980 radiofonii austriackiej. Michał Tonecki wyemigrował z Polski w 1969 roku.

21-10-85

Zmarł w Stanach Zjednoczonych, w wieku 72 lat, Antoni Gronowicz, pisarz, poeta i dramaturg, autor około 30-tu książek z pogranicza grafomanii, natomiast bardzo reklamowany w Polsce Ludowej.

2-11-85

Zmarł w Sarcelles (Francja) w wieku 85 lat prof. Wołodimir Kubijowycz, prezes Naukowego Towarzystwa im. Szewczenki w Europie, naczelny redaktor Encyklopedii Ukrainoznawstwa. Na cześć zmarłego Instytut Encyklopedii Ukrainoznawstwa będzie odtąd nazywał się Instytutem Encyklopedii Ukrainy im. Wołodymira Kubijowycza. Pamięci prof. Kubijowycza poświęcimy w najbliższym czasie obszerniejszy artykuł.

3-11-85

Zarząd Towarzystwa Miłośników Nauki i Sztuki w Kopenhadze przyznał honorową nagrodę „Złotej róży” dyrektorowi Tadeuszowi Głowackiemu ze Sztokholmu za popieranie kultury polskiej na obczyźnie.

5-11-85

Żołnierz sowiecki, który schronił się w ambasadzie USA w Kabulu, „z własnej woli” opuścił ambasadę i oddał się w ręce władz sowieckich.

7-11-85

Stanisław Lem został laureatem austriackiej Nagrody Państwowej w dziedzinie literatury europejskiej za rok 1985. Nagroda wynosi 200.000 szylingów.

8-11-85

Polityczna Komisja Parlamentu Europejskiego postawiła wniosek o ustanowienie nagrody im. Sacharowa w dziedzinie wolności myśli. Nagroda ta będzie przyznawana corocznie dziełu literackiemu, esejowi czy badaniom naukowym poświęconym stosunkom między Wschodem i Zachodem z zakresu swobodnej twórczości i obrony praw człowieka.

12-11-85

Kardynał Władysław Rubin został z powodu złego stanu zdrowia zwolniony na własną prośbę z urzędu prefekta Kongregacji do Spraw Kościołów Wschodnich. Na jego miejsce został mianowany Hindus, ks. kardynał Simon Lourdusama.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

7 października na wiecu w Madison Square Garden wystąpił Louis Farrakham, jeden ze skrajnych działaczy murzyńskich. Farrakham jest przywódcą sekty odłamu Czarnych Muzułmanów, liczącej nie więcej jak 20.000 wyznawców, ale wystąpienia jego są wśród Czarnych wielce popularne. Farrakham, poza tym że proponuje Murzynom amerykańskim rzeczy całkiem rozsądne, jak naukę, inicjatywę w przemyśle i handlu, uważa się za człowieka nawiedzonego przez Boga. Jest zażartym antysemitą: nazwał kiedyś judaizm religią „rynsztokową” (tego się obecnie wyparł). Mówił, że Żydzi niesłusznie uważają się za naród wybrany: narodem wybranym są Murzyni. Zarzucił Reaganowi, że jest odpowiedzialny za to, że Stany Zjednoczone są opanowane przez Żydów, którzy uczynili z tego kraju instrument polityki imperialnej Izraela. Pomoc finansową dla czarnej ludności Stanów w wysokości 5 milionów dolarów obiecał mu płk Khadaffi. 5 milionów dolarów wydaje się kwotą niezbyt wygórowaną, w związku z czym podejrzywam, że płk Khadaffi w awans czarnej rasy w Ameryce nie wierzy. Farrakham otrzymał także pomoc polityczną i finansową ze strony dość nieoczekiwanej. Poparł go Tom Metzger, b. szef oddziału Ku-Klux-Klanu w Kalifornii, obecnie przewodniczący innej rasistowskiej grupy, „Stowarzyszenia Politycznego Białych Amerykanów”, w swych celach zbliżonego do K.K.K. Jak wiadomo, Ku-Klux-Klan przez ponad wiek był przede wszystkim szermierzem praw Białych przeciw Czarnym, chociaż Żydzi również nie cieszyli się jego względami. W każdym razie byli, jeśli tak można rzec, w „drugiej kolejce”. Obecnie są w pierwszej, gdyż przewodniczący Metzger i jego stowarzyszenie uznali, że głównym niebezpieczeństwem dla Ameryki są Żydzi i że należy wesprzeć czarnych rasistów, jeśli ci ostrze swych ataków kierują przeciwko Żydom i Izraelowi. ■ Sowiecki marynarz Mirosław Medwed zeskokzył ze statku handlowego „Marszałek Koniew” u ujścia Mississipi blisko Nowego Orleanu. Medwed podpłynął do brzegu, gdzie zatrzymany został przez urzędników imigracyjnych, którzy, nie rozumiejąc — jak twierdzili — czego sobie życzy sowiecki marynarz, próbowali go odesłać na statek. Medwed wyskoczył z odprowadzającej go na statek łodzi i powtórnie dopłynął do brzegu, skąd po raz drugi, ale tym razem bez możliwości ucieczki, został odeskortowany na statek. Z pokładu dawał znaki widoczne na brzegu, przykładając w sposób wymowny rękę do gardła. Najwidoczniej jego sygnały były w dalszym ciągu niezrozumiałe dla amerykańskich funkcjonariuszy na brzegu. Następnego dnia okazało się jednak, że wyjaśnienie służby emigracyjnej były kłamliwe, ponieważ nie mogący go zrozumieć urzędnicy emigracyjni i straż nadbrzeżna, które w takich wypadkach współdziałają ze sobą, posłużyli się tłumaczką rosyjsko-angielską, która z Nowego Jorku tłumaczyła im przez telefon, co mówił Medwed. Tłumaczka Irena Padoch oświadczyła że przekazała zarówno straży granicznej jak i funkcjonariuszom emigracyjnym prośbę Medweda o azyl. W odpowiedzi na wyjaśnienia p. Padoch władze emigracyjne stwierdziły, że tłumaczka wada źle angielskim i dlatego jej nie rozumiano. Ponieważ stanowisko to znalazło poparcie w Departamencie Stanu, wszystko wskazywało na to, że Medwed zostanie przymusowo odesłany do Sowieców.

Jasne było, że sekretarz stanu Shultz przed wizytą w Moskwie nie chce mieć żadnych kłopotów z Kremlem. O sprawie dowiedziała się już opinia publiczna i zabrało głos kilku senatorów. W tym stanie rzeczy prezydent Reagan zarządził dochodzenie. Od momentu pierwszej próby ucieczki Medweda minęły jednak już trzy dni — czas wystarczający, żeby niesfornego marynarza „przeszkolili” właściwe organa sowieckie przydzielone do załogi statku. Spotkanie ze sprowadzonym z frachtowca Medwedem odbyło się już poza statkiem. Obecni byli: przedstawiciel Departamentu Stanu, amerykański lekarz, pewien pan ze służby emigracyjnej, dwóch urzędników ambasady sowieckiej, sowiecki lekarz z okrętu i dowódca statku. Medwed spędził jedną noc na łądzie w hotelu pod silną i bezpieczną obstawą. Rankiem w czasie konferencji oświadczył, że niczego bardziej nie pragnie jak powrotu do ojczyzny. Innego oświadczenia trudno się było spodziewać. „Marszałek Koniew” odpłynął bez przeszkód z Medwedem. ■ Schwytnięcie pięciu terrorystów w powietrzu i doprowadzenie ich do bazy NATO na Sycylii przez samoloty amerykańskie z lotniskowca „Saratoga” wprowadziło Amerykanów w stan kilkuniedniowej radosnej euforii. Jednocześnie wywołało konflikt między Włochami, Egiptem a Stanami. Dotychczas Ameryka doświadczała na swojej skórze, jakie są koszty ulegania terrorystom, ostatnio poznała jakie są koszty ich schwytnięcia przy tej liczbie protektorów, jakimi dysponują na całym świecie. Obecnie euforia już przeszła i publiczność amerykańska żyje w obawie represji, jakie mogą ją spotkać za to, że Ameryka odważyła się schwytnięć terrorystów. Z 6 zakładników amerykańskich więzionych gdzieś w Libanie jeden — Buckley — został już zamordowany, a organizacja Jihad (Święta Wojna) zaproponowała następującą wymianę: zwrot jednego nieboszczyka za 50 żywych terrorystów. Ktoś rzucił myśl, by organizacje terrorystyczne wydawały pasażerom zachodnich linii lotniczych roczne przepustki za odpowiednio wysoką opłatą, które zwalniać ich będą od obowiązku „zakładnicstwa”. Pomyśl wydaje się nie nowy. W innej formie prowadzi tę praktykę rząd NRD. Aresztuje co jakiś czas pewną ilość osób, które następnie zwalnia w drodze wykupu przez RFN. ■ Na skutek zabiegów senatora demokratycznego Ernesta Hollinga kredyty przeznaczone na Fundusz Krzewienia Demokracji zostały obcięte przez komisję budżetową Senatu z 18 milionów na 10 milionów dolarów.

Z. B.

KRONIKA FRANCUSKA

W związku z pierwszą rocznicą śmierci księdza Jerzego Popiełuszki w paryskim kościele Saint-Merri odbyło się spotkanie, podczas którego Jean Offredo i Sylvie Genthail czytali fragmenty kazań księdza Jerzego. ■ Imię księdza Popiełuszki nadano jednej z ulic podparyskiej miejscowości Issy-les-Moulineaux. ■ Paryski Centre d'Action Poétique zorganizował wspólnie z francuskim PEN-Klubem w końcu października w krypcie kościoła św. Madeleine wieczór poświęcony poezji prześladowanych i wygnanców. Prezes PEN Klubu René Tavernier oraz ośmiu członków Klubu odczytali wiersze poetów francuskiego ruchu oporu oraz współczesne wiersze poetów z krajów Europy Wschodniej, Azji i Ameryki Południowej. Wiersze Miłosza, Herberta i Zagajewskiego czytał w swoim tłumaczeniu Konstanty Jeleński. ■ W starym i nowym ośrodku księży Pallotynów odbyło się kilka interesujących spotkań. Ewa Bieńkowska wygłosiła w Centre du Dialogue odczyt pt. „Czy demokracja jest możliwa”, w dn. 16 listopada Jan Błoński i Ludwik Flaszen mówili o niedawno zmarłym w Polsce pisarzu — Andrzeju Kijow-

skim. Włodzimierz Press odczytał nieopublikowane jeszcze opowiadanie Kijowskiego pt. „Czarny zeszyt”. Gościem paryskiego ośrodka był również 23 listopada Jan Strzelecki, który mówił na temat „dialogu w obronie praw człowieka w okresie okupacji”. W cyklu „niedzielne popołudnia w Montmorency” księża Pallotyni zorganizowali wielkie spotkanie z okazji Zaduszek, w czasie którego została odprawiona msza św. za zmarłych spoczywających na starym cmentarzu Montmorency, po czym pisarz i malarz Jan Winczakiewicz wygłosił odczyt o historii cmentarza i polskiej w nim obecności. Zgromadzeni uczestniczyli również w modlitwach-medytacjach nad polskimi grobami; przy grobach Mickiewiczów, Niemcewicz i Norwida — Krzysztof Jeżewski, Daniel Olbrychski i Wojciech Pszoniak recytowali okolicznościowe wiersze. Drugie spotkanie zostało nazwane „popołudniem mickiewiczowskim”. Po mszy św. prof. Tadeusz Domański wygłosił odczyt z okazji 150-tej rocznicy pierwszego wydania „Pana Tadeusza”. Aktorzy recytowali fragmenty poematu. ■ W muzeum podparyskiej miejscowości Saint-Maur-des-Fosses (Villa Medicis) zaprezentowano wystawę rzeźb Leclerca i Franciszka Blacka, polskiego artysty, który mieszkał i tworzył prawie całe życie w Paryżu (zm. w 1959 roku). ■ Krzysztof Turowski obronił we Francuskim Instytucie Prasowym pracę doktorską na temat polskiej prasy podziemnej w stanie wojennym (analiza 57 numerów *Tygodnika Mazowsze*). Zainteresowani będą mogli zapoznać się z tą pracą w Bibliotece Polskiej w Paryżu. ■ W związku z Tygodniem Więźnia Politycznego w Polsce (pierwsze dni listopada) paryski Komitet Koordynacyjny NSZZ „Solidarność” przeprowadził wielką akcję na rzecz obrony praw więzionych. Do najważniejszych redakcji pism na całym świecie została rozesłana obszerna dokumentacja na temat aktualnej sytuacji w więzieniach w Polsce. Komitet rozesłał także kilkaset listów z apelem na rzecz organizowania akcji obrony więźniów do głównych związków zawodowych, organizacji społecznych i politycznych oraz do osób prywatnych na całym świecie. Apelowi towarzyszyła petycja do rządu i sejmowi PRL, w której podpisujący domagali się natychmiastowego zwolnienia więźniów politycznych. Do paryskiego Komitetu dotarło ponad cztery tysiące podpisów, co jest tylko częścią wszystkich jakie zebrano, bowiem niektóre listy były wysyłane bezpośrednio do adresatów. Akcji zbierania podpisów towarzyszyły liczne spotkania na temat Solidarności i aktualnej sytuacji w Polsce, wystawy znaczków, wydawnictw podziemnych, zdjęć etc. W licznych kościołach odprawiono msze św. w intencji więźniów, np. w samym tylko podparyskim sektorze Sainte-Geneviève-des-Bois msze w intencji polskich więźniów politycznych odbyły się aż w dziewięciu kościołach. W związku z tą akcją wyraźnie daje się zauważyć — przynajmniej we Francji — zwiększenie aktywności związków zawodowych i różnych organizacji obrony praw człowieka w niesieniu pomocy dla represjonowanych i ich rodzin w Polsce. ■ 22 listopada br. prof. J. Błoński wygłosił w Bibliotece Polskiej w Paryżu odczyt pt. „Znaczenie literatury dla Polski i emigracji”. ■ Jeszcze w październiku br. odbyło się w Bibliotece Polskiej w Paryżu staraniem Koła Byłych Żołnierzy AK spotkanie poświęcone zagadnieniu: „Los żołnierzy Armii Krajowej w roku 1945”. ■ Pracownicy działu artystycznego Zbiorów Towarzystwa Historyczno-Literackiego apelują o pomoc na rzecz konserwowania zbiorów. Wobec skromnych możliwości finansowych, THL nie jest w stanie zapewnić konserwatorskiej opieki wszystkim zebranym dziełom. Dary można składać na adres THL — 6, Quai d'Orléans, 75004 Paris. ■ Rowmund Piłsudski opowiadał w lokalu redakcji miesięcznika *Kontakt* o programie i działaniach powstałej przed czterdziestu laty grupy politycznej — „Niepodległość i Demokracja” (NiD). R. Piłsudski jest jednym z twórców Polskiego Ruchu Wolnościowego „NiD”.

W. SIKORA

KRONIKA KANADYJSKA

25 września br. zmarł w Montrealu dr inż. Bolesław Szczeniowski, emerytowany profesor wydziału fizyki na politechnice w Montrealu, który przybył do Kanady podczas wojny. W Polsce był profesorem Politechniki we Lwowie. ■ Florian Śmieja, poeta, tłumacz i profesor hiszpanistyki na Western Ontario University w London, był głównym mówcą bankietowym na konferencji poświęconej współczesnej poezji ukraińskiej, która odbyła się w dniach 4-6 października na University of Ottawa. ■ 11 października br. odbyło się w Toronto spotkanie zorganizowane przez Studium Spraw Polskich, na którym przedyskutowano aktualny temat „Sprawa Polska — dialog pokoleń”. W dyskusji uczestniczyli pp. Andrzej Targowski, Tomasz Arciszewski i Andrzej Kawczak, a prowadził ją Jerzy Wojciechowski. ■ W dniach 12-14 października odbyły się walne zjazdy delegatów Związku Polaków w Kanadzie (w Thunder Bay) i Związku Narodowego Polskiego w Kanadzie (w Kitchener). Obie organizacje wybrały nowych prezesów i przeprowadziły nieznaczne zmiany personalne we władzach. Prezesem ZPwK został Stanisław Rogóż, a prezesem ZNPwK Franciszek Twaróg. Kadencje zarządów są dwuletnie. ■ Ośma konferencja Canadian Ethnic Studies Association odbyła się w Montrealu w dniach 16-19 października. Głównym tematem były problemy imigrantów i grup etnicznych w miastach Kanady. Obrady dotyczyły się równolegle w kilku sesjach, wygłoszono kilkadziesiąt referatów, przedstawiając m.in. dyskryminację poszczególnych mniejszości, wzajemne stosunki grup etnicznych, trudności mieszkaniowe, językowe itp. Naświetlano wyniki rządowej polityki wielokulturowości. Paweł Boski, profesor psychologii w Queen's University w Kingston, Ontario, wygłosił prelekcję pt. „On becoming a Canadian or remaining a Pole” („Stać się Kanadyjczykiem czy pozostać Polakiem”), w której przedstawił wyniki badań tożsamości etnicznej, przeprowadzonych wśród ostatnio przybyłych imigrantów polskich. Maria Zielińska, kierowniczka Multilingual Biblioservice Biblioteki Narodowej Kanady w obszernym referacie przedstawiła stan bibliotek grup etnicznych w miastach. Wydział, który prowadzi, kupuje książki obcojęzyczne i zaopatruje w nie biblioteki w różnych miejscowościach, ponadto spełnia rolę doradcy, informatora, rozjemcy, opracowuje katalogi itp. ■ Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie urządził 20 października w gmachu Credit Union parafii św. Stanisława i św. Kazimierza w Toronto kiermasz książki polskiej, prezentując książki wydane w kraju i na emigracji. W tydzień później odbył się kiermasz w Hamiltonie, połączony ze spotkaniem przy mikrofonie autorów Wacława Iwaniuka, Jadwigi Jurkszus-Tomaszewskiej, Adama Tomaszewskiego i Edwarda Zymana. ■ Polski Instytut Naukowy w Montrealu zaprosił na odczyt Bohdana Osadczyka, wybitnego publicystę ukraińskiego. Prelekcja odbyła się 25 października na terenie uniwersytetu McGill. Referat „Doświadczenia i możliwości współpracy polsko-ukraińskiej” wywołał duże zainteresowanie. ■ Profesor Edward Możejko wygłosił na zaproszenie Towarzystwa Kultury Polskiej w Edmontonie 31 października odczyt na temat „Dylematy współczesnej literatury polskiej”. ■ Dnia 9 listopada zmarł w Toronto przeżywszy lat 75 Marian Chyliński, jeden z czołowych działaczy SPK, współorganizator zbiórki na budowę domu organizacyjnego, jego kierownik, prezes, wiceprezes — piasnował różne stanowiska. Kpt. rezerwy, po kampanii wrześniowej w ZSSR, później w Drugim Korpusie, po zakończeniu wojny osiadł w Kanadzie. ■ Z okazji 5-lecia Katedry Ukrainoznawstwa University of Toronto urządzono wieczór artystyczny oraz wystawę książek poświęconych problemom historii i kultury ukraińskiej. Impreza odbyła się 23 listopada w Hart House na terenie uniwersytetu.

B. H.

KRONIKA NORWESKA

Norwegia jest ostatnio zalewana uciekinierami irańskimi (głównie komunistami). Co tydzień przyjeżdża kilkadziesiąt osób. ■ Węgry starają się zwiększyć obroty handlowe z Norwegią. Ich wartość wynosi obecnie 22 mln dolarów. Norwedzy mają 25 % nadwyżkę eksportową w stosunku do Węgrów. ■ Na dzień przed odlotem do Warszawy odwołał oficjalną wizytę w PRL norweski wiceminister spraw zagranicznych Torbjorn Froynsnes. Powodem była odmowa wiz wjazdowych dla dziennikarzy z gazety VG. W uzasadnieniu władze PRL podały, że linia redakcji tej gazety nie prowadzi do poprawy stosunków między PRL i Norwegią, oraz że każdy kraj ma prawo do własnej polityki wizowej. Prasa norweska przypuszcza, że władze PRL celowo doprowadziły do odwołania wizyty w obawie przed zaplanowanym na 7 października br. spotkaniem Froynsnesa z Lechem Wałęsą. ■ Związek Architektów Norweskich wystosował do władz w Warszawie apel o zwolnienie Czesława Bieleckiego — warszawskiego architekta oskarżonego między innymi o pracę w podziemnym wydawnictwie CDN. ■ Więźniem listopada został ogłoszony przez Solidaritet Norge - Polen Stanisław Kotowski z Warszawy, skazany za pracę w niezależnym ruchu wydawniczym na karę 3 i pół roku więzienia.

Paweł GAJOWNICZEK

KRONIKA SZWEDZKA

W dniach 5-8 sierpnia br. odbyła się w Sztokholmie w ramach „Nobel Symposium 62” konferencja na temat „Literatura słowiańska i modernizm”. Organizatorami byli profesor slawistyki Nil Ake Nilsson i Akademia Szwedzka. Sponsorami tego naukowego spotkania byli Fundacja Nobla, Bank Szwedzki oraz Fundacja Wallenbergów. Nauka polska reprezentowana była przez profesorów Jana Błońskiego z Krakowa, Krystynę Pomorską z Cambridge, Mass. oraz doktorów Grzegorza Gaźdzę z Łodzi i Jerzego Jarzębskiego z Krakowa. ■ 21 września br. zorganizowano wystawę ośmiu polskich malarzy awangardowych w ramach niezwykle ciekawej inicjatywy Moderna Museet w Sztokholmie, które zaprosiło ich prosząc o zaproponowanie kolejnych ośmiu malarzy szwedzkich lub innych, z którymi czują twórczą wspólnotę duchową. Lesław i Wacław Jannicy zaprosili Gilberta i George'a, Edward Krasinski — Larsa Engrunda, Henryk Stażewski — Daniela Burenca, Zbigniew Gostomski — Barry Flannagana, Maria Stangred — Christiana Boltanskisa, Tomasz Tatańczyk — Susan Rothenberg a Leon Tarasiewicz Iana McKeevera. Wystawie poświęcono wiele obszernych i pochlebnych recenzji. ■ Dnia 22 września zmarł po ciężkiej chorobie inżynier Marian Duda, żołnierz AK, uczestnik Powstania Warszawskiego. Po przybyciu w 1970 roku jako uchodźca do Szwecji włączył się do organizacji niepodległościowych, działając zwłaszcza w Polskim Związku b. Więźniów Politycznych i w Kongresie Polaków w Szwecji. ■ Na początku jesieni, w Tessinparken w Sztokholmie kilku młodych aktorów szwedzkich wystawiło sztukę Sławomira Mrożka „Trzechpanów w łódce” pod szwedzkim tytułem „Pa villande hav”. ■ 1 października br. staraniem Towarzystwa Przyjaciół Kultury paryskiej odbył się w lokalu Oponu wieczór autorski Adama Zagajewskiego, zaszczytnie wyróżnionego nagrodą szwedzkiego PEN-Clubu. Jest to nowo ufundowana nagroda, której sponsorem jest rząd, a kandydatów

wybiera PEN-Club. Znamienne jest, że pierwszym laureatem tej nagrody jest Polak, zamieszkały obecnie w Paryżu. ■ 26 października br. odbył się w Sztokholmie walny zjazd delegatów Krajowego Oddziału SPK - Szwecja. Prezesem wybrano ponownie p. Zofię Stadfors, b. ochotniczkę 2-go Korpusu generała Andersa. ■ 1 listopada Komisja Praw Człowieka w Genewie po dwudniowym przesłuchaniu przedstawicieli rządu udzieliła nagany Szwecji. Przesłuchanie dotyczyło rzekomego nieprzestrzegania przez Szwecję konwencji o prawach człowieka, a spowodowane było m.in. generalnym odmawianiem azylu. Komitet nie zadowolili się tłumaczeniem szwedzkich delegatów i zażądał dodatkowych wyjaśnień. ■ Szwedzki Czerwony Krzyż zaprostestował ostro przeciw prowadzonej ostatnio szwedzkiej polityce imigracyjnej. Szef Czerwonego Krzyża, Börje Sjöqvist, domaga się od rządu i od Urzędu Imigracyjnego wstrzymania wydalania uchodźców z Libanu aż do wyjaśnienia sprawy rzekomego torturowania i rozstrzelania dwóch uchodźców wydalonych do Libanu ze Szwecji. ■ Szwedzki Związek Antyrasistowski skrytykował surowo sposób traktowania uchodźców przybywających do Szwecji, twierdząc, że postępowanie władz jest coraz bardziej bezwzględne. Również Szwedzka Rada Uchodźców żąda w otwartym liście do rządu, aby obecne brutalne traktowanie uchodźców w punktach granicznych uległo radykalnej zmianie. (*Nowiny*, organ Fundacji *Invandartidningen* z 8 listopada br.). ■ W związku z ukazaniem się szwedzkiego przekładu tomu poezji Czesława Miłosza pt. „Hymn o Perle” (*Sangen om Perlan*) radio szwedzkie nadało 13 listopada br. audycję poświęconą ostatniej twórczości Miłosza. Prelegentem był kierownik działu kultury w radio, P. A. Abrahamsson, władający językiem polskim, profesor slawistyki Nils Ake Nilsson dokonał znakomitego przekładu wierszy wybranych z trzeciego tomu „Poezji” i z „Nieobjętej ziemi” wchodzących w skład „Dzieł zbiorowych” Miłosza wydanych przez Instytut Literacki. Ole Hessler w długiej, pochlebnej recenzji w *Dagens Nyheter*, najpoczytniejszym porannym dzienniku Sztokholmu, napisał: „Zwłaszcza 'Osobny zeszyt' należy do najbardziej znaczącej poezji Miłosza z ostatnich czasów. Porównując tę poezję z naszą, ta ostatnia wydaje mi się lokalnym seplenieniem do nowoczesnych megafonów”. ■ Po raz pierwszy w dziejach Szwecji w wyborach do ciał Ustawodawczych i najwyższych władz administracyjnych kandydowało dwóch Polaków: Jakub Święcicki, sinolog i redaktor w Instytucie Spraw Zagranicznych, kandydował z ramienia Stronictwa Ludowego (liberalnego) do parlamentu, zaś Jan Zuchowski, dentysta, był kandydatem umiarkowanej prawicy (Moderaterna) do Rady Wojewódzkiej okręgu sztokholmskiego. Obydwaj nie mieli szans w wyborach w związku z umieszczeniem ich na liście na dalekim miejscu. ■ Rząd norweski zdecydował się powiększyć w przyszłym roku kwotę imigrantów. Zamiast 500 uchodźców Norwegia przyjmie ich w 1986 roku 1.250. ■ W Mariehamn na Wyspach Alandzkich odbyła się konferencja przedstawicieli rządów państw nordyckich, poświęcona problemom uchodźstwa. Wywierano nacisk na Finlandię w celu skłonienia tego kraju do zajęcia bardziej liberalnego i humanitarnego stanowiska wobec uchodźców ubiegających się o azyl. Finlandia posiada tylko 536 uchodźców politycznych, z czego w br. tylko 10 złożyło podanie o azyl. Są to prawie wyłącznie uchodźcy z Wietnamu. Obawa przed Sowietami jest niewątpliwie powodem tych restrykcji i trudno przypuszczać, aby polityka imigracyjna Finlandii uległa poważniejszemu zmianom. ■ W marcu przyszłego roku TV szwedzka oddownie nadawanie w ramach bloku obcojęzycznego także programu polskiego. W PRL zakupiono 5 telewizyjnych audycji o tematyce kulturalnej. Inicjatywa ta będzie kontynuowana w następnych miesiącach przez inne programy polskie, już wyprodukowane przez szwedzką telewizję. ■ Teatr Miejski w Malmö wystawił w listopadzie sztukę Joshua Sobola pt. „Getto w Wilnie”, odzwierciedlającą los 60.000 Żydów wileńskich. Była to premiera skandynawska. Jednym z czołowych aktorów Teatru Miejskiego jest Jan Dolata, pochodzenia pol-

skiego, tu urodzony, ale mówiący po polsku. ■ Dwaj Rosjanie, 21-letni Iwan oraz 23-letni Aleks, którzy przez pięć lat planowali ucieczkę z ZSSR, rozpoczęli ją 15 lipca br., przemierzając przez cztery miesiące, przeważnie piechotą, północną Rosję i Finlandię do północnej Szwecji, gdzie dopiero poprosili o azyl. Głównym powodem tej ryzykownej ucieczki była obawa przed mobilizacją na wojnę afgańską. Opowiadali dziennikarzom o niepopularności tej wojny w Sowietach.

Norbert ŻABA

SPROSTOWANIE: Do „Kroniki szwedzkiej” w *Kulturze* nr 7/455-8/455 (1985) zakradła się omyłka: fałszywa ulotka Biura Informacyjnego „Solidarności” w Sztokholmie została zanesiona do ABF (Związek Edukacji Robotników) a nie do LO (Centrala Związków Zawodowych), za co przepraszamy.

N. Ż.

AN E K S

Nr 39

Zbigniew BRZEZIŃSKI: *Potęga ZSSR i dylematy Zachodu*; Timothy Garton ASH: *Polityka Niemiec*; Adam MICHNIK: *Kilka uwag o polityce Zachodu i roli emigracji*; Waldemar KUCZYŃSKI: *Pułapki czarnej nuty*; Krzysztof DOROSZ: *Wiara pełnoletnia*; Leon KASMAN: *Konflikt z Mocarstwem*; Jan NOWAK: *Odpowiedzialność za słowo*; Daniel BEAUVOIS: *Stereotyp „polskiej anarchii”*; Robert E. BLOBAUM: *„Solidarność” a tradycja polskiego ruchu robotniczego*.

Cena pojedynczego numeru £ 3, \$ US 10; Prenumerata roczna: £ 10, \$ US 20. Poczta lotniczą: USA, Ameryka Łacińska i Kanada — £ 15, \$ US 32; Bliski Wschód — £ 13; Australia — £ 16. Cena prenumeraty dla bibliotek, instytucji oraz organizacji jest wyższa o 50 %.

AN E K S

61, Dorset Road, London W5 4HX, England

NOWOŚCI WYDAWNICZE:

KRZYSZTOF POMIAN: *Wymiary polskiego konfliktu (1956-1981)*.

Str. 176, cena: £ 3, \$ US 8.

CORNELIUS CASTORIADIS: *W obliczu wojny (analiza natury systemu sowieckiego)*. Str. 94 + VIII, cena: £ 3, \$ US 7.

TADEUSZ KONWICKI: *Rzeka podziemna, podziemne ptaki*. Str. 216, cena: £ 4, \$ US 10.

DARIUSZ FIKUS: *Foksal 81*. Str. 208, cena: £ 4, \$ US 10.

Listy do Redakcji

Kanbera, 20 października 1985.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Z zadowoleniem znalazłem w październikowym numerze *Kultury* swój artykuł „Czy PRL powinna zostać członkiem MFW?”.

Gdyby mój artykuł wywołał dalszą dyskusję, do której Pan zachęca, chciałbym ponownie zabrać głos. Teraz pozwoli Pan, że krótko ustosunkuję się do uwag Redakcji.

Podzielim w pełni opinię zawartą w pierwszej z nich. Istotnie, należy przede wszystkim przeprowadzić w gospodarce polskiej restrukturyzację wykorzystania zasobów krajowych. Zwracam na to sam uwagę w propozycjach do programu stabilizacyjnego, jaki mógłby być po spełnieniu innych warunków poparty zasobami MFW. Być może powinienem to mocniej uwypuklić. Nie zmienia to jednak faktu, że restrukturyzacja z koniecznym proeksportowym nastawieniem wymaga importu kapitałowego, a ten przy obecnym stanie bilansu płatniczego może być wydatnie zwiększony, jeśli gospodarka polska otrzyma nowe kredyty na dobrych warunkach.

Druga uwaga dotyczyła możliwości ustanowienia wymiennalności i stosowania jednolitego kursu walutowego w PRL, do czego zobowiązują — chociaż należy podkreślić, że wymóg ten może być realizowany stopniowo — państwa członkowskie przepisy Umowy o MFW. Wyraźnie napisałem komentując członkostwo Rumunii w MFW, że system nakazowo-rozdzielczy taką możliwość wyklucza. Ale np. obecny system węgierski już nie, przynajmniej jeśli chodzi o jednolitość kursu. Kwestia zakresu wymiennalności w systemie węgierskim ale przede wszystkim możliwości wyeliminowania dyskryminacji płatniczej ze względu na istnienie państwowych umów RWPG jest rzeczywiście dyskusyjna. Wymiennalność, trzeba pamiętać, zależy jednak nie tylko od systemu gospodarowania, ale także od stopnia konkurencyjności gospodarki na rynku międzynarodowym, jej zdolności do równoważenia bilansu płatniczego w dłuższym okresie czasu bez uciekania się do ograniczeń płatniczych. Na 148 członków MFW faktycznie walutę wymiennalną posiada 61 państw. Za warunek wystarczający do negocjowania pomocy Funduszu można więc uznać wejście na drogę, która umożliwi stopniowe znoszenie ograniczeń płatniczych i stosowanie jednolitego kursu, czyli w interesującym nas przypadku obalenie systemu nakazowo-rozdzielczego. To właśnie postuluje w swoim artykule. *Nota bene* zasady polityki MFW wobec państw członkowskich o gospodarce centralnie kierowanej wymagają niewątpliwie głębszej dyskusji.

Zarzut trzeci to sprawa przejściowego utrzymania częściowej kontroli cen i rozdzielnictwa. Autor noty wmawia mi stwierdzenie o niemożności wprowadzenia mechanizmu rynkowego z powodu nierównoważenia gospodarki. Przykro mi, że nieuważnie czytałem mój tekst. Napisałem wyraźnie (str. 43 i następane), że skuteczna reforma, która powinna być fundamentalnym warunkiem udzielenia przez MFW pomocy finansowej PRL, musi obalić nakazowe centralne planowanie i uruchomić mechanizm rynkowy. W obecnych polskich warunkach — a nie chodzi tu tylko o nierównoważenie gospodarki, ale i inne zaszczyty drastycznie ograniczające możliwość wystąpienia konkurencji — nie można jednak zalecać natychmiastowego odejścia od wszel-

kiej kontroli centralnej, trzeba natomiast zdecydowanie, chociaż z konieczności stopniowo, rozszerzać zakres wykorzystania mechanizmów rynkowych w procesie alokacji zasobów. Jeśli autor noty uważa, że słuszne byłoby wprowadzenie do gospodarki polskiej mechanizmu rynkowego natychmiast i w pełnej skali, to także ze względu na realia polityczne proponuje dyskusję abstrakcyjną.

I wreszcie ostatnia sprawa. Tu już całkiem nieelegancko obszedł się ze mną autor noty redakcyjnej sugerując, że świadomie wprowadzam w błąd czytelników i MFW (*sic!*), bo rzekomo twierdzą, że w PRL istnieje rynek dewizowy, a przecież są tylko centralne przydziały. Doprawdy z mojego postulatu wprowadzenia przejrzystych zasad zakupu dewiz nie można w żaden sposób wnioskować, że zamazuję istotę obecnego systemu. Nie widziałem tylko potrzeby dokładnego jego opisu, gdyż jest on powszechnie znany. Chociaż nawiasem mówiąc autor noty i tu też nie powinien być nadmiernie kategoriyczny. Wprowadzony w PRL system aukcyjny zakupu dewiz jest wprawdzie obecnie zupełnie marginesowy, ale jest rodzajem rynku dewizowego i należałoby go rozszerzać. Istnieją także tzw. odpisy dewizowe. A obowiązku odsprzedaży dewiz bankowi państwowemu przez eksporterów nie należy nazywać rekwizycją. Istnieje on w zdecydowanej większości państw mających walutę wymiennalną, także np. we Francji. Ważna jest tylko możliwość zakupu dewiz, a nie konieczność ich odsprzedaży.

Z głębokim poważaniem

Jędrzej KRAKOWSKI

Warszawa, 5 listopada 1985.

Szanowny Panie Redaktorze,

Wiem jak wielkie znaczenie ma Pańskie Wydawnictwo dla rozwoju polskiej kultury a zwłaszcza dla kształtowania niezależnej myśli w kraju. Opublikowanie zatem moich wspomnień w Bibliotece *Kultury* jest dla mnie radością i zaszczytem. Z wielkim wzruszeniem oglądam szarą okładkę mej książki. Niestety, trudności z przesłaniem rękopisu, brak autorskiej korekty spowodowały, iż do tomu zakradło się kilka błędów. Dziwię się, że jest ich tak mało, jednak są i jeden z nich jest dotkliwy. „Rozdział „Życie codzienne” ma dwie części. Otóż tekst ze str. 29-36 powinien się znaleźć w części drugiej dotyczącej obozu, a więc poprzedzić tekst ze str. 130 i nast. Rzecz o tyle jest ważna, że są tam podane normy żywienia obowiązujące w obozach a nie w więzieniach. Pierwszy zatem rozdział kończyć się powinien historią rozstrzelanych.

Reszta błędów ma mniejsze znaczenie, przy okazji jednak je podaję.

Str. 89, 7 wiersz od dołu, po słowach: „przydała mi się później” — powinien być odstęp, gwiazdka i akapit.

Str. 90, po środku strony jest 30 %, powinno być 130 %.

Str. 146, pierwszy wiersz piosenki brzmieć powinien: *Niet so mnoj mojej gołubki*, 2, 3, 4 jak w druku.

Str. 175, 19 wiersz od góry, jest: „po powrocie do łagru” — powinno być: po powrocie do celi.

Str. 221, 22 wiersz od góry, jest: „rzeczywiście” — powinno być: rzeczywistość.

Gdyby moja książka była kiedyś reedytowana, bardzo proszę o wprowadzenie tych poprawek. Proszę też Pana, Panie Redaktorze, o przyjęcie mojego gorącego podziękowania i przekazanie podziękowań Pańskim współpracownikom w redakcji, zwłaszcza pani Z. Hertz, za tak troskliwe zajęcie się moim rękopisem i przygotowaniem go do druku.

Łączę wyrazy najwyższego szacunku,

Wiktoria KRASNIEWSKA

Rzym, 28 października 1985.

Panie Redaktorze,

Nie roszczę pretensji o to, by Pański miesięcznik pozytywnie pisał o pracy, jaką prowadziłem w Rzymie od szeregu lat. Była to nie tylko (tak przynajmniej mnie się wydaje) ofiarna i pełna wyrzeczeń praca na rzecz setek tysięcy Rodaków przybywających w tych latach do Rzymu, którą prowadziłem od 1974 roku wspólnie z O. Kazimierzem Przydatkiem TJ, ale zaowocowała ona także nabyciem reprezentacyjnego Domu Polskiego w Rzymie przy via Cassia, zebraniem niemałych funduszy na konto papieskiej Fundacji Jana Pawła II, której celem jest wspieranie polskich poczynań (szczególnie o charakterze kulturalnym) w Polsce i wśród emigracji, zorganizowaniem Ośrodka Dokumentacji obecnego Pontyfikatu, a także dziesiątkami wydawnictw książkowych, filmów i video kaset o tematyce religijnej itp. Nieco wiadomości na ten temat mógłby Pan Redaktor znaleźć w czerwcowym numerze z br. „Kroniki Rzymskiej”, który pozwałam sobie przy niniejszym załączyć. Pańskie czasopismo — mimo, że działalność rzymskiego Ośrodka szybko nabierała kolorów i zyskiwała życzliwość tak Rodaków w kraju jak i wśród Polonii — nigdy (mimo że *Kultura* odnotowuje w kronice znacznie mniejsze wydarzenia) nie raczyło zauważyć ani jej istnienia, ani pozytywów. Natomiast skwapliwie drukowało niesprawdzone lub krzywdzące nasz rzymski Ośrodek opinie, anonimowych zazwyczaj autorów. Dotyczy to także trzykrotnej już złośliwości pod adresem Letniego Uniwersytetu Polonii Świata. Złośliwości — gdyż rzeczywistość wygląda naprawdę inaczej i tylko ten, kto kiedykolwiek „narwał się” w emigracyjnym rozproszeniu na podobne imprezy wie, jakim trudem i wyrzeczeniem można zgromadzić przeszło setkę młodej polonijnej inteligencji na podobną imprezę. W prasie polonijnej ukazały się na szczęście inne artykuły, oceniające w odmienny sposób niż uczyniła to *Kultura* znaczenie i wartość tej inicjatywy. Możliwe, że chodzi tylko o to, że uczestnicy Letniego Uniwersytetu nie są karmieni siemem, które *Kultura* uważałaby za stosowne im podsuwać. Niestety, w tym względzie chyba się nie porozumiemy. Bądźmy więc tolerancyjni. Z tego też względu przechodziliśmy milczeniem nad poprzednimi enuncjacjami *Kultury* na temat naszej działalności.

Po ostatnich jednak artykułkach miałbym do Pana Redaktora osobistą prośbę, a mianowicie: proszę nie zamieszczać o mojej osobie niesprawdzonych informacji, a szczególnie takich, które znacznie przekraczają granicę oszczerstw i pomówień. Jeżeli *Kulturę* zaczęły wreszcie interesować sprawy związane z działalnością Fundacji i Domu Polskiego w Rzymie, proszę zaciągać o nich informacje u kompetentnych źródeł. Nawet odnośnie tego co napisałem wyżej — a przynajmniej przed opublikowaniem anonimowych „rewelacji” sprawdzić ich wiarygodność. Umieszczanie bowiem podobnych anonimów — śmiem twierdzić — szkodzi także *Kulturze*. Natomiast moja rezygnacja (a nie „karne zdymisjonowanie”, jak Pan uparcie podtrzymuje) z administracji Domu a ostatnio także z administracji Fundacji były moimi osobistymi decyzjami, które Rada Fundacji zaaprobowwała. Zapewniam jednak Pana, że finansową działalność obu Instytucji prowadziłem przez minione 7 lat z kapłańską uczciwością. Jest to także do sprawdzenia. Dlatego też sądzę, że mam moralne prawo prosić Pana Redaktora o umieszczenie stosownego sprostowania w Pańskim czasopiśmie.

Ks. Ksawery SOKOŁOWSKI

Indeks autorów i tematów rocznika "Kultura" za rok 1985

Spis autorów

ABRAMOWICZ Marek Artur, (a.j.), A.J., ALBERTI Cesio, A.P. — BABIŃSKI Stanisław, BANKOWSKI-ZÜLLIG Monika, BARAŃCZAK Stanisław, BĄKOWSKI Adam Tadeusz, BIEDENKOPF Kurt H., BIELECKI Czesław, BIEREZIN Jacek, B.H., BLIŻNIACY, BŁASZKIEWICZ Anna, BOCHEŃSKI I. M., BOJTAR Andre, BONIECKI Jerzy, BOSS Sally, BRONSKI M., BRUDZYŃSKI Tadeusz, BRZEZIŃSKI Zbigniew, BUJAK Zbigniew, BYRSKI Zbigniew. — CHILECKI Andrzej J., CHOYNOWSKI Mieczysław, CHODAKOWSKI Jan, CHYLIŃSKA Kamila, CIECHANOWSKI Jan, CIESIELCZYK Marek, CZAPSKI Józef, CZECHOWICZ Józef, CZYTELNIK. — DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria, DAWIDOWICZ Maria, DENFERT Stefan, D.T. — FELDHUZEN Maciej, FRAJLICH Anna, FRANKIEWICZ Stefan, FRENDL Ludwik. — GADOMSKI Józef Wojciech, GAIDA Norbert, GAJOWNICZEK Paweł, GARLIŃSKI Józef, GAWLIKOWSKI Krzysztof, GIEDROYC Jerzy, GIEŁŻYŃSKI Wojciech Stefan, GISGES ZWIERZCHOWSKA Ewa, GOMBROWICZ Rita, GOMBROWICZ Witold, GORCZYŃSKA Renata, GRABIEC Andrzej Artur, GRAEFF Krystyna, GROTKWAŚNIEWSKI Jerzy, GRYNBERG Henryk. — HELLER Michał, HEMAR Marian, HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw, HORZELSKI Jerzy. — IGLIKOWSKI Piotr, INSTYTUT JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO, IONESCO Eugene, IWANIUK Wacław. — (j.a.), JAGODZIŃSKA Maria, JAGODZIŃSKI Zdzisław, JASNORZEWSKA (PAWLIKOWSKA) Maria, JELEŃSKI Konstanty A., JEŻEWSKI Krzysztof A., J.K. — KADENACY Tadeusz, KAŁUZA Franciszek, KARPIŃSKI Światopełk, KARPPIŃSKI Wojciech, KARSKI Jan, KATZ HEWETSON Janina, KAZIMIRSKI Janusz, KIERKEGAARD Soren, KIRKPATRICK

Jeane J., KISIELEWSKI Stefan, KLECZYŃSKA Maria, KONAR Adam, KORASZEWSKI Andrzej, KORZENIEWSKI Bohdan, KOSKO Allan, KOSSOWSKA Stefania, KOSTRZEWA Robert, KOZŁOWSKA Nina, KRAJEWSKA Anna, KRAKOWSKI Jędrzej, KRAŚNIEWSKA Wiktoria, KRUCZEK Adam, KRUK Krzysztof, KRYGIER Ryszard, KRYNICKI Ryszard, KRZYŻANOWSKI Jerzy R., „KULTURA”, KUROCZYCKI Stefan, ks. — L., LASKOWSKA Ada, LECHOŃ Jan, LEOPOLITA, LEWANDOWSKI Józef, LEWANDOWSKI Roman, LICHTEN Józef, LITYŃSKI Jan, LUBICZ-LUBA Anna. — ŁOBODOWSKI Józef, ŁUKOMSKI Kazimierz. — MAŁKIEWICZ Grzegorz, MARKIEWICZ Władysław, MAURER Jadwiga, MICHNIK Adam, MICKIEWICZ Adam, MIETKOWSKA Anna, MIETKOWSKI Andrzej, MIŁOSZ Czesław, MOLTKE von Freya, MORAWSKI Dominik, MORGA Paweł, MORSKI DON KICHOT, MOŻEJKO Edward, MROŻEK Sławomir. — NASIELSKI Adam, (NAZWISKO ZNANE REDAKCJI), N.N. Z WARSZAWY, NOWACKI Stanisław, NOWAKOWSKI Marek. — OBSERWATOR, OBSERWATOR Z KRAJU, ORU Jan. — PAWŁAK Antoni, PERLE Richard N., PERZYŃSKI Włodzimierz, PODGÓRSKI Tadeusz, POLESKI Maciej, POMIAN Grażyna, POMIAN Krzysztof, PORAY-BIERNACKI Janusz, PRZETAKIEWICZ Zygmunt. — RACZKOWSKI Jerzy, REDAKCJA, REDAKCJA „KULTURY”, REDAKTOR, ROWIŃSKI Krzysztof, RZECKI Jan Napomucen, RUTKOWSKI Krzysztof, RYSER SZYMAŃSKI Witold. — SALAMON Joanna, SEBYŁA Władysław, SIKORA Agata, SIKORA Wojciech, SOKOŁOWSKI K., ks., SOWULA Grzegorz, SPRAWOZDAWCA, STACHOWSKI K. W., STAŃCZYKÓWNA, SURDYKOWSKI Jerzy, SZARUGA Leszek, SZRETT Józef, SZULCZYŃSKI Andrzej, SZUŁDRZYŃSKI Jan. — ŚWIDERSKI Bronisław. — TARNOWSKI Jerzy, TAZBIR Piotr, TOMSKY Aleksander, TOPORSKA MACKIEWICZOWA Barbara, TRUCHLEWSKI Leszek, TRZNADEL Jacek, TURBACZ Marek, TUROWSKI Krzysztof, TUWIM Julian. — ULATOWSKI Jan, UMIŃSKA Mirosława, UNGER Leopold, URSYN Piotr Paweł. — WANDYCZ Piotr, WASIAK Regina, WEIZSÄCKER von Richard, WESOŁY Szczepan, bp, WIERZYŃSKI Kazimierz, WINCZAKIEWICZ Jan, WIRPSZA Witold, WITKIEWICZ Jan Stanisław, WOJCIECHOWSKI Jan, WRZESZCZ Adam, WYTWYCKYJ Wasyl. — XY. — ZAGÓRSKI Jerzy, ZARYCHTA-KAMIŃSKA Halina, Z.B., ZEGADŁOWICZ Emil, ZIELIŃSKI Leszek, ZLATKES Gwido. — ŻABA Norbert, ŻAGIELL E.

Artykuły polityczne, społeczne i gospodarcze

B.H.: *Kronika kanadyjska* (1/448-2/449, 3/450, 5/452, 6/453, 7/454-8/455, 9/456, 11/458, 12/459).
 BONIECKI Jerzy: *Jalta* (5/452).
 BRZEZIŃSKI Zbigniew: *Przyszłość Jalty* (1/448-2/449).
 BYRSKI Zbigniew: *Afryka Południowa* (7/454-8/455).
 — *Kronika amerykańska* (5/452, 9/456, 10/457, 11/458, 12/459).

— *Kryzys związków zawodowych w USA* (11/458).
 — *Wojna gwiazdowa* (9/456).
 CHYLIŃSKA Kamila: *O Zielonych nie na czarno ani biało* (5/452).
 FELDHUZEN Maciej: *Ameryka Łacińska* (6/453).
 FRANKIEWICZ Stefan: *Chrześcijaństwo* (1/448-2/449).
 GAJOWNICZEK Paweł: *Kronika norweska* (5/452, 9/456, 12/459).
 GARLIŃSKI Józef: *List z Londynu* (7) (4/451).
 — *List z Londynu* (8) (9/456).
 GAWLIKOWSKI Krzysztof: *Rewolucja ekonomiczna w Chinach* (12/459).
 GRABIEC Andrzej Artur: *Nienawiść — źródło terroru* (1/448-2/449).
 GROT-KWAŚNIEWSKI Jerzy: *Kronika australijska i nowozelandzka* (5/452, 11/458).
 HELLER Michał: *Od białego caratu do czerwonego* (1/450).
Kolokwium turyńskie (3/450).
 KORASZEWSKI Andrzej: *Nowa faza rozwoju państwa dobrobytu* (10/457).
 KOSTRZEWA Robert: *Rozmowa z Jeane J. Kirkpatrick* (4/451).
 — *Rozmowa z Richardem N. Perle o nowej polityce wojskowej USA* (10/457).
 KRAKOWSKI Jędrzej: *Czy PRL powinna zostać członkiem MFW?* (10/457).
Kronika amerykańska (4/451).
Kronika rzymska (10/457).
 KRUK Krzysztof: *Karli realizm* (7/454-8/455).
 LEOPOLITA: *All that jazz* (7/454-8/455).
 — *Wśród ptaków wielkie poruszenie...* (3/450).
 LITYŃSKI Jan: *Nowy racjonalizm czy stare złudzenia* (9/456).
 — *Rozważania o frekwencji i bojkocie* (12/459).
 MICHNIK Adam: *Wybory do Sejmu PRL* (9/456).
 MICKIEWICZ Adam: *O ludziach rozsądnych i ludziach szalonych* (5/452).
 MORAWSKI Dominik: *Korespondencja z Rzymu*:
 — *Biskupi a chora Europa* (11/458).
 — *Czy zwrot w polityce wschodniej?* (9/456).
 — *Kościół i polityka* (7/454-8/455).
 — *Kryzys pontyfikatu czy historycznej koncepcji* (10/457).
 — *Nieomyślność Papieża* (12/459).
 — *O Europie i Polsce na Kapitolu* (3/450).
 — *Z deszczu pod rynnę* (4/451).
 MROŻEK Sławomir: *Jaworzno* (1/448-2/449).
 N.N. z Warszawy: *Z refleksji o nacjonalizmie* (12/459).
 ORU Jan: *Afryka jest głodna: co robić?* (12/459).
Oświadczenie Północno-Amerykańskiego Studium Spraw Polskich (7/454-8/455).
 POMIAN Grażyna: *Jest taka partia: PZPR* (3/450).
PRL a Międzynarodowa Organizacja Pracy (1/448-2/449).
 RYSER-SZYMAŃSKI Witold: *Początek końca* (4/451).
Semaine pour l'Afghanistan avec la Pologne (1/448-2/449).

- SIKORA Wojciech: *Kronika francuska* (1/448-2/449, 3/450, 4/451, 6/453, 7/454-8/455, 9/456, 10/457, 11/458, 12/459).
 — *Wystawa polskiej kultury niezależnej* (7/454-8/455).
 SZRETT Józef: *Program Oświecenia Narodowego* (10/457).
 UNGER Leopold: *Widziane z Brukseli*:
 — *Ciocia z kontrwywiadu* (11/458).
 — *Główka pracuje* (4/451).
 — *Jimmy Reagan* (9/456).
 — *Podróże kształcą* (1/448-2/449).
 — *Post scripta (II)* (7/454-8/455).
 URSYN Piotr Paweł: *Nie zapomnieć — przemysleć i przebaczyć* (5/452).
Wydarzenia miesiąca (1/448-2/449, 3/450, 4/451, 5/452, 6/453, 7/454-8/455, 9/456, 10/457, 11/458, 12/459).
Wywiad „Kultury” ze Zbigniewem Bujakiem (9/456).
Z ostatniej chwili (3/450, 11/458).
 ŻABA Norbert: *Kronika szwedzka* (1/448-2/449, 7/454-8/455, 12/459).

Obserwatorium

- REDAKCJA: *Obserwatorium* (5/452, 6/453, 9/454).
Wybory do Sejmu PRL (11/458).

Artykuły i eseje z dziedziny literatury, sztuki i inne

- ABRAMOWICZ Marek Artur: *O hejnale, sygnale, tradycji i nowoczesności* (10/457).
 BOCHEŃSKI I. M.: *Przeciw humanizmowi* (11/458).
 BOJTAR Endre: *Wschodni Europejczyk precyzyjniej* (7/454-8/455).
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Dziennik pisany nocą* (3/450, 5/452, 7/454-8/455, 10/457, 12/459).
 — *Twórcza siła* (4/451).
 JELEŃSKI Konstanty A.: *Dar Józefa Czapskiego* (4/451).
 — *PRL-owskie reguły „Gry o Gombrowicza”* (12/459).
 — *Samotna droga Jana Lebensteina* (7/454-8/455).
 KARPIŃSKI Wojciech: *Portrety i olśnienia* (4/451).
 MIŁOŚZ Czesław: *List do Jana Lebensteina* (7/454-8/455).
 — *Literatura polska* (6/453).
 MORGA Paweł: *Notatki o symbolach* (1/448-2/449).
 PAWLAK Antoni: *Kartki z dzienniczka* (1/448-2/449).
 POMIAN Krzysztof: *Czas Lebensteina* (7/454-8/455).

Powieści, nowele, fragmenty powieściowe, wspomnienia

- GIEŁŻYŃSKI Wojciech Stefan: *Sześć tez o stanie ducha* (fragment książki pt. „Odchodzenie”) (11/458).

- *Walczyć nawet bez nadziei* (fragment książki „Budowanie Niepodległej”) (4/451).
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Święty smok* (1/448-2/449).
 KISIELEWSKI Stefan: *Gdy znów nadchodzi listopad* (fragment książki „Wszystko inaczej”) (12/459).
 KORZENIEWSKI Bohdan: *Pagórek* (1/448-2/449).
 — *Powrót* (5/452).
 KRAŚNIEWSKA Wiktoria: *Miłość* (fragment książki „Po wyzwoleniu... (1944-1956)”) (6/453).
 LEWANDOWSKI Roman: *Postępowy paryżanin* (3/450).
 MROŻEK Sławomir: *Baba* (7/454-8/455).
 — *Koegzystencja* (3/450).
 — *Krótko rozmowa* (4/451).
 — *Pamięć* (5/452).
 — *Podejrzanie* (11/458).
 — *Pozdrowienia od* (4/451).
 — *Rano, rano, raniutko* (6/453).
 — *Step* (9/456).
 NASIELSKI Adam: *Bałkański „tour d'horizon”* (3/450).
 NOWAKOWSKI Marek: *Rozmowa* (3/450).
 POLESKI Maciej: *Monolog* (12/459).

Utwory poetyckie

- BAKOWSKI Adam Tadeusz: *Bóg jest* (4/451).
 — *Fortuna* (7/454-8/455).
 — *Umrzeć w Polsce* (7/454-8/455).
 BIEREZIN Jacek: *Nowy Jork...* (10/457).
 — *Tyle rzeczy* (5/452).
 — *W naszych czasach* (5/452).
 CZECHOWICZ Józef: *Jego cień* (5/452).
 FRAJLICH Anna: *W innym żywiole* (1/448-2/449).
 HEMAR Marian: *19 marca 1940* (5/452).
 JASNORZEWSKA (PAWLIKOWSKA) Maria: *Posąg, którego jeszce nie ma* (5/452).
 JEŻEWSKI Krzysztof A.: *Piłsudski* (5/452).
 KARPIŃSKI Światopełk: *Czarny maj* (5/452).
 KOSKO Allan: *Epitafium* (5/452).
 KRYNICKI Ryszard: *Jak pisać* (9/456).
 — *Listek, skrawek nieba* (9/456).
 — *Nie wiem...* (9/456).
 — *Nie wszyscy* (9/456).
 — *Purgatorium* (9/456).
 — *Szum, trzaski, jazgot...* (9/456).
 — *Wir* (9/456).
 — *Zwycięstwo* (9/456).
 LECHOŃ Jan: *Do wielkiej osoby* (5/452).
 MIŁOŚZ Czesław: *Wojna była wygrana...* (5/452).
 PAWLAK Antoni: *Każdy wieczór kończy się wierszem* (7/454-8/455).

- *Lato 1982* (7/454-8/455).
 — *Prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie* (7/454-8/455).
 PERZYŃSKI Włodzimierz: *Fragment* (5/452).
 RZECKI Jan Nepomucen: *Roca fixada: zamek katarski* (9/456).
 SEBYŁA Władysław: *I rozstąpiwszy się...* (5/452).
 STAŃCZYKÓWNA: *Dialektyka i sztuka* (5/452).
 TRZNADEL Jacek: *Księga morderców* (4/451).
 TUWIM Julian: *Aere perennius* (5/452).
 — *Druskiennickie drzewa* (5/452).
 WIERZYŃSKI Kazimierz: *Duch* (5/452).
 — *Wyrok pośmiertny* (5/452).
 WINCZAKIEWICZ Jan: *Łobodowski* (5/452).
 WIRSZUA Witold: *Rozmyślenia luźne* (7/454-8/455).
 — *Trudności* (1/448-2/449).
 ZAGÓRSKI Jerzy: *Ballada o Koziej Górze* (3/450).
 ZEGADŁOWICZ Emil: *Patrząc na pogrzeb Marszałka* (5/452).
 ZLATKES Gwido: *Nadzieжда Mandelsztam 1957* (7/454-8/455).
 — *Totentanz* (7/454-8/455).

Sprawy krajowe

- (a.j.): *Notatki z Polski — Maj-Sierpień 1985* (11/458).
Ankieta PRON-u (12/459).
Aresztowanie Częstawa Bieleckiego (6/453).
Czestaw Bielecki ogłasza głodówkę (12/459).
 — *Czestaw Bielecki skarży gen. Kiszczaka* (12/459).
 DAWIDOWICZ Maria: *Mały świadek wielkich wydarzeń* (5/452).
 DENFERT Stefan: *Należy wreszcie wyciągnąć wnioski* (3/450).
 GADOMSKI Józef Wojciech: *Promieniowanie wolnego słowa* (4/451).
Homilia wygłoszona 31. 08. 85 w kaplicy M.B. Częstochowskiej pod bazyliką św. Piotra w Rzymie (10/457).
 (j.a.): *Notatki z Polski* (3/450, 7/454-8/455).
 JAGODZIŃSKA Maria: *Uniwersytet ich marzeń* (1/448-2/449).
Komunikat Prokuratury Generalnej (4/451).
Konfiskaty w PRL (11/458).
 L.: *Kształtowanie atmosfery apatii* (10/457).
Modlitwa powszechna (02. 09. 85) w czasie mszy w Castel Gandolfo (10/457).
Nagrody kulturalne „Solidarności” za rok 1984 (5/452).
Nowy Związek Literatów Polskich, Oddział Warszawski (3/450).
 OBSERWATOR: *Gawędy gospodarcze* (1/448-2/449).
 — *Pytanie z reformy gospodarczej* (7/454-8/455).
 — *Rok ubiegły, ostatnie dwa miesiące i najbliższe pięć lat...* (4/451).
O polskich wydawnictwach konspiracyjnych i niezależnych (6/453).
Oświadczenie Komitetu Kultury Niezależnej i RKW reg. Mazowsze (9/456).
Potępienie procesu gdańskiego (7/454-8/455).
 REDAKTOR: *Emisariusze* (4/451).

- Spis wydawnictw krajowych* (6) (1/448-2/449).
Sytuacja w środowiskach artystycznych Krakowa (6/453).
Szczecińskie wydawnictwa podziemne (11/458).
 TUROWSKI Krzysztof: *Powrót do starych dylematów* (10/457).
 URSYN Piotr Paweł: *Czy władza ludowa kocha zabytki* (6/453).
Wywiad z prof. Romanem Busatowskim (5/452).
 WRZESZCZ Adam: *Otwartość* (9/456).
Zachodnie przedstawicielstwa niezależnych organizacji, instytucji i pism krajowych (6/453).

Sąsiedzi

- BIEDENKOPF Kurt H.: *O dialogu polsko-niemieckim* (11/458).
 BLIŹNIACY: *Przybyliśmy, zobaczyliśmy...* (1/448-2/449).
 CHILECKI Andrzej J.: *Kronika niemiecka* (1/448-2/449, 3/450, 4/451, 5/452, 6/453, 7/454-8/455, 9/456, 10/457, 11/458, 12/459).
 GAIDA Norbert: *Mniejszość niemiecka w Polsce* (3/450).
 KONAR Adam: *Rozmowa z dezenterem sowieckim* (9/456).
 KRUCZEK Adam: *W sowieckiej prasie* (1/448-2/449, 3/450, 4/451, 5/452, 6/453, 7/454-8/455, 9/456, 10/457, 11/458, 12/459).
 ŁOBODOWSKI Józef: *Trzeci numer „Widnowy”* (10/457).
 MOLTKE von Freya: *Na marginesie Zjazdu „Słazaków” w Hanowerze* (11/458).
 SPRAWOZDAWCA: *Zjazd „Słazaków”* (9/456).
 SZUŁDRZYŃSKI Jan: *Czy Niemcy nas zrozumieją?* (7/454-8/455).
 TOMSKY Aleksander: *Kronika czeska i słowacka* (1/448-2/449).
 WYTWYCKYJ Wasyl: *Czas ucieka* (6/453).
 ZAGIELL E.: *Kronika litewska* (4/451, 6/453, 7/454-8/455, 11/458).

Polemiki — Wolna Trybuna

- BABIŃSKI Stanisław: *Nieścistości p. Kirkpatrick* (6/453).
 BONIECKI Jerzy: *Kościół a komunizm w Polsce* (4/451).
 GRYNBERG Henryk i SZULCZYŃSKI Andrzej (3/450).
 SZRETT Józef: *Kościół a państwo* (4/451).
 TURBACZ Marek: *Kościół a komunizm w Polsce* (4/451).
 ULATOWSKI Jan: *Nieścistości p. Kirkpatrick* (6/453).
 WRZESZCZ Adam: *List z Polski* (6/453).

Sprawy i troski

- Afera wokół Domu Polskiego Jana Pawła II w Rzymie* (9/456).
Apel S.O.S. Coordination Pologne (3/450).
 D.T.: *List z Iraku* (12/459).
 GRAEFF Krystyna: *Transport do Polski* (12/459).
Instytut Piłsudskiego potrzebuje pomocy (3/450).
Komunikat Komitetu Pomocy Polakom we Francji (1/448-2/449).
Wywiad „Kultury” z Kazimierzem Łukomskim (11/458).

Ci, co odeszli

- BRONSKI M.: *Leopold Tyrmand* (7/454-8/455).
Edward Puacz (4/451).
 KOSSOWSKA Stefania: *WAZ* (9/456).
 MAURER Jadwiga: *Narodziny klasyka* (7/454-8/455).
 NOWAKOWSKI Marek: *Edward Puacz* (6/453).

Kronika kulturalna

- BŁASZKIEWICZ Anna: *Nowe tematy i stare motywy* (7/454-8/455).
 BRONSKI M.: *Neorealizm socjalistyczny* (6/453).
 CHOYNOWSKI Mieczysław: *Jeszcze o śmierci Witkacego* (9/456).
 CZAPSKI Józef: *Chagal i Sutin* (5/452).
 — *Śmierć Cézanne'a* (6/453).
 — *Wnioski niedomyślane* (7/454-8/455).
 — *Zacmiony staw* (12/459).
Doroczne nagrody „Kultury”: Włodzimierz Odojewski — nagroda literacka im. Zygmunta Hertza; Leopold Unger — nagroda publicystyczna im. Juliusza Mieroszewskiego; Mirosław Chojecki — nagroda przyjaźni i współpracy (3/450).
 GOMBROWICZ Rita: *Gombrowicz w Berlinie* (5/452).
 GORCZYŃSKA Renata: *Co czytają Amerykanie?* (3/450).
 — *Periodyki polskojęzyczne w USA* (11/458).
 HORZELSKI Jerzy: *Przygodne notatki o mowie (Imiona „prawdziwe” i zastępcze)* (6/453).
 J.K.: *O Tadeuszu Łomnickim* (10/457).
 KARSKI Jan: *Shoah (Zagłada)* (11/458).
 KRYGIER Ryszard: *75-ciolecie Jana Dunin-Karwickiego* (12/459).
Księgarnia Trzaski, Everta i Michalskiego w Warszawie (10/457).
 OBSERWATOR Z KRAJU: *Londyński Kongres Kultury* (11/458).
 RUTKOWSKI Krzysztof: *Miron Białoszewski: powierzchnia i istota* (10/457).
 SALAMON Joanna: *O Jugostawii, Jugosłowianach i literaturze polskiej* (3/450).
 SZRETT Józef: *Intelektualiści i inteligenci w PRL* (1/448-2/449).
Teatr Ósmego Dnia z Poznania (11/458).
 WASIAK Regina: *Kongres Kultury Polskiej w Londynie* (12/459).

Recenzje, sprawozdania, nowości wydawnicze

- A.P.: *Nowy tom Pamiętnika Literackiego* (1/448-2/449).
 BARAŃCZAK Stanisław: *Najmniej słów* (9/456).
 — *Próba angielszczyzny* (10/457).
 — *Sledztwo w sprawie Boga* (7/454-8/455).
 — *Kwit z „Przechowalni ciemności”* (12/459).
 B.H.: *Ukraiński Ośrodek Wydawniczy* (10/457).
 BRONSKI M.: *Pamięć, zbrodnia i wyobraźnia* (10/457).

- „1985”: *Inny zmierzch Zachodu* (3/450).
 CIESIELCZYK Marek: *Komunizm jako najwyższy stopień totalitaryzmu* (4/451).
 CIECHANOWSKI Jan: *Wojsko od podszewki* (10/457).
 DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria: *Czytam* (2) (1/448-2/449).
 — *Czytam* (3) (3/450).
 — *Czytam* (4) (4/451).
 — *Literatura źle widziana* (6/453).
 — *Recydywa* (5/452).
 — *Tragiczny polski western* (9/456).
 GOMBROWICZ Witold: *Moi sąsiedzi na mapie literatury* (5/452).
 GORCZYŃSKA Renata: *Czas utrwalony* (10/457).
 — *W sojusznym gułagu* (12/459).
 HELLER Michał: *„Dwie rozmowy” Alain Besançon* (10/457).
 — *Zerwanie z Moskwą* (9/456).
 HEYDENKORN Benedykt: *Polacy w Ontario* (7/454-8/455).
 JELEŃSKI Konstanty A.: *„Nominalny czas dziejów” — inne czasy* (1/448-2/449).
 KATZ HEWETSON Janina: *Igraszki formy z tragedią* (12/459).
 — *Krakowska Arka* (11/458).
 — *Ludzie i pojęcia* (O powieściach Milana Kundery) (7/454-8/455).
 — *Materia ciągła przerywana* (6/453).
 KIERKEGAARD Soren: *Z „Dzienników” 1847-1854 — Wybór i tłumaczenie Bronisława Świdzkiego* (11/458).
 KRZYŻANOWSKI Jerzy R.: *Wielki kpiarz Josef Skvorecky* (4/451).
 LICHTEN Józef: *Szaja Ajzensztoł i jego los* (12/459).
 MOŻEJKO Edward: *Bułgarskie reportaże* (9/456).
Nadestane nowości wydawnicze (1/448-2/449, 3/450, 4/451, 5/452, 6/453, 7/454-8/455, 9/456, 10/457, 11/458, 12/459).
 NOWAKOWSKI Marek: *O „Wyroku na Franciszka Kłosa”* (6/453).
 PORAY-BIERNACKI Janusz: *Poematy Bogumiła przyjaźnie ocenione* (9/456).
 SZULCZYŃSKI Andrzej: *Strażnik nieistniejących cmentarzy* (1/448-2/449).
 ŚWIDERSKI Bronisław (tłumacz) ob. Kierkegaard Soren.
 WANDYDZ Piotr: *Polska XX wieku* (9/456).
 — *Świadomość narodowa w Polsce* (4/451).
„Widnowa” nowe czasopismo ukraińskie (3/450).
 XY.: *Nota o słownikach portugalskich* (6/456).
 Zbigniew Herbert (4/451).

Tłumaczenia

Z języka duńskiego

- KIERKEGAARD Soren: *Z „Dzienników” 1847-1854* (11/458), przeł. Bronisław Świdzki.

Z języka niemieckiego

- WEIZSACKER von Richard: *Fragmenty przemówienia* (10/457), przeł. Nina Kozłowska.

Noty biograficzne

Gawlikowski Krzysztof (12/459).
 Gieżyński Wojciech Stefan (4/451).
 Lityński Jan (12/459).

Bibliografia

Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1985 (12/459).

Listy do Redakcji

A.J. (7/454-8/455). ALBERTI Cesio (4/451). BABIŃSKI Stanisław (5/452, 7/454-8/455, 11/458). BANKOWSKI-ZÜLLIG Monika (5/452). BOSS Sally (4/451). BRUDZYŃSKI Tadeusz (9/456). CHODAKOWSKI Jan (1/448-2/449, 4/451). CZYTELNIK (5/452). FRENDL Ludwik (9/456). GISGES ZWIERZCHOWSKA Ewa (1/448-2/449). IONESCO Eugene (3/450). IGLIKOWSKI Piotr (4/451). IWAŃNIK Waclaw (7/454-8/455). JAGODZIŃSKI Zdzisław (4/451). JELEŃSKI Konstanty A. (6/453). KADENACY Tadeusz (4/451). KAŁUŻA Franciszek (9/456). KAZIMIRSKI Janusz (1/448-2/449). KISIELEWSKI Stefan (3/450, 5/452). KLECZYŃSKA Maria (4/451). KOSSOWSKA Stefania (3/450). KRAJEWSKA Anna (4/451). KRAKOWSKI Jędrzej (12/459). KRAŚNIEWSKA Wiktorja (12/459). KRYGIER Ryszard (3/450, 9/456). KUROCZYCKI Józef, ks. (3/450). LASKOWSKA Ada (4/451). LEWANDOWSKI Józef (9/456). LUBICZ-ŁUBA Anna (5/452). MAŁKIEWICZ Grzegorz (4/451). MIETKOWSKA Anna (4/451). MIETKOWSKI Andrzej (4/451). MORSKI DON KICHOT (6/456). (NAZWISKO ZNAŃNE REDAKCJI) (6/453, 9/456). PODGÓRSKI Tadeusz (7/454-8/455, 11/458). PRZETAKIEWICZ Zygmunt (11/458). RACZKOWSKI Jerzy (3/450). REDAKCJA (11/458). ROWIŃSKI Krzysztof (9/456, 11/458). SIKORA Agata (4/451). SIKORA Wojciech (3/450, 4/451). SOKOŁOWSKI Ksawery, ks. (12/459). SOWUŁA Grzegorz (4/451). STACHOWSKI K. W. (9/456). SURDYKOWSKI Jerzy (9/456). TARNOWSKI Jerzy (4/451). TAZBIR Piotr (3/450). TOPORSKA MACKIEWICZOWA Barbara (5/452). TRUCHLEWSKI Leszek (4/451). UMIŃSKA Mirosława (5/452). WANDYCZ Piotr (9/456). WESOŁY Szczepan, bp. (11/458). WITKIEWICZ Jan Stanisław (11/458). WOJCIECHOWSKI Jan (3/450). ZARYCHTA-KAMIŃSKA Halina (6/453). ZIELIŃSKI Leszek (3/450).

◆
 Odpowiedzi Redakcji (1/448-2/449, 4/451, 5/452, 6/453, 7/454-8/455, 11/458).

◆
 Odpowiedzi Redaktora (3/450, 11/458).

Dokumenty

Komisja Dyscyplinarna a ksiądz Popiełuszko (5/452).
 KOZŁOWSKA Nina (tłumacz) ob. Richard von Weizsäcker.
 Notatka z dyskusji nad raportem „Społeczeństwo polskie na przełomie XX i XXI wieku” (7/454-8/455).
 Odwołanie od orzeczenia dyscyplinarnego Joanny Sokół (5/452).
 Pismo Rektora do Dziekanów i Dyrektorów Instytutów (11/458).
 Postanowienie Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego (7/454-8/455).
 Uchwała Twa Naukowego Prawa Karnego dot. projektu ustawy o szczególnej odpowiedzialności karnej (7/454-8/455).
 WEIZSACKER von Richard: Fragmenty przemówienia (10/457), przeł. Nina Kozłowska.
 Zarządzenie w sprawie prohibitów (11/458).
 Zarządzenie w sprawie przekazywania informacji (5/452).

Różne

Fundacja Tadeusza i Zofii Romerów (10/457).
 Nagroda za pracę historyczną (Komunikat Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku) (1/448-2/449).
 Nagrody Fundacji Jurzykowskich za rok 1984 (3/450).
 Nagrody im. Janiny Ławruk ze Starzyckich (10/457).
 Oświadczenie Barbary Toporskiej Mackiewiczowej (3/450).
 Oświadczenie Redaktora (1/448-2/449, 12/459).
 Oświadczenie Sławomira Mrożka (3/450).
 Sprostowanie Henryka Grynberga (4/451).
 Sprostowanie Redakcji (9/456).
 Wpłaty na Fundusz Drukarski im. Władysława Głowackiego (1/448-2/449, 3/450, 4/451, 5/452, 6/453, 7/454-8/455, 9/456, 10/457, 11/458, 12/459).
 Wpłaty na Fundusz „Kultury” (1/448-2/449, 3/450, 4/451, 5/452, 6/453, 7/454-8/455, 9/456, 10/457, 11/458, 12/459).
 Wpłaty na NSZZ „Solidarność” (1/448-2/449, 3/450, 4/451, 5/452, 6/453, 7/454-8/455, 9/456, 10/457, 11/458, 12/459).
 Wpłaty na pomoc dla walczących w Kraju „Żeby Polska była Polską” (1/448-2/449, 3/450, 4/451, 5/452, 6/453, 7/454-8/455, 9/456, 10/457, 11/458, 12/459).
 Wyróżnienia Pol-Cul Foundation za rok 1984 (3/450).

**Wydawnictwa książkowe Biblioteki « Kultury »
w roku 1985**

Tom 403 — Zeszyty Historyczne (zeszyt 71-szy). Str. 240.
 Tom 404 — Adam Michnik: Z dziejów honoru w Polsce. Str. 288.
 Tom 405 — Jan Mur: Dziennik internowanego. Str. 200.
 Tom 406 — Zeszyty Historyczne (zeszyt 72-gi). Str. 240.

- Tom 407 — *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 73-ci). Str. 240.
 Tom 408 — Czesław Miłosz: *Zaczynając od moich ulic*. Str. 368.
 Tom 409 — Wiktoria Kraśniewska: *Po wyzwoleniu... (1944-1956)*. Str. 272
 Tom 410 — Wojciech Gieżyński: *Budowanie Niepodległej*. Str. 336.
 Tom 411 — Ewa Maria Ślaska: *Dochodzenie*. Str. 128.
 Tom 412 — *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 74-ty). Str. 240.

Dla orientacji Czytelników podajemy spis zawartości *Zeszytów Historycznych*, wydanych w 1985 roku.

Zeszyt 71-szy — J. Krajowiec: *Czterdziestolatek*; J. M. Olita: *Polacy, Litwini, Rosjanie*; (j.a.): *Październik 1984; Akt oskarżenia przeciwko Jerzemu Aleksandrowi Popiełuszcze; Aneks do aktu oskarżenia przeciwko ks. J. Popiełuszcze; Oświadczenie Warszawskiego Komitetu Obywatelskiego przeciw Przemocy; Przyjaciele Węgry; Rozmowa z J.E. metropolitą Szeptyckim; Sprawa ukraińska; J. Sztendera: W poszukiwaniu porozumienia; N. Kozłowska: Profesor Hans Roos; J. Nowak: Zapiski więzienne Prymasa i raport policjanta; T. Wyrwa: Pierwsze lata PRL w raportach dyplomatów francuskich; J. Mondry: Polska walcząca i Japonia; M. Siekierski: Na marginesie referatu o Polakach w Związku Sowieckim; W. Bartoszewski: *Wierny Krajowi*; A. Bogusławski: *Na tropach „Kotwiczka”*; W. Królik: „*Bojownik o wolność*”.*

Zeszyt 72-gi — W. Karpiński: *Ideologia i historia*; W. Sukiennicki: *Polityczne konsekwencje błędu semantycznego*; W. Kuczyński: *Katastrofa i przebudzenie*; M. Kołodziej: *Podziemne struktury NSZZ „Solidarność”* 13. 12. 1981 - 13. 12. 1984); R. Mossin: *Wywiad z prof. Wacławem Jędrzejewiczem*; B. Heydenkorn: *Polityczna działalność metropolity Szeptyckiego*; B.H.: *Ukraina i Ukraińcy w drugiej wojnie światowej*; J.-F. Maligne: *Medycyna i chirurgia polska w czasie Powstania Listopadowego*; J. Bierzyn: *Między Marcem a Sierpniem*; „*IŚKA*”: *Jeszcze o Stalinogorsku*; Anna M. Cienciala i Piotr S. Wandycz: *Polonia Restituta — czyli Noël redivivus*; Z. S. Siemaszko: *Okoliczności rozpoczęcia Powstania Warszawskiego*; J. R. Krzyżanowski: „*Panta rhei*” *Przemysław Bystrzyckiego*; T. Wyrwa: *Watykan a rząd polski w Angers*; J. Bahr: *Wspomnienia z teraźniejszości*; W. Pilecki: *Niezauważona rocznica; Przemówienie ministra Józefa Becka; Gen. Tatar a Powstanie Warszawskie (list do prof. dr. J. Zawodnego)*; J. Garliński: *Konferencja historyków w Londynie; Ze ta: Parę słów o Powszechnym Zjeździe Historyków*; T. Ito: *Zapis z XIII Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich*; P. S. Wandycz: *Międzynarodowa konferencja o Drugiej Rzezypospolitej; 500-lecie śmierci bł. Michała Giedroycia*.

Zeszyt 73-ci — R. Grczyńska — W. Jędrzejewicz: *Kronikarz epoki Piłsudskiego. Rozmowa z Wacławem Jędrzejewiczem*; J. K. Zawodny — G. F. Kennan: *Geopolityka polska (U źródeł Jalt)*. M. Budny: *Epilog polskiej służby zagranicznej*; St. Ludkiewicz: *Uzupełnienia do „Słownika biograficznego polskich komunistów represjonowanych w ZSSR”*; J. Świda: *Wyjaśnienie dotyczące okresu 1943/1944 r.; Proces mordców ks. Jerzego Popiełuszki*; Z. S. Siemaszko: *Wileńsko-nowogródzkie telegramy. Lato 1944*; J. Szygowski: *Urywki wspomnień*; J. Lerski: *Dzieci „japońskie”*; Spis wydawnictw podziemnych w PRL (7); M. Heller: *Jak upadają imperia*; B. Heydenkorn: *Ostatni metropolita*

grecko-katolicki; I. Koszeliweć „*Suczastniś*” *dobiega do dwudziestopięciolecia*; A. Suchcitz: *Listy Wojciecha Korfantego do Józefa Retingera*; W. Wagner: *Sprawy zagraniczne w Delegaturze Rządu (1943-1944)*.

Zeszyt 74-ty — Stefan kard. Wyszyński: *W stulecie Powstania Styczniowego*; J. Strzelecka: *Proces gdański*; J. Skórzyński: *Upadek rad robotniczych*; J. K. Zawodny: *Prezydent Roosevelt w Jaltie: profil politycznej arogancji*; J. Nowak: *Polityka amerykańska wobec kraju i emigracji w latach zimnej wojny*; E. Halicz: „*Le Nord*” *o konflikcie rosyjsko-polskim i o jego perspektywach*; A. Michnik: *KOR i Solidarność*; Tyle: *Zaolzie*; J. Ciechanowski: *Kluczowa rozmowa (Stalin - Romer, 26/27 lutego 1943)*; *Konferencja generała Sikorskiego w Bejrucie 23 kwietnia 1943* (opr. J. Ciechanowski); *Ucieczka Mikołajczyka z PRL w 1947 roku*; P. Wandycz — J. K. Zawodny: *Dwugłos o książce Jana Karskiego „Wielkie mocarstwa a Polska 1919-1945”*; G. Pomian: *Konspira*; B. Heydenkorn: *Dramatyczna wymowa dokumentów*; W. Jędrzejewicz: *O Piłsudskim, Legionach i POW w PRL*; J. K. Zawodny: *Kobiety Armii Krajowej*; J. Czapski: *Dzieci*; S. W. Rawicz: *Uzupełniający wykaz polskich komunistów represjonowanych w ZSSR*; P. Łossowski: *Stosunki polsko-litewskie*.

Wznowienia

- Tom 357 — Kazimierz Brandys: *Miesiące 1980-1981*. Str. 224.
 Tom 186 — Witold Gombrowicz: *Trans-Atlantyk*. Str. 130. „*Dzieła zebrane*”, Tom II.
 Tom 362 — Witold Gombrowicz: *Wspomnienia polskie — wędrówki po Argentynie*. Str. 256. „*Dzieła zebrane*”, Tom 11.
 Tom 111 — Gustaw Herling-Grudziński: *Inny świat*. Str. 256. (2 wydania).
 Tom 328 — Czesław Miłosz: *Prywatne obowiązki. Dzieła*, tom VII. Str. 256.
 Tom 329 — Czesław Miłosz: *Ziemia Ulro. Dzieła*, tom VIII. Str. 224.
 Tom 325 — Czesław Miłosz: *Zniewolony umysł. Dzieła*, tom III. Str. 240.

Wydania miniaturowe tomów biblioteki «Kultura»

Zeszyty Historyczne (nr 19, 20, 40, 41, 46, 47, 49, 50, 51, 52, 53, 55, 56, 57, 68).

Wydania miniaturowe «Kultura»

Numery: grudzień 1984 do listopada 1985 włącznie.

Numery *Kultury*: marcowy (3/450), kwietniowy (4/451) i grudniowy (12/459) miały po 176 stron.

Ilse Maybach, Heilbronn (RFA), po raz 22-gi	F. 320,33
M. Piaskowski, Caulfield, N.Vic. (Australia), po raz 5-ty	F. 769,75
Stanisław Radwański, Paryż, po raz 9-ty	F. 500,00
Halina i Jerzy Sawiecy, Aarhus (Dania) — zamiast kwiatów na grób zmarłego w Warszawie prof. dr. Ludwika Gelberga — K.D. 250,00	F. 209,22
Dr Władysław W. Socha, Nyack, Upper Grandview, N.Y. (USA), po raz 9-ty — \$ 21,00	F. 164,85
Zamiast kwiatów na trumnę S. Federa od przyjaciół	F. 500,00
Bezimiennie z RFN — ku pamięci żołnierzy Batalionu „Zośka” — DM 20,00	F. 60,00

DZIĘKUJEMY!

WPŁATY NA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

Bezimiennie z RFN	F. 304,40
Jan Kisiel, Dariusz Niworowski, Paweł Piechura, Edward Siwec, Stanisław Lopek, Mike i Stenia (USA) na działalność podziemnych struktur NSZZ „Solidarność” i Niezależnego Zrzeszenia Studentów we Wrocławiu — \$ 60,00	F. 471,00
M. P. Nassalscy — \$ 10,00 i B.B. — \$ 30,00, Woodhaven, N.Y. (USA) — razem: \$ 40,00	F. 320,00
Na Apel „Konfederacji 76” Oddział Boston (USA) na rzecz „Solidarności podziemnej” złożyli: W. Ostrowski, S. Borucki, W. Szypszak i Z. Padzik — po \$ 10,00; A. Łabejsza, M. Stankiewicz, Z. Wallek, P. Janik, W.C., A. Biedak, P. Chądzyński, M. Las, T. Pokorski, J. Kocjan, C. Rybak, A. Sosnowska, A. Butkiewicz, P. Bystrzanowski, W. Micherda, T. Wojdakowski, A. Kruczyński, W. Wierzbowski i bezimiennie à \$ 5,00 — razem: \$ 135,00	F.1.060,00
Oddział POMOSTU z Bostonu, zebrane w czasie występu „Ślaska” na pomoc rodzinom 9-ciu górników zastrzelonych w kopalni „Wujek” — \$ 436,00	F.3.423,00
Na rzecz „Solidarności” podziemnej, zebrane na wieczornicy w Bostonie — \$ 170,00	F.1.335,00
W redakcji <i>Listów do Polaków</i> złożyli na rzecz „Solidarności podziemnej”: M. i A. Obuchowiczowie — \$ 25,00, M. Orłowski, R. Górski i Turysta z Polski po \$ 10,00 — razem: \$ 55,00	F. 432,00
Młodzi emigranci polityczni zorganizowali w Bazylei (Szwajcaria) w dniu 11 Listopada 1985 uroczystość poświęconą Świętu Niepodległości, na której uchwalono rezolucję skierowaną do władz szwajcarskich z prośbą o poparcie wysiłków, zmierzających do uwolnienia wszystkich więźniów politycznych w PRL. Dochód z tej uroczystości w sumie F. Szwajc. 1.230,00 przekazali na cele „Solidarności walczącej” w Kraju	F.4.494,00
Imprezie towarzyszył Kiermasz Książki Polskiej, obchodzący w bież. roku swoje 35-lecie.	

Polish Canadian Action Group „Solidarność i Niepodległość” w Toronto, Ont. (Kanada) sumę zebraną podczas mszy św. za Ojczyznę na pomoc „Solidarności” w Polsce — \$ c. 500,00	F.2.825,00
Stowarzyszenie Przyjaciół „Solidarności” (Friends of Solidarity” w Winnipegu, Man. (Kanada) — sumę zebraną podczas mszy św. w kościele św. Andrzeja Boboli w dn. 3 listopada 1985 na NSZZ „Solidarność” — \$ c. 245,00	F.1.384,25
Two Przyjaciół „Solidarności” w St. Louis, MI (USA) sumę uzyskaną ze zbiórki w czasie obchodów 5-tej rocznicy „Solidarności” — na prasę podziemną w Polsce — \$ 112,51 ..	F. 635,68
Wynylowcy z Toronto, Ont. (Kanada), na „Solidarność” w Polsce — \$ c. 50,00	F. 282,50

WPŁATY NA FUNDUSZ DRUKARSKI IM. WŁADYSŁAWA GŁOWACKIEGO

Bezimiennie z Paryża — zamiast kwiatów na grób Eugenii Łozińskiej, zmarłej pod koniec listopada w Warszawie	F. 100,00
Andrzej J. Chilecki, Kolonia (RFN) — DM 100,00	F. 300,00
J.S.K., Boden (Szwecja) — K.S. 100,00	F. 100,00
J.W.S., Los Angeles, CA (USA) — dla uczczenia pamięci Józefa Mackiewicza i Barbary Toporskiej, wielkich pisarzy i odważnych głosicieli każdej prawdy w walce o wyzwolenie świata od komunizmu i o wolne słowo polskie — \$ 51,50 (Przepraszamy serdecznie p. J.W.S. za niedopatrzony skutek którego ten dar zostaje ogłoszony z trzymiesięcznym opóźnieniem).	F. 443,40
Nelly i Bronka zamiast kwiatów na grób Olka Boreckiego w 9-tą rocznicę śmierci	F. 230,00
Wojciech Szczygielski, Zurych — F. szwajc. 30,00	F. 109,00
Anna i Jerzy Świdlicy, Monachium (RFN)	F. 125,00

WPŁATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU „ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ”

Ewa i Monika Mieroszewske, Washington — zamiast kwiatów na grób Marii Włodzimierzowej Bączkowskiej — na pomoc dla rodzin więźniów politycznych w Polsce — \$ 30,00 ..	F. 235,50
Lena Rożek, Pacifica, CA (USA) — na pomoc rodzinom więźniów politycznych w Polsce — \$ 20,00	F. 157,00
Zygmunt Stankiewicz, Trangsund (Szwecja) — z życzeniami świątecznymi dla przyjaciół w kraju i na emigracji — K.S. 150,00	F. 150,00

Komitet Pomocy Obroncom Praw Ludzkich i Obywatelskich w Polsce przy Wydziale na Stan Illinois Kongresu Polonii Amerykańskiej (nadesłali dyr. KPA Bonawentura Migała i skarbnik Jan Jurewicz) na:

— Fundusz Dziennikarski drukarski — \$ 1.000,00	F.7.850,00
— Na „Solidarność” w Krakowie — \$ 1.000,00	F.7.850,00
— Na „Solidarność” we Wrocławiu — \$ 1.000,00	F.7.850,00
— Na „Solidarność” w Warszawie — \$ 1.000,00	F.7.850,00
— Na „Solidarność” na Pomorzu na pomoc dla najbardziej potrzebujących — \$ 1.000,00	F.7.850,00

Prostujemy pomyłkę: w październikowej *Kulturze* z bież. roku dar na pomoc rodzicom śp. ks. J. Popiełuszki przekazał p. Tomasz Gołąb z Indianapolis, IN (USA) a nie „Tadeusz”, jak mylnie wydrukowano (*Redakcja*).

NOTA BIOGRAFICZNA

Jan LITYŃSKI, ur. 18 stycznia 1946 r. w Warszawie. Był jednym z organizatorów ruchu studenckiego przed marcem 1968 r. Aresztowany w marcu 1968, oskarżony o „udział w nielegalnym związku”, skazany został w tzw. procesie komandosów na 2 i pół roku więzienia. Zwolniony na mocy amnestii w 1969 r., pracował początkowo jako robotnik, a następnie jako programista, jednocześnie studiując matematykę.

We wrześniu 1976 r. wraz z Sewerynem Blumsztajnem założył pierwsze pismo niezależne — *Biuletyn Informacyjny*. Uczestniczył w akcji pomocy represjonowanym robotnikom Radomia. Wiosną 1977 r. wyrzucono go z pracy, a wkrótce potem, po śmierci Stanisława Pyjasa, w maju — aresztowano. 22 lipca 1977 r. został zwolniony na mocy amnestii. We wrześniu tego samego roku wstąpił do KSS „KOR”. Był jednym z założycieli pisma *Robotnik* i członkiem redakcji kwartalnika *Krytyka*.

Aresztowany w sierpniu 1980 r., podczas strajku w Stoczni, wyszedł z więzienia na mocy Porozumienia Gdańskiego. Był doradcą MKZ-Wałbrzych i Huty im. Lenina, wykładawcą „Wszechnicy Robotniczej”, jednym z inicjatorów Klubów Rzeczypospolitej Samorządnej. Internowany 13 grudnia 1981 r., we wrześniu 1982 r. został aresztowany pod zarzutem „podjęcia przygotowań do obalenia ustroju” i przewieziony do Centralnego Aresztu Śledczego w Warszawie na Rakowieckiej. Wypuszczony na przepustkę, nie wrócił do więzienia i od 6 czerwca 1983 r. pozostaje w podziemiu.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 4^e trimestre 1985.

Imprimé en France
N° d'Imprimeur 7408.

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-rocznica	rocznica
Ceny na rok 1986			
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
ARGENTYNA : « Libreria Polaca », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
AUSTRALIA : Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, 1011 Wien, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Tür 14. Tel.: 52-60-175	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
BELGIA : prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji « Kultury »	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
BRAZYLIA : prosimy o przysyłanie czeków do administracji « Kultury »	\$ US 6,00	\$ US 30,00	\$ US 58,00
DANIA : O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « Kultury » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
HOLANDIA : Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B L Vlissingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176.	Fl h 20,00	Fl h 95,00	Fl h 175,00
IZRAEL : Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2. Tel.: 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. (« Zwiakowiec »), 1638 Bloor St. West, Toronto, Ont. M6P 4A8	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1.	DM 14,00	DM 80,00	DM 150,00
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, 1500 Moss.	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue de Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431.	F.S. 13,00	F.S. 70,00	F.S. 130,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 60-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6.	K.S. 41,00	K.S. 230,00	K.S. 440,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 119 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel.: 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; Halina Kosciuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia « Nowego Dziennika », 21, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	\$ US 6,00	\$ US 30,00	\$ US 58,00
WIELKA BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
WŁOCHY : Witold Zahorski, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.440; półroczna — F.230.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 408 — CZESŁAW MIŁOSZ

ZACZYNAJĄC OD MOICH ULIC

Tom 12 „Dzieł Zbiorowych” zawiera następujące eseje: *Dykcyonarz wileńskich ulic; Do Tomasa Venclovy; Noty o wygnaniu; List półprywatny o poezji; Dialog o poezji (z Witoldem Gombrowiczem); Portrety: Dwight Macdonald, Teodor Bujnicki, Józef Czechowicz, La Combe (Stanisław Vincenz), Jeffers, Szestow albo czystość rozpaczy; Swedenborg i Dostojewski; Dostojewski i Sartre; Pożegnania: Podzwonne, Był raz..., Śmierć Józefa Sazdika, Sukiennicki, Andrzejewski.*

Str. 366.

Cena F. 120,00.

TOM 410 — WOJCIECH GIEŁŻYŃSKI

BUDOWANIE NIEPODLEGŁEJ

Treść tej książki określają tytuły jej trzech głównych części: I. „Walczyć nawet bez nadziei” to opis technik konspiracyjnych w latach między Powstaniem Styczniowym a pierwszą wojną światową; II. „Myśleć jak walczyć skutecznie” — to analiza różnych nurtów myśli politycznej, ulegających zmianie pod wpływem zmiennych sytuacji; III. „Iść kiedy pora” — to opis sytuacji narodu u progu Niepodległości i postawa Polaków w obliczu śmiertelnego zagrożenia sowieckiego.

Str. 336.

Cena F. 100,00.

TOM 411 — EWA MARIA ŚLASKA

DOCHODZENIE

Polska tuż po ogłoszeniu stanu wojennego. W dużym mieście w domu, w którym mieszka kilkudziesięciu lokatorów, jeden z nich młody podoficer wojska polskiego znalazł w noc sylwestrową w zsypie na śmieci trupa młodej dziewczyny. Nikt nie wie kim jest dziewczyna, czy ktoś ją zabił, czy popełniła samobójstwo. Milicja prowadzi dochodzenie przesłuchując wszystkich lokatorów domu. Daje to w rezultacie świetny przekrój społeczeństwa polskiego kilkanaście dni po policyjno-wojskowym ataku na „Solidarność”. Ten swego rodzaju dreszczowiec czyta się jak najlepszy „kryminał”.

Str. 128.

Cena F. 50,00.